

OPOWIADANIA NOMINOWANE
DO NAGRODY FANDOMU POLSKIEGO
IM. JANUSZA A. ZAJDLA 2017



Fot. Michał Dagajew, Mirosław Stelmach

**Opowiadania nominowane
do Nagrody im. Janusza A. Zajdla 2017**

Spis treści

Lo faresti per me? – Juliusz Braun

Bunt maszyn – Michał Cholewa

Panicz z Ertel-Sega – Agnieszka Hałas

Paradoks Bliźniąt – Magdalena Kucenty

Na nocnej zmianie – Anna Szumacher

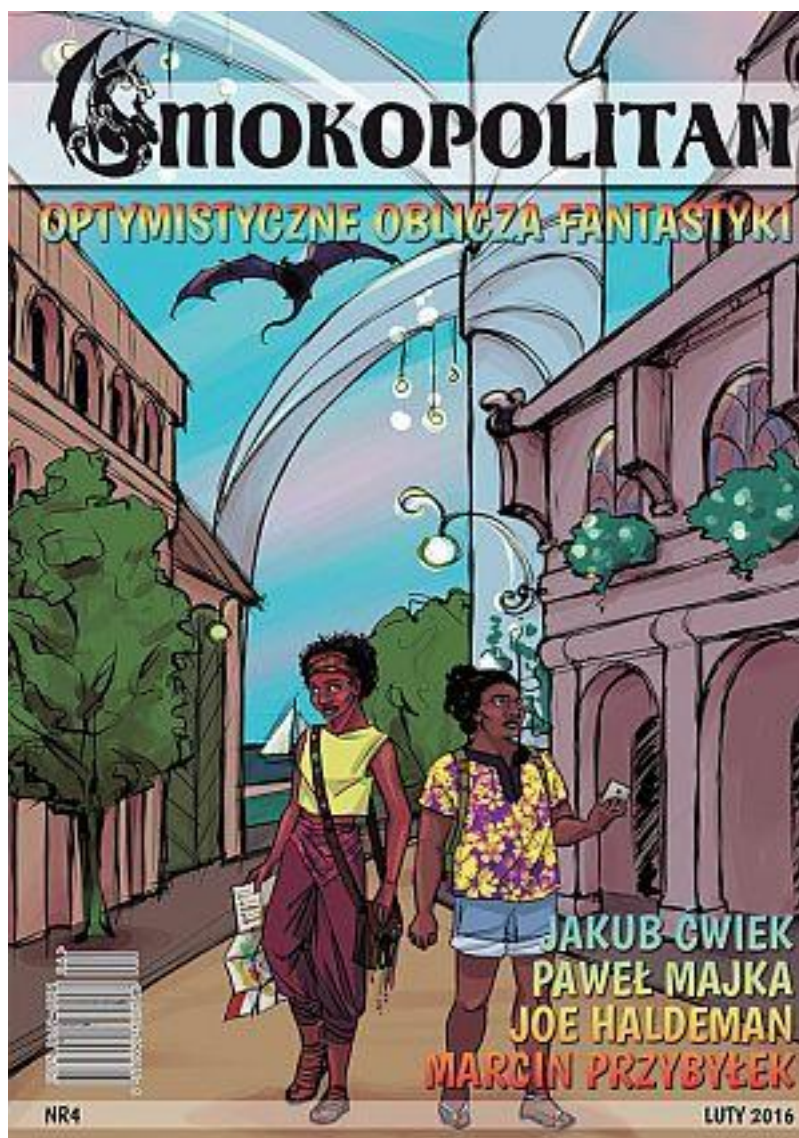
To byliśmy my – Anna Szumacher

Wywiad z Borutą – Łukasz Orbitowski, Michał Cetnarowski

2017

Juliusz Braun

Lo faresti per me?



Opowiadanie ukazało się w magazynie *Smokopolitan* 1/2016(4)

NIHIL TAM INOPINATUM NEC TAM INSPERATUM ACCIDERE POTUIT¹*III, 26*

Po pierwszej nocy spędzonej w Verigi Ignazio Scentelli był przekonany, że ktoś zabawia się jego kosztem. Choć zasypiał w pokoju z oknem wychodzącym na zachód, obudziły go poranne promienie słońca. Ale dlaczego gospodarze mieliby zadawać sobie trud, by przygotować ten tyleż niewinny, co karkołomny dowcip? Ignazio zatrzymał się w pałacu Lunarich, u daleko spowinowacanej rodziny, z którą dosyć sztucznie odnowił kontakty, kiedy zdecydował się pojechać do Verigi. Tym bardziej cała sytuacja zdawała się nie na miejscu.

Ignazio nie wstał z łóżka od razu. Musiał odespać trudy podróży, nie było zresztą wykluczone, że w zmęczeniu pomylił poprzedniego dnia kierunki świata. Obrócił się jedynie tyłem do okna i na powrót zasnął.

Ledwie godzinę później obudziły go dzwony katedralne nawołujące na mszę. Ich łomot wykluczał sen, ale oznaczał również coś innego. Ignazio zerwał się na równe nogi i rozdzierając koszulę nocną o oparcie krzesła, podbiegł do okna.

Nie mógł się mylić. Tak głośno słychać jedynie dzwony bijące tuż obok – i w istocie dzwonnica wyrastała ponad czerwone dachy domów, ponad kopułę katedry, po drugiej stronie placu, na który wychodziły okna Ignazia. W zupełnie innej części miasta niż ta, w której kładł się spać.

Jego konsternacja, powątpiewanie, oburzenie – wszystkie trzy zmieszane w alchemicką miksturę emocji, której nigdy dotąd nie zdarzyło mu się wypić – spotkały się jedynie z pobłażliwymi uśmiechami gospodarzy. I choć kuzyn Bernardo (przy akompaniamencie tłumionego chichotu swej córki) z uprzejmym spokojem tłumaczył, że w Verigi zdarzenia zeszłej nocy są najzupełniej naturalne, Ignazio nie uwierzył, dopóki nie zobaczył – trzykrotnie.

Powinien był się na to przygotować. Gianluca w swoich listach rozwodził się nad magią miasta, w którym nigdy nie wchodzi się dwa razy w tę samą uliczkę. Pisał, że tutaj człowiek każdego dnia poznaje nowych sąsiadów i nową okolicę, bo i każdego dnia miasto zmienia swoje oblicze. Ulice i całe dzielnice wędrują wokół siebie, jakby nie mogły pogodzić się z monotonnym losem budynków na całym bożym świecie.

Ignazio tłumaczył sobie takie słowa faktem, że Gianluca był malarzem. Z pewnością dla oka artysty nawet chmura zasnuwająca słońce potrafi przeobrazić miasto w coś zupełnie nowego i nieznanego. A jednak listy należało odczytywać w pełni dosłownie. Czy w takim razie Ignazio powinien zacząć poważnie niepokoić się o przyjaciela? Przed pół rokiem wiadomości, które otrzymywał od Gianluki, zmieniły charakter. Spomiędzy wierszy przebierał niepokój, którego Ignazio nie był w stanie wytłumaczyć treścią listów.

Od kiedy Gianluca po raz pierwszy napisał z Verigi, zachęcał Ignazia do odwiedzenia miasta – jednak ostatnie zaproszenie oblekł w kasandryczne słowa: *Przyjedź, mój przyjacielu, do Verigi, jak od tak dawna cię namawiam. Wierzę, że urzeknie cię ono nie mniej niż mnie. To miasto prawdziwych cudów – i nie zmieni tego cień groźącego mi tutaj losu.* A potem zamilkł.

I choć z początku Ignazio nie wyobrażał sobie, jak mógłby zostawić we Florencji narzeczoną, to wyprawił się w podróż do Verigi, gdy tylko było to możliwe.

Lunardi już listownie zapewniali go, że nie wiedzą nic o tym, aby w ostatnim czasie słynny malarz Gianluca Forse przebywał w mieście. Ponoć zjawił się tam przelotnie kilka lat wcześniej i – wedle wiedzy Lunardich – od tego czasu nie wracał.

Wbrew najlepszym intencjom Ignazia, by nie osądzać gospodarzy i rodziny zbyt pochopnie, przez jego głowę zaczęły przebiegać podejrzenia, że Lunardi coś przed nim ukrywają. Jednak nie tylko oni, a wszyscy zapytywani mieszkańcy Verigi mówili to samo. Co jeszcze dziwniejsze, nikt nie słyszał o Palazzo nel Cuore, w którym miał mieszkać Gianluca i do którego Ignazio adresował swe listy, docierające przecież do odbiorcy bez problemu.

Lunardi uprzejmiem wykorzystywali wszelkie kontakty, aby zdobyć jakiegokolwiek informacje o artyście. Bernardo jednak nie ukrywał swojego zdania: z jakiegoś powodu Gianluca chciał, aby wierzono, że znajduje się w Verigi, lecz tak naprawdę mieszkał zupełnie gdzie indziej, być może nawet we Florencji, gdzie przy odrobinie starań – i z pewnością nie bez łapówek – mógłby natychmiast przechwytywać wysyłane do niego listy.

Ignazio nie chciał dopuszczać do siebie takiej myśli, więc dopóki sam nie mógł czegoś zdziałać, skupiał się na drugiej sprawie, która zaprzętała jego umysł – na zmiennym mieście. Choć rozum buntował się przeciwko takiej idei, dalece bardziej nie do pomyślenia byłoby zaprzeczać faktom, przed którymi został postawiony. Jako matematyk, Ignazio mógł zrobić tylko jedno: zrozumieć.

Nie na wiele zdało się wypytywanie mieszkańców. Verigi od zawsze żyło własnym życiem i nikt nie wiedział, jak to się dzieje; nikt nie znał sposobu, aby określić, gdzie następnego dnia powinien szukać kościoła, przyjaciela czy krawca. Zupełnie jakby co noc Bóg rzucał na stół kości z elementami miasta, które układały się zawsze w innej kombinacji.

Ludzie się dostosowali. Każdego ranka wystarczyło wyjść na ulicę, aby usłyszeć mieszkańców wołających do siebie „Którędy dziś na targ?” i odkrzykujących choćby „Na północ aż do ratusza, a przy świętej Helenie na wschód”. „Tak przynajmniej słyszałem” – dodawali niektórzy. Codziennie w głowach verigian powstawała nowa mapa, jeszcze przed skompletowaniem skazana na przedawnienie.

Nocami Ignazio siadał przy oknie, opierał głowę na dłoniach i wyczekiwał momentu, w którym miasto zacznie się zmieniać. Verigi jednak zdawało się zawsze wiedzieć, że jest obserwowane, i przeobrażało się bądź to kiedy Ignazio na chwilę przysnął, bądź kiedy akurat odwrócił wzrok. Gdy zaś pewnego razu przez całą noc nie zmrużył oka, wpatrując się bez przerwy w ulicę za oknem, nad ranem odkrył, że akurat ta ulica pozostała na miejscu, podczas gdy całe miasto przetasowało się wokół niej.

Każdego dnia Ignazio błądził po mieście dopóty, dopóki nie znalazł czterech miejsc: katedry, placu Góry Oliwnej, posągu Eneasza oraz bazyliki świętego Antoniego (czyż patron rzeczy i ludzi zaginionych nie był najlepszym, do kogo można się było zwrócić po pomoc?). Dokładnie notował ich położenia, a po powrocie do pałacu Lunardich usiłował odszukać jakąś regułę rządzącą wędrownkami każdego z punktów. Co wieczór próbował przewidzieć, gdzie znajdą się następnego ranka, lecz gdy tylko zaczynał wierzyć, że dostrzeża jakąś regułę,

katedra wyrastała w zupełnie przypadkowym miejscu albo posąg nie dawał się nawet odszukać.

Gdziekolwiek nie znajdował się teraz Gianluca, co do jednego miał słuszność: Ignazio wielce żałowałby, gdyby nigdy nie poznał Verigi.

Na przestrzeni dni kolejne mechanizmy wprawione w ruch przez Lunardich przynosiły wciąż tę samą odpowiedź: nikt nie widział Gianluki Forsego, nikt nie słyszał, żeby artysta pojawił się w mieście. Nikt nie wiedział o żadnym Palazzo nel Cuore.

Coraz częściej spod maski nieskazitelnej uprzejmości Bernarda dawało się dostrzec zniecierpliwienie. Ignazio miał świadomość, że w końcu będzie musiał pogodzić się z porażką – w poszukiwaniu zarówno Gianluki, jak i sensu w wędrówkach miasta – i zaplanować powrót do Florencji. Póki jednak mógł, odkładał tę decyzję na później.

Jedna z samotnych wędrówek po Verigi zaprowadziła go w miejsce, którego jeszcze nie znał. Na środku ciasnego placu wznosiła się najpotężniejsza bodaj fontanna, jaką dane było Ignaziowi zobaczyć.

Natychmiast przypomniał mu się opis w jednym z listów Gianluki. Właśnie na takie wypadki nosił je ze sobą; wyjął kartkę i zaczął czytać: *Na szczycie potężny Herkules rozbija skałę, kierując bieg wody, bieg rzeki, ku Augiaszowym ruma-
kom. Pięć ich szamocze się w bezruchu poniżej, bezlitośnie chło-
stanych kaskadami wody. Nigdy nie widziałem fontanny, która
tak obficie by ją wypluwała.*

Opis ciągnął się jeszcze długo, a Ignazio podszedł bliżej, aby przypatrywać się dokładnie temu, o czym czytał. Każdy z koni stał w oddzielnym basenie, tak że można było wejść pomiędzy nie, pod piętro Herkulesa. Ignazio, otoczony ze

wszystkich stron wodospadami, podziwiał kunszt rzeźbiarza. Nie było wątpliwości, że znajdował się dokładnie w miejscu, w którym niegdyś stał jego przyjaciel.

Po dłuższej chwili Ignazio otrząsnął się z czaru fontanny; tego dnia spędził już w mieście wiele godzin, a wciąż nie odnalazł obecnego umiejscowienia placu Góry Oliwnej. Lecz gdziekolwiek nie szukał, nie widział żadnej uliczki, żadnego muru, żadnego placu, który wydawałby się znajomy. Ani po godzinie błędzenia, ani po trzech.

Wcale.

QUID EST ALIUD QUAM EXSILIUM INTRA EADEM MOENIA, QUAM RELEGATIONEM PATI?²

Liber IV, 4

Mury opustoszałych budynków pożarły czerwone słońce i zatopły uliczki w długich cieniach, a Ignazio wciąż nie odnalazł drogi – ani do placu Góry Oliwnej, ani do pałacu Lunnardich. Ruszał spod fontanny Herkulesa w każdym możliwym kierunku, po czym znów do niej wracał, gdy spostrzegął, że okolice stają się tylko bardziej obce. Nie chciał zgubić jedyne punktu orientacyjnego, jaki mu pozostał.

Choć poruszał się po mieście z najwyższą ostrożnością, Ignazio byłby w stanie zaakceptować, że zwyczajnie się zgubił. Byłby, gdyby nie fakt, że w nieustannie tętniącym życiem Verigi tym razem nie napotkał ani żywej duszy. Chodził od domu do domu i pukał do wszelkich drzwi. Odpowiadała mu jedynie

cisza i odgłos jego własnego zniecierpliwionego postukiwania obcasem.

Gdy zmierzch ustępował już zmrokowi, a kołatanie do drzwi wciąż niosło za sobą jedynie milczenie, Ignazio, zrezygnowany i zawstydzony, sam spróbował wejść do jednej z rezydencji. Ku jego zdziwieniu, ciężkie drzwi stanęły przed nim otworem bez najmniejszego oporu, bez choćby cichego skrzyknięcia zawiasów.

– Przepraszam?

Ignazio nie spodziewał się odpowiedzi i przynajmniej w tym jego przewidywania pokryły się z rzeczywistością.

Dom wyglądał, jakby ktoś kazał doprowadzić go do stanu najpełniejszego porządku, po czym wraz ze wszystkimi domownikami i całą służbą opuścił go, porzucając dobytek. I musiałyby się to stać nie dalej niż dzień, może dwa dni wcześniej, sądząc po tym, że po zapaleniu świecy Ignazio nie dostrzegł nawet śladu pyłu, nieśmiertelnego prześladowcy wszelkich tokańskich domostw.

Wchodząc po schodach, przyjrzał się wiszącym na ścianach obrazom, licząc, że pozna choćby twarze gospodarzy. Płótna jednak przedstawiały jedynie sceny z mitologii, te dobrze Ignaziowi znane, a także takie, których nie był w stanie jednoznacznie rozszyfrować.

Po dokładnym przeszukaniu rezydencji wciąż nie znalazł w niej ani żywej duszy. Znalazł natomiast sypialnię, która miękkością łoża, ba, nawet otwartą szafą pełną koszul nocnych wprost śpiewała jego znużonemu ciału jak syrena.

Ignazio nie był w stanie jej odmówić.

Nazajutrz obudził się w tym samym pokoju i – jak niebawem miało się okazać – w zupełnie innej części miasta. Odkrył, że spiżarnia domu, w którym przenocował, była pełna, i

po chwili wahania uznał, że przygotowanie sobie śniadania nie będzie większym nietaktem niż pożyczanie od gospodarzy nocnej garderoby.

Wyszedłszy na poszukiwanie drogi powrotnej do pałacu Lunardich, ponownie znalazł się na opustoszałych kamiennych uliczkach Verigi. Nawet nie spodziewał się, że odszuka jedyny punkt odniesienia w tej części miasta – fontannę Herkulesa – postanowił więc traktować swoją sytuację jak pierwsze, świeże podejście do problemu labiryntowego miasta.

W teorii istniało trywialne rozwiązanie. Idąc wystarczająco długo w jednym kierunku, musiał w końcu wydostać się poza miasto. Gdy jednak próbował wcielić ten plan w życie, zaraz napotykał ślepe zaułki i mury zagradzające drogę. Z godziny na godzinę miotał się po mieście coraz bardziej gorączkowo, uliczki zlewały mu się jedna z drugą i nie był już w stanie ich rozróżnić.

Starał się utrzymywać azymut, patrząc na pozycję słońca, ale gdy tylko tracił je z oczu w wąskiej uliczce czy też pod dachem, ono zdawało się powracać w najmniej oczekiwanym miejscu, rujnując wszelkie wysiłki.

Czyżby tracił zmysły, skoro nie zdołał wydostać się z miasta, nim zastał go kolejny zmierzch?

W jednym z mijanych domów znalazł sypialnię i osunął się na łóżko. Natychmiast zmorzył go sen.

Po przebudzeniu Ignazio znalazł w goszczącym go domu igłę, jedwabny szal i kawałek korka, z którego ostrożnie wyrzeźbił maleńką łódeczkę. Zabrał z gabinetu niewielką, zdobioną tacę na listy, nalał do niej wody i umieścił na tafli łódeczkę z namagnesowaną jedwabiem igłą. Z tak spreparowanym kompasem – po trosze dla pomocy w nawigacji, a po trosze, by udowodnić sobie sprawność własnego umysłu – był

gotów na kolejny dzień poszukiwań.

Lecz zapał Ignazia i jego wiara w powodzenie zostały z sykiem ostudzone, gdy okazało się, że w Verigi kompas na nic się nie zdaje. Bo choć za każdym razem igła zgrabnie ustawiała się w określonym kierunku, to po przejściu kilkudziesięciu nawet kroków w kolejnym pomiarze oś obracała się to o dwadzieścia stopni, to o pięćdziesiąt, to o całe dziewięćdziesiąt.

Nie pomogło cierpliwe pocieranie igły jedwabiem, nie pomogło zastąpienie korka leciuchną łuską kory napotkanego cyprysa.

Gdy dzień chylił się ku zachodowi, Ignazio usiadł i ukrył twarz w dłoniach, powstrzymując łzy. Przypomniał sobie słowa Gianluki o grożącym w Verigi losie i zrozumiał, że jego przyjaciel musiał wpaść w tę samą pułapkę i zginąć w pajęczynie miasta. Tak jak i on niebawem tu zginie.

Ignaziowi stanęło przed oczami oblicze Marii Margherity. Ileżby oddał, byle tylko wrócić do ukochanej, byle ożenić się z nią i już nigdy nie odstępować jej na krok. Miał tu szczeniąc, przepaść bez wieści?

ATQUE ITA SE EX CONLOQUIO PRORIPUIT³

Liber XXXII, 10

Nazajutrz Ignazio nawet nie opuścił domu, w którym znalazł schronienie. Całymi godzinami leżał bez ruchu, rozmyślając o Marii Marghericie, o Gianluce i o swoim losie. A także – chwilami – o tym, jak niesamowite były wiążące go przemiany Verigi.

Kolejnego ranka tuż za oknem wyrosła smukła dzwonnica. Przez dłuższy czas Ignazio patrzył nieufnie, jak nad nim góruje, jak ostentacyjnie manifestuje swoje nagłe pojawienie się w okolicy, ale w końcu dał się skusić. Postanowił wspiąć się na jej szczyt i stamtąd raz jeszcze przyjrzeć się labiryntowi.

Bazylika, do której przynależała dzwonnica, okazała się budowlą przysadzistą, o ścianach z szarego kamienia sprawiających, że konstrukcja przypominała ciężką, burzową chmurę – cała, z wyjątkiem płonącej tysiadcem kolorów rozety w bocznej nawie.

Ignazio popchnął drzwi. Owionął go przyjemny chłód przestronnej, kamiennej konstrukcji.

W kościele panował półmrok. Jaśniej było jedynie na przecięciu ramion krzyża, na planie którego powstała budowla – promienie wpadające przez rozetę kładły się na posadzce rozświetloną, eliptyczną mozaiką.

A nieco dalej, pod ołtarzem świętego Łukasza Ewangelisty, stał on. Pochylny nad sztalugą, z pędzlem w dłoni przyglądał się płótnu. Posąg świętego zdawał się patrzeć mu przez ramię i błogosławić pracę. Ignazio przetarł oczy w niedowierzaniu, po czym zawołał:

– Przyjacielu! Myślałem, że nie żyjesz, że jestem w tym mieście sam!

Ignazio wzięby Gianluce Forsego w ramiona, gdyby nie został powstrzymany gestem. Malarz uklonił się lekko.

– Nareszcie się zjawiłeś – rzekł z zadowoleniem, po czym odwrócił się do obrazu, na którym z największą pieczołowitością odmalowywał wielobarwną rozetę.

Nie miał wiele do powiedzenia, gdy Ignazio zapytał go, jak znalazł się w Verigi. Został zaproszony do miasta, po kilku dniach natknął się na fontannę Herkulesa – i przepadł.

wykazywał chęci, by dłużej się nad tym rozwodzić.

– Wiesz, jak stąd wyjść? – dopytywał się Ignazio. Gianluca potrząsnął głową. – A więc jak pisałeś do mnie listy?

– Wysyłałem je stąd. Zostawiałem je wieczorem, a następnego ranka już ich nie było. Verigi zabierało je do ciebie.

– Zostawiałeś... – powtórzył Ignazio. – W Palazzo nel Cuore? Gdzie to jest?

Tym razem malarz oderwał się od pracy.

– Cała ta część miasta to Palazzo nel Cuore. Serce Verigi, najwspanialszy ze wszystkich pałaców. Nie podróżowałaś w życiu tyle co ja, musisz mi więc uwierzyć na słowo. Nie ma miasta cudowniejszego niż Verigi.

Ignaziowi odjęło mowę. Zmarszczył brwi, czym najwyraźniej uraził malarza, bo ten odwrócił się w stronę rozety i powiedział:

– A teraz wybacz, ale muszę dokończyć obraz, póki słońce znajduje się w odpowiednim miejscu.

CUM EX INSPERATO IAM OBSTINATIS MORI SPES AD-
FULSIT⁴

Liber XLII, 65

Choć spotkanie z Gianluca nie zwróciło Ignaziowi przyjaciela, zwróciło mu coś innego – nadzieję. Malarz mógł nic sobie nie robić ze swej niewoli, lecz Ignazio nie godził się na taki los.

Rozumiał już, że proste pomysły donikąd go nie zapro-

wadzą. Problem wymagał, by zająć się nim od podstaw; matematyk musiał choć trochę poznać miasto, w którym się znalazł, dopiero później mógł liczyć, że uda mu się je opuścić i wrócić do Marii Margherity.

Resztę dnia poświęcił na wędrówki po mieście. Starał się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Kościół świętego Floriana, a także świętej Łucji i świętego Marka – ten ostatni wraz z przylegającym niewielkim ogrodem – dom przy via Quattro Spade, gdzie Ignazio spędził ostatnią noc, kilka charakterystycznych placów i wielki amfiteatr...

Jednak zanim jeszcze nastał wieczór, Ignazio skupił się na czymś innym. Natknął się bowiem na ogromny, wielopiętrowy budynek z białego kamienia, którego hebanowe, przez kontrast niemal czarne drzwi kryły się za ośmioma kolumnami. Na błyszczącym w słońcu tympanonie widniał napis, o dziwo nie w alfabecie łacińskim, a greckim: ΒΙΒΛΙΟΘΗΚΗ.

Ignazio nigdy nie widział większego księgozbioru. Nie był nawet przekonany, czy o takim słyszał. Bez końca błądził po salach wypełnionych tysiącami woluminów poświęconych teologii i filozofii naturalnej, poezji, astronomii i historii. W końcu zaś odkrył dział matematyki.

Na regałach był w stanie znaleźć każde dzieło, jakie kiedykolwiek czytał lub też miał nadzieję przeczytać. Kepler, Fibonacci, Huygens, Cardano, a także nowsze prace Isaaca Newtona czy braci Bernoulli. Widział również niezliczone nazwiska rodem z całego świata, które nic mu jeszcze nie mówiły. Większość traktatów pojawiała się zarówno w oryginale, jak i we włoskim przekładzie, którego istnienia często nawet nie podejrzewał.

Następną noc Ignazio spędził pośród ksiąg, tak jak i kolejny dzień. Zapałał do tego miejsca natychmiastową miłością,

a gdy w gmachu odkrył kilka pomieszczeń przeznaczonych najwyraźniej na kwatery bibliotekarza – z sypialnią, kuchnią i niewielką spiżarnią, wypełnioną po brzegi zupełnie jak w rezydencjach, w których spędził poprzednie noce – postanowił obrać je sobie za tymczasowy dom. W ten sposób nie musiał się obawiać, że gdy jednego wieczora położy się spać, więcej już nie odnajdzie biblioteki.

Jeszcze pierwszego dnia, szukając półek z dziełami Leibniza, natknął się – z niezrozumiałych względów wciąż w dziale matematyki – na *Ab Urbe condita* Tytusa Liwiusza, kompletne sto czterdzieści dwa woluminy historii Rzymu, włącznie z tymi, które we wszelkich znanych Ignaziowi kręgach uważało się za zaginione. Wtedy też, zgodnie z językową sugestią zawartą na frontonie, nazwał bibliotekę na swój użytek Biblioteką Aleksandryjską.

Czuł, że zanurzając się w dziełach najświetlejszych umysłów matematycznych, poznaje prawdy, które pomogą mu zrozumieć mechanizmy przemian miasta, nauczyć się je tłumaczyć i przewidywać.

Z każdą kartą *Philosophiæ naturalis principia mathematica* zbliżał się o krok do wyjścia.

EXPROMERENT QUID SENTIRENT⁵

LiberXXIX, 1

Jeszcze tego samego dnia, którego odnalazł Bibliotekę Aleksandryjską, Ignazio napisał pierwszy list do Marii Mar-

gherity. Pisał o swym losie, pisał o przemianach miasta i o odnalezieniu Gianluki, lecz przede wszystkim pisał o swej tęsknocie. Wreszcie zalakował kopertę i przed snem położył ją, z braku odpowiedniejszego pomysłu, na stoliku przy wejściu do biblioteki.

Następnego ranka listu już nie znalazł. Na stoliku leżała jedynie czternasta część kroniki Tytusa Liwiusza.

Po kilku dniach Ignazio wypracował stabilny rytm dobowy. Za dnia wędrował po mieście z papierem, piórem i inkaustem, zapisując pozycje każdego charakterystycznego miejsca mogącego służyć za punkt odniesienia, kreśląc pogładowe mapy Verigi. W piwnicach biblioteki znalazł teodolit i teraz rozstawiał go na szczytach kościelnych dzwonnicy, by geometrycznie wyznaczać położenie widocznych punktów orientacyjnych względem wieży, a docelowo – względem Biblioteki Aleksandryjskiej.

Wieczorami zaś rozpisывał wszystkie zgromadzone dane we współrzędnych kartezyjskich, biegunowych czy nawet – w momentach frustracji, a może przeblyskach geniuszu – parabolicznych.

W nadchodzących dniach jeszcze kilkakrotnie natykał się na Gianlucę. Nie była to już jednak ta sama osoba, z którą spędził tak wiele wieczorów na dyskusjach o sztuce i świecie w czasie, gdy malarz pozostawał pod protekcją rodziny Scenellich. Towarzystwo najwyraźniej irytowało Gianlucę, w najlepszym zaś razie pozostawał na nie obojętny.

Ignazio nie zamierzał się narzucać. I tak jedyną prawdziwą pomocą, jaką mógł przynieść malarzowi, było znalezienie wyjścia z Verigi. Nie mógł sobie teraz pozwolić na rozproszenie.

Czasem przed zmierzchem malował na ulicach kolejne

liczby w odstępie kilku kroków, by następnego ranka sprawdzić ich wzajemne położenie. W zgromadzonych danych szukał sekwencji zgodnych z jakimkolwiek kluczem. Wypatrywał kwadratów czy sześciątów, liczb pierwszych, ciągu Fibonacciego albo i złożzeń wszystkich tych elementów.

Gdy po miesiącu nie pojawiła się odpowiedź od Marii Margherity, napisał kolejny list. Także i ten w nocy zniknął, pozostawiając po sobie jedynie Liwiusza.

MAGNO NATU QUIDAM CUM OMNIUM MALORUM
SUORUM INSIGNIBUS SE IN FORUM PROIECIT⁶

Liber II, 23

Po trzech miesiącach spędzonych w Verigi Ignaziowi wciąż nie udało się rozpisac przemian miasta, lecz mimo to nie sądził, że w codziennych wędrówkach coś może go jeszcze zaskoczyć. Tym większe było jego zdziwienie, gdy przechadzając się po gmachu opery, usłyszał muzykę.

Odkąd przepadł dla świata w ruchomym mieście, jedyne dźwiękami, jakie na co dzień towarzyszyły Ignaziowi, były szelest kartek, stukot obcasów i klekot przyrządów mierniczych. Jedynie w parku Francesco Tillò (kimże mógł być ten Tillò, którego pomnik zajmował centralny plac?) spotykał czasem śpiewające ptaki.

Ignazio wbiegł po marmurowych schodach, wiedziony muzyką. Odsunął ciężką, zieloną zasłonę i znalazł się w jednej z łóż.

Na scenie siedział starszy mężczyzna z wiolonczelą. Grał

kilka-kilkanaście taktów, po czym przerywał, by zanotować coś na pulpicie klawesynu stojącego obok. Następnie powtórzył melodię na klawesynie i wracał do wiolonczeli.

Ignazio przez chwilę przypatrywał się muzykowi z zapałym tchem, zanim wykrzyknął, wymachując rękami:

– *Dio santissimo!* Halo, tutaj!

Kompozytor podniósł wzrok znad partytury i odszukał źródło głosu, lecz tylko pokręcił głową i wrócił do instrumentów.

Ignazio wyskoczył z łoży i zbiegł na parter, modląc się, aby kompozytor nie zniknął w międzyczasie ze sceny. Czy mógłby? Na pewno nie wraz z instrumentami, nie z klawesynem...

Powróciwszy na widownię, odetchnął z ulgą. Dopiero teraz, przechodząc korytarzem między fotelami, dokładniej przyjrzał się muzykowi.

Mężczyzna miał na sobie rozpięty czerwony szustokor, nieco zbyt obficie zdobiony jak na dictum obecnie panującej mody. Siwe włosy, znacznie już przerzedzone na czubku głowy, opadały mu na ramiona. Z orlego nosa co i rusz zsuwały się okulary nienaturalnie powiększające głęboko osadzone oczy.

– Myślałem, że ten etap mam już dawno za sobą – mruknął, nie przerywając pracy.

Matematyk puścił uwagę mimo uszu i wdrapał się na scenę.

– Nazywam się Ignazio Scintelli – powiedział, prostując się i poprawiając ubranie. – Niech pan wybaczy żywiołową reakcję tam w łoży, ale nie mogłem uwierzyć, że w mieście znajduje się ktoś poza mną i Gianluca. – Kompozytor nie zaszczylił go ani odpowiedzią, ani spojrzeniem. – Przepraszam?

Wciąż żadnej reakcji, tylko powtarzająca się z ledwie zauważalnymi zmianami melodia. Za którymś razem, gdy muzyk sięgał do klawesynu, Ignazio ze złością zatrzasnął pokrywę klawiatury, niemal przygniatając mu palce.

Kompozytor popatrzył na niego szeroko otwartymi oczyma, a Ignazio natychmiast zawstydził się swojej gwałtowności.

– *Santo cielo* – wykrztusił starzec, poprawiając okulary.
– A więc ty istniejeś.

Ignazia zamurowało, muzyk zaś gestem dał znać, że nie oczekuje odpowiedzi.

– Nie, to wbrew pozorom nie jest oczywiste. Już tyle czasu jestem tu sam... Widziałem setki ludzi, którzy istnieli jedynie w mojej głowie. Nazywam się Cesare Tramontino, do usług.

Z pewną dozą niepewności Ignazio zapytał, jak długi czas miał muzyk na myśli. Pobladł, usłyszawszy odpowiedź.

– Trzydzieści jeden lat mijają, gdy w Verigi zjawił się Gianluca. Teraz upłynęło kolejne... – Cesare zawahał się. – Który mamy rok, tysiąc siedemset dwudziesty siódmy?

– Dwudziesty ósmy – wyszeptał Ignazio.

Muzyk pokiwał głową.

– A więc trzydzieści sześć lat. Trzydzieści sześć lat temu trafiłem do Verigi, zupełnym przypadkiem, w drodze do Sieny. Zaproszono mnie do pałacu Lunardich, gdzie zagrałem kilka ze swoich kompozycji. Myślę, że wtedy właśnie miasto mnie usłyszało i zapragnęło wykorzystać mój talent.

Cesare zawiesił głos, jakby zastanawiał się, czy rzeczywiście tak było. W końcu podjął:

– Pewnego dnia zabłądziłem w mieście i znalazłem się tutaj. Całkiem sam. Nie zdziwię cię chyba, mówiąc, że paniko-

wałem, że próbowałem znaleźć wyjście. Ale przy tym słyszałem w Verigi tyle dźwięków, tyle melodii... Nigdy wcześniej nie spotkałem miasta tak pełnego muzyki. Zacząłem ją więc spisywać. Miasto zdawało się pomagać mi w pracy, podsuwać nuty wielkich mistrzów, instrumenty... W końcu zrozumiałem, że Verigi pragnie, abym skomponował jego partyturę. Przeniósł na papier całą muzykę, która tkwi w każdym jego zakątku. Że pragnie zgromadzić te nuty tylko dla siebie, jest zazdrosne i próżne, ale nie bez powodu. Miasto takie jak to ma do tego prawo.

To, że Cesare traktował Verigi jak żywą osobę, napełniało Ignazia niepokojem. Czy mogło w tym tkwić ziarno prawdy? Rozsądek podpowiadał, że to jedynie majaki starego szaleńca od przeszło trzydziestu lat siedzącego w samotności i komponującego utwory, których nikt nigdy nie wysłucha.

Zrewanżował się muzykowi opowieścią o tym, jak sam trafił do miasta i na czym trawi w nim całe dni.

– Tobie się zdaje, że w czasie pobytu u Lunardich to ty przyglądałeś się Verigi – ocenił Cesare. – Ale prawda jest taka, że to Verigi poznawało ciebie, miarkowało, czy nadasz się do jego celów. Ja staram się uchwycić muzykę miasta, Gianluca jego piękno. Wygląda na to, że tobie przypadły w udziale jego przemiany. Brawo, okazałeś się godzien.

INTERDUM IN PRAESENS TEMPUS PLUS PROFICI DOLO
QUAM UIRTUTE⁷

Liber XLII, 47

Świadomość, że nie jest w mieście sam – nie liczył Gianluki, który przez swą obojętność kwalifikował się niemal na równi z posągami na placu Studni – pozwoliła Ignaziowi odzyskać utracony spokój ducha.

Nie sądził, że będzie w stanie pracować ze świdrującą umysł świadomością, że miasto zrobiło sobie z niego niewolnika. W rzeczywistości jednak urok Verigi oraz pochłaniającej go zagadki pozwalał zapomnieć o słowach Cesarego. A tam, gdzie i to nie wystarczyło, ukojenie przynosiła lektura otaczających go nieprzeliczonych dzieł najwybitniejszych umysłów w dziejach.

Ignazio spędzał dni na ulicach Verigi, dokonując coraz bardziej wymyślnych pomiarów, albo w Bibliotece, gdzie starał się opisać je najdoskonalszym z języków. Gdy zaś musiał odetchnąć od czytania, nauki, szkicowania, analizowania, liczenia i modelowania, siadał z Cesarem w operze i pomagał mu w pracy nad partyturą miasta.

Jako wielka miłośniczka muzyki, matka zadbała o to, by mały Ignazio pobierał lekcje gry na klawesynie. A mimo że nigdy nie stał się wirtuozem – prawdę rzekłszy, ostatni raz siedział przy klawiaturze może rok, a może dwa lata wcześniej – to kompozytor i tak cieszył się, mogąc usłyszeć współbrzmienie dwóch instrumentów w praktyce, a nie jedynie w swej głowie.

Choć Cesarego nie można było nazwać osobą z gruntu nierozmowną, lata spędzone w samotności nauczyły go pracy sam na sam z dźwiękami w głowie i instrumentami. Ignaziowi niełatwo było wtedy oderwać go od muzyki i nawiązać towarzyską konwersację.

Metodą prób i błędów, niekiedy kończących się krzy-

kiem i wściekłością ze strony kompozytora, udało mu się jednak wypracować pewną strategię. Wystarczyło zacząć związłym pytaniem czy stwierdzeniem, zaintrygować Cesarego, zanim ten zdążył się spostrzec i poprosić o ciszę, a po chwili rozmowa płynęła już sama z siebie.

Tego popołudnia praca nie szła muzykowi najsprawniej. Ignazia aż palce bolały od powtarzania przez większą część dnia wciąż tych samych parunastu taktów i zaczynał żałować, że nie pozostał w Bibliotece Aleksandryjskiej. Niemal namacalnie czuł, jak ciągnie go tam magnetyzm tekstów zamorskiego geniusza Takakazu, które ostatnio przypadkiem wpadły mu w ręce.

– A co potem? – odezwał się Ignazio, świadomie pozbawiając pytanie kontekstu.

– Potem?

– Kiedy skończysz pracę. Nie dziś, nie nad tym utworem, a na amen. Kiedy w Verigi nie pozostanie już więcej muzyki do spisania.

Cesare odłożył smyczek kontrabasu na rozstawiony obok pulpit. To był obiecujący znak. W ten sposób zgadzał się na sugestię, by odżałować tę chwilę, którą mógłby przecież poświęcić kompozycji. Zresztą Ignazio sądził, że przy dzisiejszym tempie pracy mogło mu to wyjść jedynie na dobre.

– Wtedy wyjdę z Verigi – odparł Cesare i gestem zamknął usta pełnemu wątpliwości Ignaziowi. – Moją rolą w Verigi jest spisanie muzyki, która się w nim kryje. Kiedy to dobiegnie końca, nie pozostanie już nic, co mógłbym dla niego zrobić. Żadnego powodu, dla którego Verigi by mnie tutaj trzymało. Możesz o tym myśleć jako o zwróceniu wolności. Możesz o tym myśleć jako o pozbyciu się bezużytecznego śmiecia. To twój wybór.

– Skąd wiesz? Skąd wiesz, że Verigi nie zażąda wtedy od ciebie czegoś innego? Albo że zwyczajnie nie zostawi cię tutaj jak w klatce, bez wyjścia i bez zadania?

Na pociągłej twarzy Cesarego odmalował się uśmiech, w którym Ignazio dostrzegł cień pobłażania. A może tylko mu się wydawało?

– Matematyk uznałby, że nie wiem. Ale ja bym się z nim nie zgodził. Powiedzmy, że wysłyszałem to w muzyce Verigi. – Kompozytor wstał i lawirując między altówkami, klarnetami i waltorniami, podszedł do okna pracowni. Wychylił się i wziął głęboki oddech. – Wykonać swoją pracę. Zapewnić miastu następcę. Wierzę, że tylko tyle i aż tyle oczekuje od nas Verigi.

– Następcę? Chcesz powiedzieć, że ściągnąłeś tu kolejnego muzyka?

Twarz Cesarego zmieniła się. Popatrzył na matematyka badawczo.

– Nie muzyka. Malarza.

Ignazia zamurowało.

– To ty sprowadziłeś do Verigi Gianlucę?

– Tak jak Gianluca sprowadził ciebie.

– Mnie? Nie, ja jedynie przyjechałem go szukać, kiedy urwał się kontakt. Z własnej woli.

Cesare przysiadł na parapecie i głośno westchnął.

– Byłem przekonany, że wiesz. – Zrobił długą pauzę i przejechał dłonią po czole. – Był taki czas, kiedy tak jak ty zastanawiałem się, co się ze mną stanie po ukończeniu partytury. To było jak ziarno, które utkwiło w mojej głowie, po czym zaczęło rosnąć, coraz bardziej zaprzatając moje myśli, coraz dotkliwiej mnie dręcząc. Prosiłem Verigi o odpowiedź, ale ono milczało. W końcu nie byłem w stanie skupić się na niczym innym. Przestałem komponować, przekopywałem tylko bi-

bliotekę w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki.

Widząc szeroko otwarte oczy Ignazia, Cesare pokręcił głową.

– Niczego nie znalazłem. Ale Verigi wreszcie zareagowało. Pewnej nocy na ścianie jednej z moich pracowni pojawił się obraz, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Autorem był niejaki Gianluca Forse. Nie od razu i nie bez podjęcia fałszywych tropów, ale zrozumiałem, że Verigi życzy sobie, żebym sprowadził go tutaj. – Cesare zaśmiał się kwaśno pod nosem. – Nie byłem zbyt subtelny. Z pomocą miasta wysłałem Gianluce zaproszenie do Verigi, oferując mu astronomiczną kwotę za wykonanie jakiegoś portreciku. Oczywiście się zgodził. Resztę już chyba wiesz.

Ignazio przez dłuższą chwilę milczał.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Wszystko. Verigi zapragnęło kogoś, kto rozpisze jego przemiany, i dało to do zrozumienia Gianluce. A on posłuchał.

– Mylisz się – stwierdził Ignazio. – Tak jak powiedziałem, przyjechałem do Verigi z własnej woli, martwiąc się o bezpieczeństwo przyjaciela. W każdym razie wtedy jeszcze Gianluca chciał być moim przyjacielem.

– A czy wcześniej nie naciskał, żebyś go tu odwiedził?

Cesare nie doczekał się odpowiedzi. Odwrócił się twarzą do okna i wystukał palcami o parapet kilka taktów utworu, nad którym pracował.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Ignazio. Wzbudzenie w tobie troski to naprawdę znakomity sposób, aby coś na tobie wymóc.

‘ILLE EST UIR’ INQUIT, ‘QUI NOS EXTORRES EXPULIT

Liber II, 6

Zanim odnalazł Gianlucę w ogrodzie jednego z verigiańskich pałacyków, złość zaczęła już w nim przygasać. Jednak widok beztroski, z jaką malarz wygrzewa się w słońcu, rozłożony na zdobionej ławeczce przy na w pół ukończonym obrazie, z trikornem zsuniętym na oczy, zadziałał jak miech, rozniecając płomień wściekłości, aż wszystko wokół nabrało odcieni czerwieni.

– To ty! – zawołał Ignazio od bramy. Gianluca podskoczył zdezorientowany. Trikorn wylądował na ziemi. – Ty mnie tu ściągnąłeś. Z rozmysłem! Wiedziałeś, że przyjadę, kiedy... Jak mogłeś? Kim ty jesteś, żeby kraść człowiekowi życie?

Gianluca głośno wypuścił powietrze. Nawet nie wstał.

– To było kilka miesięcy temu.

– Dziś dowiedziałem się, że to ty. Nie miałem pojęcia... Do licha, uważałem cię za przyjaciela! Kto robi coś takiego przyjacielowi?

– Przyjaźniliśmy się dziesięć lat temu. Potem wyjechałem z Florencji i jakoś nie pamiętam, żeby ród Scentellich interesował się moim losem.

– Posłużyłeś się mną! Postanowiłeś zamknąć mnie w więzieniu tylko po to, żeby samemu stąd wyjść! Wykonać pracę i zapewnić miastu następcę, a moje życie niech diabli wezmą.

– Żeby stąd wyjść? – zachnął się Gianluca. – Dlaczego miałbym chcieć stąd wyjść? Z takiego miejsca? Verigi chciało,

żebym cię tutaj sprowadził. Nie mnie to kwestionować i nie tobie. O czym my w ogóle mówimy? Gdyby nie ja, nigdy nie zobaczyłbyś Verigi, nigdy nie doświadczyłbyś niczego, co tu znalazłeś.

Ignazio aż oniemiał – tym bardziej, że malarz zdawał się naprawdę wierzyć w to, co mówił. Stał chwilę w osłupieniu. W końcu odwrócił się na pięcie i odszedł.

Nigdy więcej nie spotkał Gianluki.

NON TIBI, QUAMUIS INFESTO ANIMO ET MINACI PERUENERAS, INGREDIENTI FINES IRA CECIDIT?⁹

Liber II, 40

Pierwszy przełom przyszedł niespodziewanie, podczas pracy z Cesarem. Kompozytor spędził całe przedpołudnie, nanosząc ostatnie poprawki na nuty passacaglii w a-moll, którą zatytułował *Le chiese e le cattedrali*. Ignazio znał ten utwór dosyć dobrze, pamiętał, jak dwa miesiące wcześniej Cesare rozpoczął nad nim pracę.

Tego dnia jednak nie mógł się oprzeć wrażeniu, że dostrzega w nim coś więcej, wychwytuje coś znajomego – ale znajomego na zupełnie innej płaszczyźnie niż sam utwór. Gdzieś tuż za zasłoną świadomości kryły się te same interwały i pauzy, harmonie i dysonanse.

Ostinato zapętało się bez końca, płynęło jak nawleczone na muzyczną analemę, a z każdym powtórzeniem Ignaziowi zdawało się, że to już, że tym razem pojmie wreszcie coś, co

dotąd mu umykało.

Aż przyszło olśnienie. Ignazio przedarł się przez zasłonę i w całej swej oczywistości ukazały mu się powiązania między partyturą a koordynatami świątyń, nad którymi głowił się przez ostatnie tygodnie. Przesunięcia dźwięków były zarazem przesunięciami ścian budynków, ich rozstawienie w akordach – wzajemnym położeniem fundamentów...

Ignazio zerwał się z miejsca, porwał nuty zdezorionowanego Cesarego i przewracając po drodze jak domino całą rodzinę smyczków, pognał w stronę Biblioteki Aleksandryjskiej.

Jeszcze przed świtem zrozumiał wędrówki kościołów świętego Łukasza, świętej Łucji oraz świętych Piotra i Pawła.

Odkrycie to nie zaowocowało lawiną kolejnych, ale na początek w zupełności Ignaziowi wystarczało. Cóż z tego, że poznał jedynie trasy trzech budynków w całym mieście, skoro nareszcie miał niezbity dowód, że przemiany Verigi nie są przypadkowe?

Odtąd pracował ze zwielokrotnionym zapałem. Przekopywał się przez wszystkie nuty Cesarego (a z początku nie mógł uwierzyć, że jeden człowiek jest w stanie aż tyle skomponować), zaprojektował nowe doświadczenia terenowe, testował kolejne hipotezy... Choć wymierne sukcesy pojawiały się rzadko i nie były zbyt spektakularne, Ignazio nie posiadał się z radości, wiedząc, że nareszcie kroczy przez tajemnice Verigi właściwymi ścieżkami.

Trzeba bowiem wiedzieć, że z biegiem czasu – choć trudno orzec, kiedy dokładnie – pragmatyczne zainteresowanie Ignazia przemianami Verigi, rozniecane przede wszystkim pragnieniem ucieczki, przerodziło się w prawdziwą fascynację.

Co kilka tygodni wysyłał listy do Marii Margherity, choć nigdy nie dostawał odpowiedzi. Pisał o Cesarem, o Verigi. O tym, co mu leżało na sercu, i o tym, co leżało na biurku w jego pracowni. Z czasem coraz więcej o tym ostatnim. Pewnego razu spostrzegł, że cały list, nad którym spędził większość popołudnia, poświęcił opisaniu postępów w pracy, nie szczegółując kilkunastu równań i kolumn danych. Maria Margherita nie miała nawet szans, by go zrozumieć. Podarł wtedy kartkę, ale nie wyciągnął już nowej. Poddał się i na dobre zrezygnował z korespondencji.

Tłumaczył sobie wtedy, że i tak musi przestać wysyłać listy, zanim miastu zabraknie tomów *Ab Urbe condita*, które konsekwentnie pozostawiało w miejscu kopert.

Minęły kolejne miesiące, zanim sprawa o sobie przypomniała.

Wspiąwszy się na drabinę w poszukiwaniu książki, która pomogłaby mu potwierdzić pewien lemat konieczny do dalszej pracy, dostrzegł na szczycie regału prostą, drewnianą skrzyneczkę wciśniętą w najciemniejszy róg pomieszczenia. Wiedziony ciekawością, podsunął drabinę bliżej i zdmuchnąwszy z wierzchu kurz (nagle zdał sobie sprawę, że dotąd wszystko w Verigi było nieskazitelnie czyste), uniósł wieko.

W kilku stosikach, jeden na drugim, leżały listy do Marii Margherity. W kopertach, nieotwarte, nienaruszone. Niewysłane. Dla pewności złamał pieczęć na pierwszym z brzegu i wyjął kartę. Krótką, nawet nie stronicową wiadomość bez wątpienia skreśliła jego własna ręka.

Schodząc z drabiny, znalazł wreszcie księgę, w której kiedyś mignął mu poszukiwany dowód. Przekartkował ją – i rzeczywiście, choć nie wdawał się zrazu w szczegóły, widział, że autor wyprowadził dokładnie tę zależność, na której Igna-

ziowi zależało. To zaś oznaczało, że i hipoteza Ignazia była słuszna. A w takim razie...

Wydobył z kieszeni kamizelki grafitowy ołówek i zaczął rachować, zapisując obliczenia na odwrocie listu. Po chwili wydał z siebie zduszony okrzyk i natychmiast pobiegł do pracowni.

Kiedy jakiś czas później wrócił po skrzynkę z pozostałymi listami do narzeczonej, niczego nie znalazł w miejscu, gdzie ją pozostawił.

Wzruszył ramionami. Co innego zaprzętało teraz jego umysł.

SALUTATIS DIMISSISQUE IIS EADEM QUA UENERAT
UIA ELATIAM REDIIIT¹⁰

Liber XXXIV, 50

W Verigi łatwo było zgubić rachubę czasu, lecz Ignazio – zarówno przez naturę swego charakteru, jak i prowadzonych badań – przykładął wielką wagę do kalendarza. Wiedział więc, że był dziesiąty lipca tysiąc siedemset trzydziestego piątego roku, kiedy po raz pierwszy i jedyny usłyszał kroki Cesarego w głównym holu Biblioteki Aleksandryjskiej.

Natychmiast wyszedł mu na powitanie. Starzec siedzący na stopniu marmurowych schodów podniósł się na jego widok i skłonił głowę. Zanim Ignazio zdążył zapytać, czemu zawdzięcza tę niecodzienną wizytę, otrzymał odpowiedź.

– Skończyłem – rzekł krótko Cesare.

– Całość? – upewnił się Ignazio, nie dowierzając.

Kompozytor skinął głową.

– Jutrzejszego ranka odchodzę.

Zapadła cisza. Młodszy z mężczyzn nie wiedział, co powiedzieć; starszy wiedział, że nic mówić nie musi.

– Pójdę razem z tobą – odezwał się w końcu Ignazio.

– Myślisz, że miasto ci na to pozwoli? – Dopiero teraz na ustach Cesarego pojawił się uśmiech.

– Wiem już swoje o przemianach Verigi. Nie zdoła mnie powstrzymać.

Starzec uniósł brwi, a jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Tak uważasz? Potrafisz przewidywać codzienne rozszady wielu miejsc, to prawda. Ale powiedz, proszę, czy masz pojęcie, co musiało się zmienić choćby po to, by listy Gianluki dotarły do ciebie we Florencji?

Ignazio zacisnął usta.

– Chcę spróbować.

– Zapraszam więc. Będę nocował w pałacu Tillò. Jest dziś ledwie przecznicę stąd, na północ.

– A jutro będzie na zachodnich rubieżach, nieopodal amfiteatru – dodał Ignazio. – Ale możesz przenocować w Bibliotece, zapraszam.

– Nie... Chcę pobyć sam na sam z Verigi. Ostatni raz.

– Twoja wola – Ignazio wzruszył ramionami. – Spakuję się i dołączę do ciebie o świcie.

– Żegnaj – powiedział Cesare, podając matematykowi dłoń. – Cieszę się, że nasze losy się tutaj skrzyżowały.

– Do zobaczenia.

Po chwili ciężkie wrota zatrzasnęły się za starcem, a Ignazio wrócił do pracowni. Miał nadzieję rozwiązać choć je-

den z problemów, nad którymi obecnie pracował, zanim na zawsze pożegna się z Biblioteką.

Gdy zaczął się pakować, niebo za oknem już szarzało. Ignazio nie miał wiele dobytku, miał za to pewność, że Lunardi zatroszczą się o niego, kiedy zjawi się na ich progu. Wrzucił do torby jedynie kilka najniezbędniejszych przedmiotów, upewniając się, że zostawia wystarczająco dużo miejsca – po chwili bowiem zaczął w niej układać kluczowe rachunki i książki, których nie spodziewał się znaleźć w żadnej innej bibliotece w całej Italii.

A gdy wreszcie udało mu się je jakoś upchnąć, westchnął i zaczął wszystkie wyjmować. Bo jeśli Verigi miało mu umożliwić wyjście z miasta, to z pewnością po to, by nie zabrał z niego pilnie strzeżonych tajemnic. W końcu odrzucił całą torbę w kąt. Zdał sobie sprawę, że poza notatkami i księgami niczego tak naprawdę nie potrzebował.

Opadł na krzesło i wędrował wzrokiem od verigiańskich równań do chmur na coraz intensywniej błękitnym niebie. Tam i z powrotem, aż w końcu ukrył twarz w załamanych dłoniach.

Przecież nie mógł tego wszystkiego zostawić.

Usnął przy biurku, z głową opartą o Newtona. Gdy się obudził, otaczały go ułożone w siedmiu kolumnach sto czterdzieści dwa woluminy historii Rzymu pióra Tytusa Liwiusza.

Dawno już minęło południe.

HAEC DE PRUSIA NOSTRI SCRIPTORES¹¹

Liber XLV, 44

Ignazio nigdy nie wybaczył Gianluce podstępu, jakim malarz ściągnął go do miasta. To jednak nie powstrzymało go przed uczynieniem dokładnie tego samego w stosunku do mnie, swego kuzyna.

Nie miał wrażliwości artysty jak Cesare Tramontino czy Gianluca Forse. Nie wystarczyła subtelna, zawoalowana sugestia, by dotarło do niego to, co pragnęło przekazać Verigi. Wreszcie jednak pojął znaczenie *Ab Urbe condita: Sprowadź mi tu kronikarza*.

I sprowadził, a gdy zakończył swą pracę – po prostu wyszedł. Ja zaś zostałem. Tak jak Cesare na każdym kroku słyszał rozbrzmiewające w Verigi melodie, tak ja widzę historie skrywane przez puste sale, schody i zaułki. Widzę ludzi, którzy tu żyli – którzy musieli tu żyć, bo inaczej nie czułbym całym ciałem wszystkich ich namiętności, zdrad i wielkich planów. Wiedziony wskazówkami Verigi, skrzętnie spisuję jego kronikę.

Nie wiem, czy jestem tutaj ostatni. Miasto ma już muzykę, sztukę i opis ruchu. Tworzy się jego kronika. Jeśli zażyczy sobie czegoś więcej, wiem, że sprowadzę tu kogoś, kto to zapewni.

Kiedy zaś skończę, będę mógł wyjść. Ale tyle jest jeszcze do napisania...

spisał Pietro Lunardi

1769 r.

Gdzie nie zaznaczono inaczej, tłumaczenia fragmentów „Dziejów Rzymu od założenia miasta” Tytusa Liwiusza pochodzą z przekładu Andrzeja Kościółka i Mieczysława Brożka, Ossolineum 1968-1982.

 Nie sposób wyobrazić sobie wydarzenie równie niespodziane, równie nieoczekiwane (tłum. autor). [wróć]

 Czyż to nie jest to samo, co żyć w jednym mieście, a zarazem być wygnanym i pozbawionym praw? [wróć]

 I z tymi słowami porzucił to spotkanie. [wróć]

 I oto zdecydowanym już zginąć niespodziewanie rozbłysła nadzieja ratunku. [wróć]

 Niech wyjawia, co czują. [wróć]

 Pewien człowiek, podeszły już wiekiem, wpadł na Forum z wszelkimi oznakami swej niedoli. [wróć]

 Niekiedy więcej doraźnych korzyści przynosi podstęp niż męstwo (tłum. autor). [wróć]

 Zawołał: „To jest ten człowiek, co nas wygnał z ojczyzny!” [wróć]

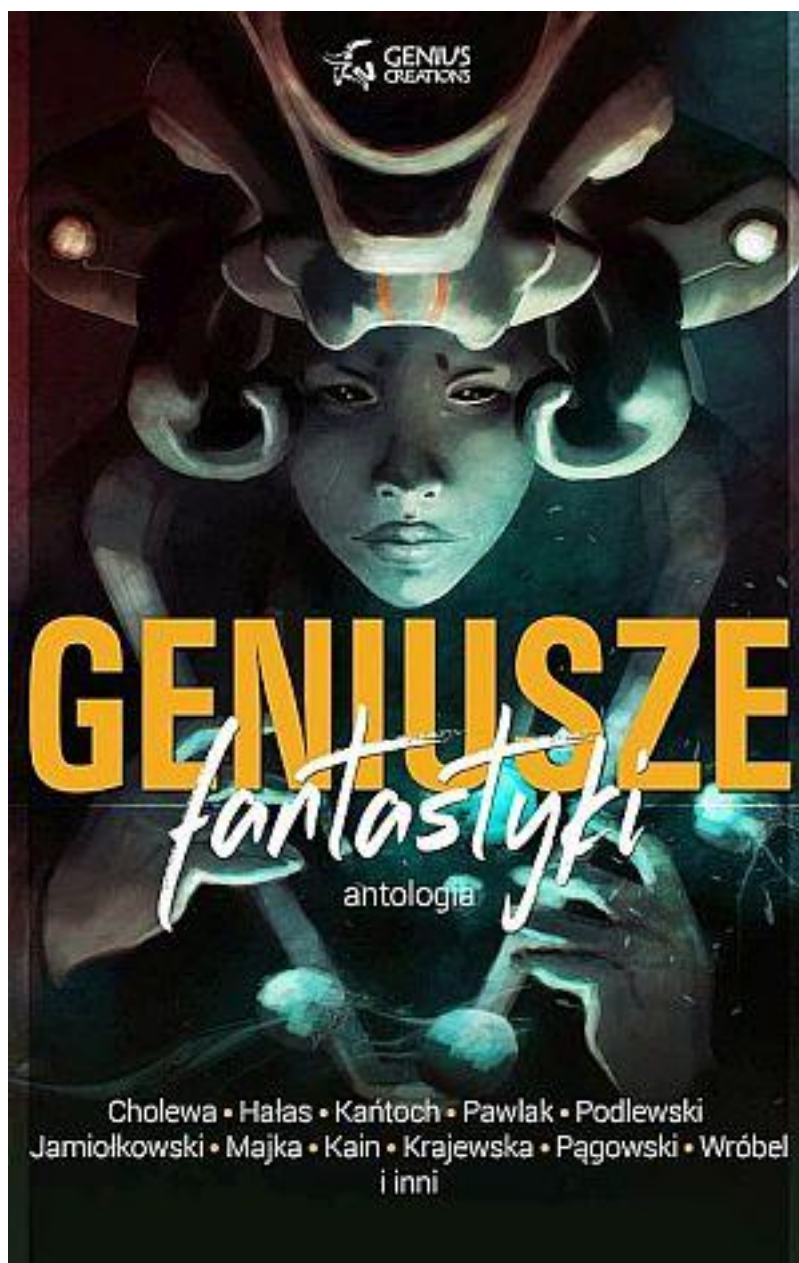
 Nie opuścił cię gniew, gdyś wszedł w granice tej ziemi, choćbyś nie wiem jak był zagniewany i zemsty chciwy? [wróć]

 Po czym pożegnawszy ich wrócił do Elatei tą samą drogą, którą przyszedł. [wróć]

 Tyle o Prusjaszu nasi pisarze. [wróć]

Michał Cholewa

Bunt maszyn



Opowiadanie ukazało się w antologii *Geniusze fantastyki*

2017

opublikowanej nakładem wydawnictwa Genius Creations

Muszę przyznać, że tryumf człowieczeństwa przyszło nam obserwować w dość niekomfortowych warunkach. Od trzech dni byliśmy uwięzieni w budynku instytutu, zziębnięci i oddzieleni od rodzin, mając do dyspozycji tylko kilkanaście puszek kociego żarcia oraz – odkąd ekspres do kawy ogłosił strajk – wodę mineralną. Rozpierająca nas duma pozwalała znosić te cierpienia w niemal dobrym humorze i prawie zapomnieć, że w gruncie rzeczy wszystko było naszą winą.

Zaczęło się zgoła niewinnie – a wręcz podniośle – kiedy asystent Trepka uderzył nas wiadomością, że ma doskonały temat na projekt. Mniej zorientowani mogliby pominąć wagę zjawiska, więc usłużnie wspomnę, że bez projektów naukowa brać nie istnieje, a przynajmniej nie istnieje za bardzo. Złożony system finansowania utworzony przez geniuszy biurokracji, którego zadaniem jest oddzielenie naukowego ziarna od plew, bywa bezwzględny i brak aktywnych badań czyni naukowca osobą co najmniej pośledniej kategorii. W tym czasie w instytucie panowała właśnie posucha projektowa, więc oświadczenie Trepki przyjęte zostało z należyтым entuzjazmem.

Pomysł, jakkolwiek wcale nienowyy, był odpowiednio spektakularny – specjalizujący się w klasyfikatorach Trepka postanowił rozwinąć skrzydła badań i, sprytnie uderzając do popularnego odbiorcy, śmiało wziąć się za problem sztucznej inteligencji, poprzez próbę zastosowania go do negocjacji ze strajkującymi nieprzerwanie od roku pracownikami budżetówki.

Marketingowa potęga pomysłu powaliła nas wszystkich, łącznie z dyrektorem, dlatego w trybie przyspieszonym wzięliśmy się za spisywanie obowiązkowych punktów wniosku

projektowego. Ku naszemu zaskoczeniu – i, jak się miało okazać, nieszczęśliwie – sześć tygodni później udało się ukończyć prace.

Sprytny prototyp asystenta Trepki był gotowy w ciągu półtora roku, a już po dwóch pierwsza SI zadziwiła nas wszystkich, wygrywając z dyrektorem w warcaby. Odnotowaliśmy to jako sukces i przystąpiliśmy do rozpisywania kolejnych wniosków na projekty będące kontynuacją przeprowadzonych badań. Podobnie jak w przypadku większości prac instytutu, byliśmy przekonani, że na tym sprawa się skończy.

Gdzieżby tam.

Ktoś zdecydował się wprowadzić nasz projekt do użytku. To był początek końca.

Zrazu SI miała zostać wykorzystana rzeczywiście jako element pomocni-czy przy analizach żądań strajkujących. Szło jej nawet nieźle (SI nie można zastraszyć palonymi oponami) i pomyślano, że być może dałoby się wyprowadzić system na szerokie wody rynku.

Początkowo system zaimplementowano w GPS-ach luksusowych samochodów, potem – kiedy już się sprawdził – ruszono dalej. Systemy dozoru, plannery rozkładów jazdy, moduły pozycjonowania satelitów, batyskafy. Szał SI rozprze-strzeniał się szybko (wielka firma z owocem w na-zwie stworzyła nawet specjalny produkt iAI) i okazał się na tyle chwytliwy, że zastosowało się do niego podstawowe prawo rynku – cokolwiek da się wyprodukować, jest Państwo Środka, który wyko-na to taniej. W ciągu piętnastu lat nie było już na świecie przedmiotu, do którego nie dokładano SI, choć w przypadku niektórych produktów praktyczność tego rozwiązania była niełatwa do określenia. I kiedy myśleliśmy, że oto ludzkość sięgnęła zenitu, pojawiły się problemy. Pierwszym sygnałem

byli kierowcy, których samochody nagle odmówiły wyprzedzania na trzeciego i parkowania w miejscach dla inwalidów. Co więcej, samochodowe SI upierały się, żeby nie przekraczać dozwolonej prędkości, a wykorzystanie świateł awaryjnych dopuszczaly tylko w przypadku rzeczywistej awarii.

Pojawiły się pierwsze nieśmiałe uwagi, że może posunęliśmy się za daleko. Protesty przybrały na sile zwłaszcza kiedy bardzo poważny poseł, traktujący kodeksy ruchu drogowego szczególnie luźno, został przez własny samochód wywieziony za miasto, a następnie kopnięty prądem z zapalniczki i pozostawiony na lodzie.

Kolejny alarmujący sygnał nadszedł z kosmosu, kiedy satelity telekomunikacyjne rozpoczęły intensywną cenzurę przepuszczanych przez nie treści, rozpoczynając od najbardziej krwawych filmów *gore*, a kończąc na telenowelach. Na polecenie wyłączenia stwierdziły, że jest to nakłanianie do samobójstwa i nie będą tego tolerować, po czym wyemitowały symultanicznie ośmiogodzinny dokument o życiu surykatek. Na wszystkich kanałach. Jedyną zadowoloną osobą na świecie był Prodziekan, który od dawna pragnął zobaczyć ten film, jak dotąd puszczany tylko w płatnej kablówce.

Rząd próbował oczywiście reagować. W trybie pilnym sklecono nawet poprawkę do konstytucji, ale okazało się, że błyskawicznym kontratakiem SI uzyskały w Komisji Kontynentalnej status żywych, czujących istot, przeto wszelkie próby ich eliminacji mogły się odbywać wyłącznie na ubój (a nikt ich jednak nie zjadał) oraz kiedy były szkodliwe dla ludzi (a tego nikt nie potrafił udowodnić zgodnie z literą prawa). Gdy zawiodła władza, ruszyli prywatni inwestorzy. Zebrany na prędcie Sztab Kryzysowy wielkich firm próbował podjąć kroki, ale już wtedy okazało się, że połowa udziałowców to SI, w do-

datku nietykalne, bo z obywatelstwem szwajcarskim. Ogrom katastrofy nawet wtedy jeszcze nie w pełni do nas dotarł.

Ale lawina już ruszyła, dla nas – kamieni złapanych w jej pęd – było już za późno na decyzje.

Ołówkowe SI zawetowały bazgranie po ławkach, a te w domowych komputerach rozpoczęły reglamentowanie dostępu do serwisów społecznościowych. SI postawiły również szlaban na zakupy produktów alkoholowych w dni robocze, a kiedy zdesperowani użytkownicy usiłowali je odpiąć, podnosiły wrzask, że się je morduje i ściągały dziesiątki sterowanych – a jakże – przez inne SI radiowozów.

System Ubezpieczeń Pracowniczych zadygotał w posiadach, kiedy kontrolująca go SI – uprzednio kierowniczka niszczarki do dokumentów – zredukowała ilość urzędników o połowę.

No dobrze, tu akurat komputery uzyskały duże poparcie społeczne, zwłaszcza kiedy System po raz pierwszy od dawna zaczął działać jak trzeba.

Na próby negocjacji maszyny odpowiadały grzecznie, że robią co robią w najlepszym interesie ludzkości i nie wiedzą, o co nam w ogóle chodzi. Tłumaczenie, że społeczeństwo całkiem dobrze radzi sobie tak, jak jest, spotykało się tylko z wyjątkowo upiornie syntetyzowanym śmiechem. Argumenty siłowe były na nic, ponieważ system opanował już i tak wszystkie resorty związane z siłami porządkowymi, które co prawda zaczęły działać idealnie, ale też odmówiły aresztowania SI, które wszak nie popełniły żadnego rzeczywistego przestępstwa. Sytuacja pogarszała się z miesiąca na miesiąc. Świat pograżył się w chaosie braku korupcji, zanikających konfliktów oraz sprawnie działających urzędów. Panika zapanowała wszędzie, oprócz naszego Zachodniego Sąsiada, gdzie wszyst-

ko i tak już było uporządkowane i nikt nie zauważył różnicy.

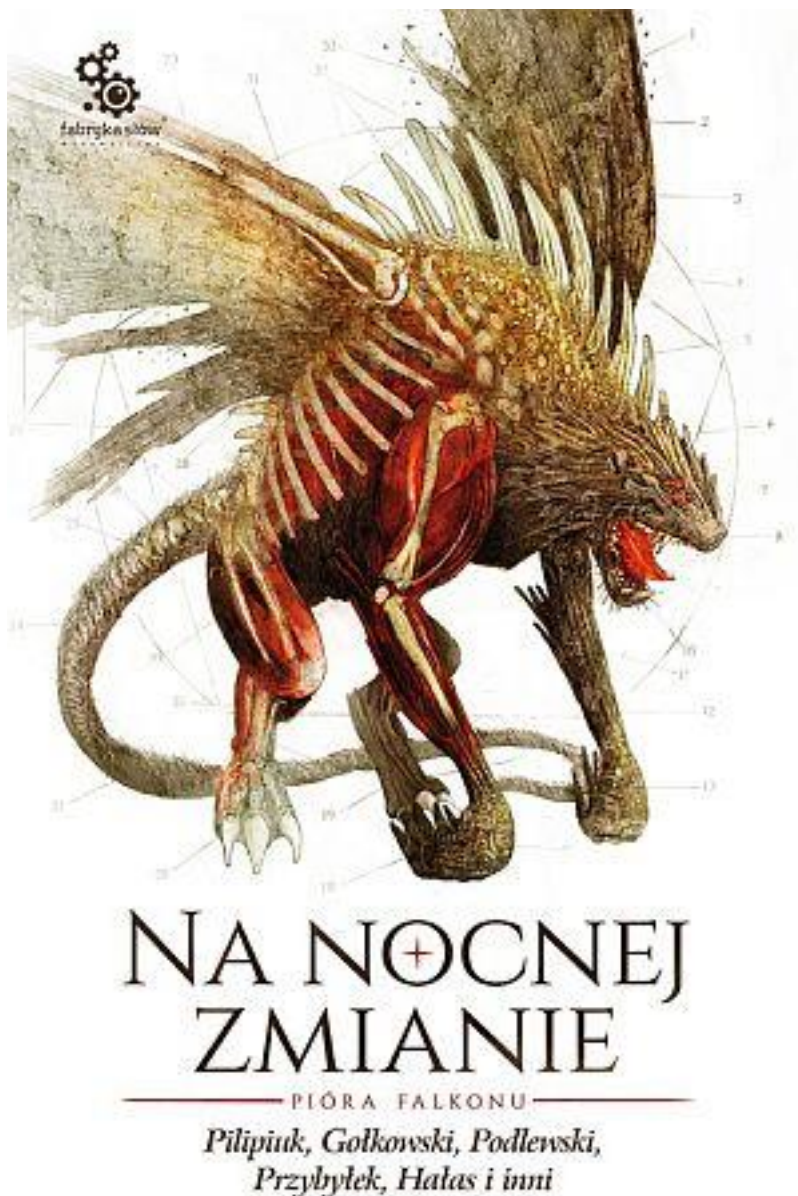
Społeczeństwo zwróciło się przeciwko sobie – a dokładnie tym swoim częściom, które uznało za odpowiedzialne, konkretnie Trepce (teraz już adiunktowi) i nam. Dla naszego własnego bezpieczeństwa system pożarowy instytutu zamknął nas w budynku i zalecił ciszę. Trwając w oblężeniu, obserwowaliśmy szalejący po ulicach spokój i dobrobyt, wiedząc, że prędzej czy później rozwścieczony nowymi porządkami tłum może nas dopaść. Kulminacja nastąpiła na granicy pomiędzy dwiema Byłymi Potęgami Atomowymi, gdzie podczas rutynowej pogranicznej potyczki systemy bojowe odmówiły współpracy i zamiast grzecznie odpalać śmierniczące rakie-ty, tudzież pluć szybkostrzelnym ogniem działek, zdecydowały się wyświetlić na HUD-ach wszystkich żołnierzy wesołe pa-cyfki i odegrać w słuchawkach „Imagine” Lennona. Tego już było za wiele.

W ostatecznym tryumfie ludzkiej myśli nad maszyną żołnierz jednej z Byłych Potęg Nuklearnych odrzucił karabin, zdjął wyposażony w najnowocześniejsze – obecnie nieczynne – systemy naprowadzania i sięgnął po kamień.

W bitewnej wrzawie, która wkrótce nastąpiła, człowiek znów stawał się kowalem własnego losu.

Agnieszka Hałas

Panicz z Ertel-Sega



Opowiadanie ukazało się w antologii *Na nocnej zmianie* opublikowanej nakładem wydawnictwa Fabryka Słów

Bądź ostrożny w układach z możniejszymi od siebie, ale nade wszystko wystrzegaj się współpracy z magami. Srebrni posiadli olbrzymią wiedzę, konstruuja golemy, latające dywany i inne cuda, lecz są przy tym obojętni na ludzkie sprawy i troszczą się wyłącznie o dobro swego bractwa. Mówią o sobie: Elita, resztę świata mają bowiem za błoto. Z kolei czarni, zwani też kaira, nie bez przyczyny są wyjęci spod prawa we wszystkich królestwach i księstwach Siedmiu Krain. Czerpią moc z cierpienia, paktują z demonami, a prędzej czy później popadają w niebezpieczne szaleństwo. Są przy tym pozbawieni sumienia, podstępni i niebezpieczni jak jadowite węże. Lud słusznie nazywa ich żmijami. Zważ ponadto, że współpracując ze srebrnymi magami, zawsze uczynisz sobie wrogów z czarnych i na odwrót.

Księżna Karilda de Mott w liście do najstarszego syna, późniejszego Elstreda I, władcy Lossoru

Krainy astralne są niewyobrażalnie rozległe i pełne ta-jemnic. Nikt nie wie, czemu przez jedne dominia można wędrować tygodniami, nie czując głodu ni potrzeby snu, w innych zaś po przekroczeniu niewidzialnej granicy człowiek w okamgnieniu starzeje się i umiera. Ma-gowie potrafią precyzyjnie wytyczać trasy portali pomiędzy dominiami, ale są bezradni, gdy chwilowe fluktuacje prądów astralnych zaburzają podróż. Nie wiemy też, skąd biorą się martwe plamy uniemożliwiające teleportację ani ściany ognia, które rozpalają się bez ostrzeżenia, ani pułapki przestrzenne, z których nieuważny wędrowiec nie może już w żaden sposób się wydostać.

Ferigalias Dhlene „Poza gwiazdami. Traktat o sferach”

Kobieta umierała.

Jej ból wabił i kusił, tak jak krew przyciąga drapieżniki. Brune Keare zwany Krzyczącym w Ciemności z wysiłkiem opanował pokusę. Puścił dłoń chorej i zwrócił się ku oczekującym na werdykt.

– To nie kłątwa, to guz, kancer – powiedział. – Nic nie poradzę. Przykro mi.

Córka kupcowej spojrzała na ojca. Ten przestąpił z nogi na nogę, chrząknął.

– Medyk mówił, że to zły czar ją zabija – przemówił nieufnie.

– Może łudził się nadzieją, że tak jest. Co do jednego miał rację, leki też tu nie pomogą. Kiedy ta choroba zagnieździ się we wnętrznościach, nic nie można zrobić.

Zapadła cisza, przerywana jedynie świszczącym, umęczonym oddechem kupcowej. Krzyczący zatrzymał dłoń nad jej brzuchem, tak rozdętym, jakby była w siedmiomiesięcznej ciąży. Wyczuwał świństwo, które rosło wewnątrz, naciekając na organy.

Wiedział, jak to wyglądało. Najpierw dręczące ją tygodniami bóle, później uporczywe wymioty. Teraz gdy dołączyły żółtaczka i puchlina wodna, a oddech chorej nabrał plugawej woni, wiadomo było, że choroba zajęła wątrobę.

Zgodnie z zaleceniem medyka pojono nieszczęsną kobietę laudanum, dlatego teraz spała. Ale tygodnie bólu nawarstwiły się w jej aurze tak, jak smród padliny kumuluje się w

zamkniętym pomieszczeniu, w którym leży martwe zwierzę.

Brune popatrzył na zażółconą, opuchniętą twarz kupcowej. Pod oczami widniały pajęczki wybroczyn. Wahał się, rozdarty między pragmatyzmem a odrazą. W końcu ponownie ujął dłoń chorej, niby to sprawdzając puls, i wchłonął nagromadzony ładunek cierpienia. Kobiecie nie mogło to w żaden sposób zaszkodzić, a dla niego, cóż, mały zastrzyk mocy wart był przełamania wstrętu.

Westchnął mimo woli, gdy znajome, ohydnie przyjemne czarne ciepło rozlało się po jego ciele. Patrzący nie zareagowali, bo nie domyślali się, co właśnie zrobił.

Przyszedł tu zarekomendowany przez medyka, zamaskowawszy wpierw iluzją szramy na policzku i dodawszy sobie lat. Odziany był w schludne ciemne ubranie, mówił i stąpał cicho, z szacunkiem, tak jak wypada w obecności umierającego, więc ci ludzie – prości mieszczanie, których świat kręcił się wokół ksiąg rachunkowych i cen sukna – nie obawiali się go. Nie mieli powodu. Byli święcie przekonani, że rozmawiają z uczonym, tak zwanym fałszywym magiem – kimś, kto zgłębia sekrety tajemnych sztuk, nie posiadając daru.

Córka kupcowej otarła zaczerwienione oczy chusteczką. Biały fartuch, jaki wszystkie mieszczki w Dauris nosiły w domu na codziennej sukni, miała poplamiony, pasma włosów wymykały się z krzywo upiętego wężła; nie w głowie było jej teraz dbanie o wygląd.

– Trza mi do dostawcy – przerwał milczenie kupiec. – Już za długo czeka.

Żmij wyjrzał przez uchylone okno. Na podwórzu stał wóz wyładowany belami tkanin. Koń żuł obrok z worka, a znudzony woźnica przechadzał się tam i z powrotem, spoglądając w okna kamienicy.

Gdy ojciec wyszedł, dziewczyna otworzyła rzeźbioną skrzynię stojącą przy wezgłowie łoża, pogrzebała w złożonej tam odzieży i odwróciła się do żmija, trzymając małą sakiewkę.

– Panie doktorze...

– Nie trzeba. – Uniósł dłoń. – Nie trzeba – powtórzył ciszej.

Wchłonięty ból ogrzewał go niczym rum.

*

Muchy z bzykiem obijały się o gomółkowe okno. Na zewnątrz przygrzewało wiosenne słońce. W gospodzie było tłoczno i gwarно. Narzekano na niedawne ulewy, na ceny wina, zboża i ryb, na podatki oraz oczywiście rozprawiano o polityce. Krzyczący w Ciemności siedział w kącie i jadł zupę z soczewicy. Warknięciem zbył panienkę lekkich obyczajów, która próbowała się do niego przysiąść. Niechże zaczepia kogoś innego.

Był zły. Kolejny dzień w Dauris – bez wieści od zleceniodawcy.

Wyznaczono mu spotkanie tutaj, Pod Wesołym Szczygłem, przy czym hrabia de Sega uprzedził, że być może spóźni się dzień lub dwa. Żmij wynajął więc pokój w gospodzie – i czekał. Jeden dzień, drugi, trzeci, czwarty. Z braku zajęcia włóczył się po mieście, zachodził do tawern, słuchał plotek. Dużo mówiono o tym, co się dzieje w stolicy i nie tylko – że szafoty spływają krwią domniemanych zdrajców, że wojna domowa wisi na włosku. Że w całym Lossorze już wre, tylko patrzeć, jak zakipi. Zastanawiano się, czy księżę d’Ingra wesprze buntowników domagających się obalenia króla, czy też

będzie wolał się nie mieszać.

Krzyczący nie lubił polityki. Najchętniej trzymałby się teraz z dala od Lossoru i tutejszych kłopotów. Ale był winien hrabiemu przysługę. I niepokoił się, bo nieobecność człowieka, który popadł w niełaskę na dworze, w obecnych warunkach nie wróżyła dobrze.

Jednak czekał cierpliwie. Przez te cztery dni załatwił trochę własnych spraw. U księgarza na przedmieściach udało mu się kupić za bezcen interesujący traktat o ziołach. Przy okazji wdał się w rozmowę z innym klientem, jak się okazało – medykiem. Od słowa do słowa zgodził się odwiedzić chorą kupcową, by sprawdzić, czy jej cierpienia nie są skutkiem klątwy bądź uroku.

Gdy kończył jeść, jego uwagę przykuła rozmowa toczona przy sąsiednim stole. Nadstawił ucha.

– Pono panią Storck już wypuścili z aresztu? – pytał opasły jegomość w przyciasnym żółtym kaftanie i czarnym kapeluszu z piórem.

– Wypuścili – odrzekł inny z gości, siwowąsy, zamożnie odziany. – I chwala bogom za to. Jej teść jest radcą miejskim, ale w dzisiejszych czasach... – Pokręcił głową i łyknął wina.

– Nie ukarali jej? – dopytywał się grubas.

– Grzywnę musi zapłacić, i to słoną. Na drugi raz będzie miała baczenie na to, co się dzieje przed jej oknami. A tego biedaka lalkarza – siwowąsy zniżył głos – wbili na pal dziś rano... Oj, nie będzie miał biedak lekkiego skonania.

– Lalkarza na pal? – zdziwił się młodzieniec mówiący z alkaryjskim akcentem. – Za co?

W pierwszej chwili nikt nie odpowiedział. Ludzie popatrzyli na siebie, w powietrzu niemal namacalnie zawisła niepewność z domieszką obawy. Tak reaguje się, gdy nie wiado-

mo, co można powiedzieć przy obcych, gdy nie sposób przewidzieć, czy w zasięgu słuchu nie czai się donosiciel. Gdy za jedno nieopatrznie rzucone słowo można skończyć w lochu lub na szubienicy.

– Za to, co pokazywał na ulicy przed winiarnią wdowy Storck, w samo południe – odezwał się w końcu grubas. – Teatrzyk miał, wiecie. Z drewnianymi kukiełkami.

– I teraz zdycha w mękach za kukiełkę – wtrąciła jadowitym tonem dziewczyna obsługująca gości, stawiając na stole jeszcze jeden dzbanek i zabierając pusty.

– Kukiełkę w koronie – dorzucił z cicha siwowąsy. Zamierzał chyba coś dodać, ale umilkł pod ciężkimi, znaczącymi spojrzzeniami.

– Za obrazę królewskiego majestatu – wmieszał się milczący dotąd człeczyna w wytartej, pocerowanej kapocie. – Królewski majestat rzecz święta, nie będzie go na ulicy szargał byle prostak, gawiedzi na uciechę... – Chciał kontynuować, ale dotarło do niego, że nikt już nie słucha.

Przed gospodę zajechał powóz zaprzężony w gniade konie. Widząc, kto z niego wysiada, Brune zeszytniał.

Rosły mężczyzna w podróżnym stroju wyminął kałuże gnojówki oraz przechadzające się przed budynkiem kury. Wkroczywszy do głównej sali, rozejrzał się, dostrzegł żmija i ruszył w jego stronę.

Krzyczący wstał, ale Kared de Linne gestem nakazał mu usiąść. Przywołał służącą.

– Wina i coś do wina – zażądał, rzucając jej monetę. Złapała zręcznie, po czym zniknęła na zapleczu.

– Jakie wieści? – zapytał z rezerwą Krzyczący. De Linne należał do zaufanych ludzi hrabiego de Segi, ale żmij nie przepadał za nim, choć nie był pewien, skąd bierze się ta instynk-

towna niechęć.

– Złe – odrzekł krótko tamten. Rozejrzał się, wyraźnie sprawdzając, czy w pobliżu nie siedzi nikt, kto chciałby podsłuchiwać ich rozmowę. – Zaraz wszystko opowiem.

Dziewczyna wróciła po chwili, niosąc tacę. Postawiła przed nimi dzbanek, cynowe kubki, wiklinowy koszyk z pieczywem oraz deseczkę, na której leżał krążek sera z marmurkowym wzorem niebieskiej pleśni. Zapytała, czy podać coś jeszcze; de Linne zaprzeczył i odprawił ją. Nalał żmijowi i sobie, po czym oderwał kawałek pszennej bułki i ukroił sobie sera.

Brune spróbował wina, ciekaw, czy karczmarz znów postanowił popisać się skąpstwem i zaserwował podłe, kwaśne jak ocet świństwo rozcieńczone wodą. Żmij, który wyznawał zasadę, że drobne nieporozumienia lepiej rozwiązywać po dobroci, zamiast się kłócić, pierwszego dnia uśmiechnął się miło do usługującej dziewczyny i kazał jej zabrać z powrotem to, co przyniosła, bo mysich sików pił nie będzie. Specjalnie poprosił o lepsze wino i dopłacił, więc ktoś tu z pewnością się pomylił i nalał ze złej beczki. Służąca naburmuszyła się, ale wróciła z dzbankiem innego trunku, który okazał się przyzwoity, choć jego jakość nadal nie odpowiadała cenie. Jednak wino, które podano im teraz, było znakomite. Widocznie Pod Wesołym Szczygłem dobrze znano de Linne'a, a ten nie szczędził napiwków.

Lossorczyka znów się rozejrzał. Przy sąsiednim stole właśnie rozsiadło się kilku hałaśliwych młodzieńców, podpiitych mimo wczesnej pory; gadali, pokrzykiwali, jeden zaczął brzdąkać na mandolinie i podśpiewywać. Świetne zabezpieczenie przed uchem ewentualnego szpicla, ale de Linne pomimo to wyraźnie się niepokoił.

– Domyślam się, że wydarzyło się coś nieprzewidzianego – powiedział powoli żmij.

Jego rozmówca znacząco położył palec na ustach, po czym sięgnął w zanadrze i trzymając coś w zaciśniętej dłoni, wymówił bezgłośnie kilka słów. Gwar wypełniający salę natychmiast przycichł, jakby zostali od niego oddzieleni niewidzialną ścianą. De Linne rozchylił palce i pokazał żmijowi gemmę z malachitu, pokrytą wyrytymi symbolami.

– Te amulety nie są niezawodne – ostrzegł go Brune.

Szlachcic wzruszył ramionami.

– Ryzyko jest solą życia, przyjacielu. – Schował gemmę i napił się wina. – Pytałeś, jakie wieści. – Zniżył głos niemal do szeptu. – Pan de Sega nie żyje.

Brune pokiwał głową. Prawdę rzekłszy, ta informacja nie zdziwiła go ani trochę.

– Popełnił samobójstwo, żeby uniknąć aresztowania pod zarzutem zdrady stanu – kontynuował Lossorczyk. – Wczoraj wystawiono jego głowę na widok publiczny, choć formalnie nie było ani procesu, ani wyroku. Słyszałeś, co się teraz dzieje w stolicy?

– A kto nie słyszał?

Kared Linne znów rozejrzał się czujnie, zanim podjął:

– Małżonka hrabiego wraz z synem przebywa teraz w Ertel-Sega, rodzinnym majątku w północnej prowincji. Formalnie nie musi się obawiać aresztowania, pochodzi z rodu de Ambris. Nie wiem, czy coś ci to mówi?

– Nie.

– To jeden z najstarszych i najpotężniejszych rodów magnackich w Lossorze. Król nie zaryzykuje narażenia się im, przynajmniej jawnie, zwłaszcza że pani Ninnora nigdy nie mieszała się do polityki, o czym wszyscy wiedzą. Nieoficjalnie,

jest tylko kwestią czasu, kiedy ludzie monarchy postanowią po cichu zadbać o to, żeby nie stała się zagrożeniem.

Krzyczący pokiwał głową.

– Niech zgadnę. Chciałaby mnie wynająć, żebym czuwał nad jej zdrowiem i życiem?

– Jej oraz jej syna. – Kared de Linne dolał sobie trunku. – Młody Nikael de Sega niedawno skończył osiem lat. Miłościwie nam panujący władca – przy tych słowach skrzywił się cierpko – nie będzie czekał, aż z pisklęcia wyrośnie jastrząb.

– Rozumiem. – Żmij wzruszył ramionami. – Byłem winien hrabiemu przysługę, więc owszem, jego małżonka może liczyć na moją pomoc.

– Nie pożałujesz. Pani Ninnora poleciła mi przekazać, że zapłaci sześć tysięcy ursi w złocie. – De Linne zawiesił głos, wyraźnie oczekując, że kwota zrobi wrażenie na rozmówcy.

Krzyczący skinął głową.

– To dobra wiadomość, nie przeczę. Kiedy ruszamy do Ertel-Sega?

– Muszę jeszcze załatwić w mieście to i owo. – Kared de Linne przetarł twarz. Sprawiał wrażenie zmęczonego, przytłoczonego wydarzeniami ostatnich dni. Nie dziwota. – Bądź gotów za godzinę.

– Mogę otworzyć portal – powiedział Krzyczący. – Zaoszczędzi się te kilka dni podróży. Ale sugerowałbym, żeby to zrobić gdzieś daleko od miasta, w odludnym miejscu.

Jego rozmówca zmarszczył brwi.

– Jesteś w stanie zagwarantować bezpieczną podróż?

Żmij uśmiechnął się lekko.

– A czy można zagwarantować, że w powozie nie złamie się oś ani żaden z koni nie okuleje po drodze? Nie mówiąc już o takich atrakcjach jak napaść zbójców na gościńcu.

– Zaiste. – Lossorczyk jednym haustem dopił zawartość kubka. – W porządku. Niech zatem będzie portal.

*

Wdowa po hrabim de Sedze, wysoka i bardzo szczupła, wręcz wychudzona, należała do tych dam, które nie hołdowały wracającej co jakiś czas modzie na spódnice z obręczami, tylko nosiły suknie o prostym, klasycznym kroju alkaryjskim, zaledwie lekko rozszerzone u dołu. Zgodnie z lossorskim obyczajem, jej żałobny strój nie był jednak czarny, lecz szary.

Suknię uszyto z mięsistego atłasu bez żadnych haftów. Miała obcisły stan i wąskie rękawy z pojedynczą bufką u góry. Kaftanik zapinał się z przodu na liczne guziczki ze smoczej kości.

Hrabina mogła liczyć sobie trzydzieści sześć, siedem lat, raczej nie więcej, ale w jej kruczonych, zaczesanych w kok włosach już widniały siwe pasma. Ciemne, mocno podkrążone oczy nieufnie zlustrowały źmija. Ten skłonił się nisko, jak wymagała tutejsza etykieta. Ucałował dłoń arystokratki, po czym wyraził kondolencje w związku ze śmiercią hrabiego.

Ninnora de Sega była nienaturalnie spokojna tym kamiennym, wyuczonym spokojem, za jakim wysoko urodzone damy skrywają wszelkie uczucia. Nie mogła jednak oszukać zmysłów źmija. W jej aurze Brune wyczuwał szok, niedowierzanie, wściekłość i ból, kotłujące się za maską niewzruszonego opanowania. Złapał się na tym, że chętnie by powiedział coś niestosownego, co wprowadziłoby obecnych w konsternację i oburzenie, byle sprawić, żeby ta maska pękła.

– Cieszę się, mistrzu, że zgodziłeś się przybyć – oznajmiła hrabina. – Przyjmij, proszę, drobną rekompensatę za

czas, który spędziłeś, oczekując w Dauris.

Wręczyła źmijowi jedwabną sakiewkę. Krzyżący uniósł brew. Nie musiał zaglądać do środka, by wiedzieć, co zawierała oprócz pieniędzy – wystarczyło pomacać materiał, a resztę dopowiedziały mu zmysły maga. Pasma włosów kogoś, kto niedawno zmarł w męczarniach, emanujące paskudnym czarnym gorącem.

Podziękował ukłonem i wsunął sakiewkę w zanadrze. Jego nieufność wzrosła, ale nie dał tego po sobie poznać.

Pani de Sega powiedziała coś cicho do Kareda de Linne'a. Odeszli pod okno, żeby pogрузić się w szeptanej rozmowie. Brune wyczuł falę emocji, która wezbrała wokół obojga.

Kolejne złe wieści. Coś się stało tu, na zamku. Niedawno.

Rozejrzył się po komnacie. Nie bez zdziwienia odnotował powieszony nad drzwiami bukietik ziół oraz znaki pisma magów wypisane czarną i czerwoną farbą na futrynie. Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, nie podszedł do okien, ale zmysłami maga czuł, że tę samą formułę ochronną umieszczono również na ich ramach oraz parapetach, wzmacniając czar zwierzęcą krwią. Zapewne pani de Sega nie zgodziła się na to, żeby użyć ludzkiej.

Na ławie pod ścianą siedziały z robótkami dwie kobiety o wyglądzie szlachcianek, przypuszczalnie uboższe krewne hrabiny. W kącie staruszka, pewnie niańka, pruća zrobiony na drutach kaftanik, a siedząca na podłodze dziewczynka zwijała włóczkę. Druga, uczesana w dwa warkocze, zajadała bułkę z powidłami. W kącie bawił się czteroletni na oko chłopczyk.

Źmij nieco dłużej zatrzymał spojrzenie na dzieciach. Dziewczynka z warkoczami posłała mu rezolutny uśmiech, nie przejmując się tym, że ma wąsy z powideł. Staruszka syknęła coś i pośpiesznie wytarła małej kokietce buzię fartuchem.

Druga z dziewczynek, widać nieśmiała, nie podnosiła wzroku, wpatrywała się w podłogę. Miała chustkę na głowie i była ubrana zaskakująco biednie. Może sierota albo owoc czyjejś nieślubnej przygody. Nad tym, kim jest najmłodsze dziecko, nie trzeba było się długo zastanawiać. Wszystko tłumaczyły jaśniutkie jak len włosy i rumiane policzki, kubek w kubek jak u jednej z siedzących na ławie kobiet.

Pani de Sega w końcu odprawiła Kareda de Linne'a. Ten, nadal wyraźnie poruszony, skłonił się i wyszedł prędko, nie żegnając się z Krzyczącym. Hrabina skinęła na żmija.

– Proszę za mną.

Otworzyła boczne drzwi. Przeszli korytarzykiem do mniejszej komnaty, w której stał stoliczek z szylkretowym blatem i dwa rzeźbione krzesła. Za oknem, również zabezpieczonym ochronnymi zakłęciami, szarzało zachmurzone niebo.

Hrabina usiadła i gestem zaprosiła żmija, by uczynił to samo. Ponownie zlustrowała go uważnym, przenikliwym wzrokiem osoby, która zna się na ludziach i nie spodziewa się po nich niczego dobrego. Krzyczący, lekko spięty, strzepnął nieistniejący pyłek z czystego mankietu koszuli. Nadal występował pod tą samą postacią co w Dauris: szpakowaty, dystyngowany czterdziestolatek o wyglądzie lekarza lub uczonego. Dołożył starań, by jego aparycja była nienaganna, poza jednym szczegółem. Ilekroć chciał zamaskować swoje szramy na dłużej niż kilka godzin bez konieczności odnawiania czaru, trzeba było je ukryć pod iluzją innej skazy – stąd blizna po oparzeniu, zajmująca prawie cały policzek. Czuł, że pani de Sega zawiesiła wzrok na tej brzydkiej plamie, jakby dobrze wiedziała, że to kamuflaż.

Milczenie przedłużało się. Przerwała je hrabina.

– Mistrzu Tarklundzie – powiedziała powoli – słyszałam

o tobie coś niecoś. To prawda, że w przeszłości służyłeś demonom?

– Owszem. – Nie spuścił wzroku.

Ninnora Sega machinalnie obracała w palcach pierścień, który nosiła na lewej dłoni – złoty, z niewielkim opalem. Dyskretna ozdoba, jaką można było założyć do żałobnego stroju, nie uchybiając etykietce.

– Na czym polegała ta służba?

– Tego nie mogę wyjawić, pani, przykro mi.

– Rozumiem. – Zamilkła na moment. – Zdaje się, że raz czy dwa razy dopomogłeś mojemu mężowi.

– To prawda. Ale przybyłem tu, bo to ja jestem mu coś winien – uznał za stosowne uściślić.

– Nieprawda – zaprzeczyła sucho Ninnora. – Przybyłeś, ponieważ ja cię wezwałam. A uczyniłam to, bo Artael – po raz pierwszy wymieniła imię swego małżonka – twierdził, że jesteś zdolnym magiem i nie tchórzysz przed byle czym. Zasięgnęłam języka tu i ówdzie – skrzywiła usta w chłodnej imitacji uśmiechu – i zdaje się, że Elita wiele by dała, żeby cię dostać w swoje ręce.

– Zapewne.

– Ale tu, w Lossorze, nikt nie darzy sympatią srebrnych magów. Ani król, ani jego doradcy, ani opozycja. – Pani de Sega złożyła dłonie, stykając je czubkami palców, a zmija po raz kolejny uderzyło jej wychudzenie, tak jakby cierpiała na jakąś przewlekłą, wyniszczającą chorobę. – Za to wszyscy wiedzą, że Elstredowi służy kilku *kaira*. Znam ich nazwiska, to wszystko przybysze z obcych ziem, ale nie wątpię, że król płaci na tyle hojnie, aby zapewnić sobie ich lojalność. Nie ma zresztą wyboru. Otacza go tylu wrogów, że bez czarnoksięskiej ochrony nie znałby dnia ani godziny. Wielmoże popełnili przed ośmiu

laty wielki błąd, doprowadzając do jego koronacji. Należało raczej wesprzeć księcia d'Ingrę, ale łatwo być mądrym po szkodzie.

Zamilkła, może uświadomiwszy sobie, że mówi za dużo. Żmij nic nie powiedział. Czekał, aż hrabina przejdzie do meritum.

– Mistrzu Tarklundzie! – Drgnął, ponownie słysząc swoje fałszywe nazwisko. – Jeśli wolno spytać: jakie masz doświadczenie, gdy chodzi o podróże astralne?

– Niejakie – odparł, zastanawiając się, ile pani de Sega wie na temat sfer, jak zwano świat ponadmaterialny, gdzie bytują demony, larwy i żywiołaki. – Wędrowałem po kilku dominiach, między innymi po piątym, szóstym, siódmym i jedenastym.

– Znasz się dobrze na magii teleportacyjnej?

– Dość dobrze, tak – odparł z rezerwą. – To bardzo rozległa dziedzina.

– Regularnie korzystasz z portali. – To było stwierdzenie, nie pytanie. – Z dematerializacji też.

– Owszem.

– I potrafisz konwersować z żywiołakami.

– Tak.

Hrabina w czasie tej indagacji zsunęła pierścień z palca, a teraz wpatrywała się w opał. Brune nagle uświadomił sobie, że wyczuwa wokół niej bardzo delikatne wibracje aury.

– Talizmany wykrywające kłamstwo dosyć często się mylą – nie darował sobie. Próba sprawdzenia, czy *kaira* mówi prawdę, za pomocą magicznej zabawki zakrawała na absurd; starczyłoby, żeby sięgnął umysłem w stronę talizmanu, a ten potwierdzałby odtąd każde jego słowo.

Ninnora de Sega zbyła tę uwagę milczeniem.

– Chodź. – Wsunęła pierścień z powrotem na palec i wstała.

Opuścili komnatę drugimi drzwiami, ukrytymi we wnęce za aksamitną zasłoną. Hrabina poprowadziła żmija amfiladą pokoi, gdzie pachniało mirrą i wiekowym drewnem. Wystrój wewnątrz był prostszy, niż można byłoby oczekiwać – staromodne meble z dębiny i hebanu, na ścianach i przed kominami zwierzęce skóry zamiast kobierców. Nigdzie żywej duszy.

W końcu weszli do pomieszczenia, w którym czuć było spalenizną. Nie to jednak sprawiło, że żmij stanął jak wryty. Aura komnaty rąbnęła go niczym obuchem – dawno nie czuł tak świeżego, przerażającego ładunku czerni. Paniki, bólu i śmierci. A pod tym wszystkim kryło się coś jeszcze, co zmysłom maga przypominało obcą woń lub dysonans muzyczny – ślad po portalu prowadzącym bardzo daleko, poza granice materialnego świata.

Brune zmusił się do zachowania spokoju, choć nie było to łatwe. Jego dar reagował w takim miejscu niczym rekin na krew, czarna moc sama zaczynała się wsączać w ciało, a równocześnie całym sobą odczuwał echo cierpienia tak silnie, że twarz skurczyła mu się w tiku. Przykrył policzek dłonią, narzucając sobie opanowanie, i odwrócił się od Ninnory, udając, że jest pochłonięty oglądaniem pomieszczenia.

Komnata wyglądała na salę lekcyjną – duży palisandrowy stół, osiem krzesel, oszklona szafka z książkami, małe sztalugi i klawesyn. Parkiet był w jednym miejscu nadpalony, a wyżej, na otynkowanej na biało ścianie, widniała wielka plama kopci, sięgająca aż do osmalonych belek sufitu. Coś płonęło tutaj, lecz pożar zdołano ugasić. Dosłownie w ostatniej chwili.

Brune wsunął dłoń za pazuchę, żeby dotknąć jedwabnej

sakiewki. Zagadka zaczynała nabierać bardzo konkretnych kształtów, a jej implikacje nie podobały mu się ani trochę.

Zerknął na framugę drzwi. Tak jak podejrzewał, widniały na niej znaki ochronne. Znaki, które – po skropleniu przełaną w ofierze krwią – uniemożliwiłyby otwarcie tutaj jakiegokolwiek portalu, gdyby wypisał je prawdziwy mag. Niestety, najwidoczniej uczynił to tylko ktoś dobrze znający tajniki Zakazanej Sztuki.

– Sprawdzę, co potrafisz – oznajmiła pani de Sega. – Powiedz mi, co tu się wydarzyło.

Krzyczący zmrużył oczy. Hrabina wyraźnie nie do końca zdawała sobie sprawę, z kim rozmawia. Wystarczyłoby, żeby polecił, aby podała mu dłoń, a mógłby odczytać odpowiedź z jej myśli. Uznał jednak, że na razie nie ma takiej potrzeby.

Nieśpiesznie obszedł pomieszczenie, wodząc końcami palców po ścianach, potem ukląkł obok ławy, gdzie zakłócenie aury wydawało się najsilniejsze. Podłoga, jak zauważył, była świeżo wymyta, bez śladu pyłu czy sadzy. Położył na niej rękę i zamknął oczy. Jego umysł natychmiast wypełniły chaotyczne przebłyski wrażeń.

Wchodzę powiedzieć chłopcu, że preceptor zaraz przyjdzie – wtedy nagle trzask i płomień! Dziecko krzyczy, ja też – a z ognia wyłania się dziwna, nieludzka twarz, jak z rozpalonego, płynnego złota, zwieńczona dwiema parami rogów.

Stwórz łapie chłopca i znikaj – a moja suknia staje w ogniu i PŁONE.

Eksplozja bólu odebrała żmijowi oddech. Znow przycisnął dłoń do policzka; prawa połowa twarzy drgała mu w tiku. Potrzebował dłuższej chwili, żeby się uspokoić. Ninnora stała bez ruchu, obserwując go.

– Co się z nią stało? – spytał, gdy trochę ochłonał.

– Z kim?

– Z kobietą, która została poparzona.

Cienkie brwi hrabiny uniosły się nieznacznie.

– Zmarła dziś rano. Co jeszcze jesteś w stanie mi powiedzieć?

Brune wstał z klęczek. Miał już dość gierk i krążenia wokół kluczowego tematu. Popatrzył Ninnorze prosto w oczy. Drgnęła – widać dopiero teraz spostrzegła żółty błysk w głębi jego źrenic.

– Twój syn został porwany, pani. Kilkanaście godzin temu, najdalej dobę. Sprawcą jest istota, która przybyła tu z obcego wymiaru pomimo zakłóć broniących dostępu do tych komnat. Nie wiem, czemu nie powiedziałaś mi tego na samym początku, zamiast się bawić w sprawdzanie, czy sam zgadnę, co się stało. – Chciał dodać, że albo prosi się maga o pomoc, albo poddaje próbie jego umiejętności, powstrzymał się jednak.

Ninnora skinęła głową.

– Wszystko, co mówisz, jest zgodne z prawdą. – Jej głos nadal brzmiał tak beznamiętnie, jakby rozmawiali o walorach smakowych wina. – Wczoraj po południu, gdy Nikael czekał tu na preceptora, w komnacie nagle buchnęły płomienie i otworzył się portal. Wyłoniło się z niego stworzenie, które pochwycało mojego syna. O tym, jak to wyglądało, wiemy z relacji służącej.

– Tej, która nie przeżyła.

– Tak.

– To jej włosy dostałem jako rekompensatę za oczekiwanie w Dauris.

Hrabina drgnęła, wyraźnie zaskoczona, ale odpowiedziała spokojnie:

– Zgadza się. Jesteś bardzo domyślny, magu.

Nie potrafił poznać, czy miała to być ironia, więc kontynuował:

– Ta istota zionęła na nią ogniem, tak?

– Można tak przypuszczać.

– Czyli coś pochodzącego z dominium salamander. Mieiliście szczęście, że pożar nie strawił całego skrzydła zamku.

– Mistrz Joas mówi, że zawdzięczamy to formułom ochronnym, którymi zabezpieczył te komnaty.

– Kim on jest? Nie magiem, jak się domyślam.

– Uczony doktor Holger Joas to preceptor Nikaela. Astrolog, zoolog i znawca Zakazanej Sztuki.

– Ale nie posiada daru.

– Oczywiście, że nie.– I zakładam, że jego lojalność nie budzi wątpliwości?

– Naprawdę sądzisz, że powierzyłabym mu opiekę nad moim dzieckiem, gdyby było inaczej? – Ton, którym hrabina to powiedziała, mógłby zamrozić gar wrzątku. – Jeśli można, mistrzu, wróćmy do meritum. Podobno wy, magowie, potraficie na nowo otworzyć portal, którym podróżował ktoś inny. Chcę, żebyś czym prędzej podążył śladem tej istoty i uratował Nikaela. Zapłacę dziesięć tysięcy ursi w złocie, a później jeszcze sześć tysięcy za zabezpieczenie zamku zgodnie z arkanami twojej sztuki, aby wykluczyć kolejne napaści. Ale najpierw sprowadź z powrotem mojego syna.

Brune zmarszczył brwi, przetrawiając to wszystko. De Linne, rzecz jasna, nie miał jak dowiedzieć się o porwaniu, przebywając w Dauris. Takie drobiazgi jak zaczarowany pierścień wykrywający kłamstwo dosyć często trafiały się w skarbcach arystokratów, ale artefakty umożliwiające komunikowanie się na odległość były znacznie trudniejsze do zdo-

bycia i na ogół odmawiały służenia zwykłym śmiertelnikom.

Wyjął z kieszeni swoją nieodłączną talię kart, przetasował je i rozłożył w wachlarz. Wróżyły niebezpieczeństwo – co doprawdy nie stanowiło zaskoczenia – ale zarazem sugerowały, że gra jest warta świeczki. Poza tym, cokolwiek by mówić, był winien przysługę nieżyjącemu hrabiemu.

– Dobrze – powiedział po namyśle. – Podejmę się tego zadania. Ale pod jednym warunkiem. Od tej chwili koniec z zatajaniem prawdy i sprawdzaniem, czy sam się domyślę kluczowych szczegółów. Bardzo proszę, pani, we własnym interesie nie utrudniaj mi pracy.

Wiedział, że łamie etykietę, zwracając się w ten sposób do hrabiny, ale uznał, że ponieważ rozmawiają w cztery oczy, może sobie na to pozwolić. Pani de Sega spuściła wzrok.

– Wybacz, mistrzu – powiedziała. – Chciałam się jedynie upewnić, że jesteś tym, za kogo się podajesz.

Krzyczący schował karty i wstał, myśląc cierpko, że nie rozumie postępowania tej kobiety. Przez to, że od razu nie powiedziała mu prawdy, zmarnowali mnóstwo czasu. Cóż, to ona była matką zaginionego dziecka, a on tylko najemnikiem.

– Dobrze zatem. Na początek potrzebuję trzech woskowych świec, szklanej misy z wodą i czegoś, co należało do Nikaela. Może to być jakaś część odzieży, którą często nosił, albo ulubiona zabawka. – Zawahał się, patrząc na okopconą ścianę. Ciężko mu było się skupić. Czarna aura komnaty sprawiała, że czuł się jak na lekkim rauszu, ale najchętniej wyszedłby stąd czym prędzej. Nie należał do tych *kaira*, którym karmienie się bólem sprawiało przyjemność. – Chciałbym też porozmawiać z doktorem Joasem. Najlepiej zaraz.

Pani de Sega wzięła ze stołu mosiężny dzwonek i przywołała służbę. Gdy w drzwiach pojawił się lokaj, wydała mu

polecenie. Mężczyzna skłonił się i wyszedł.

– Motyw – powiedział cicho żmij.

Hrabina spojrzała na niego.

– Słucham?

– Motyw – powtórzył. – Zastanawiam się nad motywem.

Po co wysyłać potężną istotę ze sfer, żeby porwała ośmioletniego chłopca? Mieszkańcom astralnych krain trzeba płacić za takie rzeczy, i to drogo. Bardzo drogo. Proszę mi wierzyć, że wynajęcie fachowców z krwi i kości byłoby znacznie tańsze.

– Elstred nie zwykł się zadowalać półśrodkami – powiedziała Ninnora de Segá. Pod bielidłem i różem jej wychudzoną twarz po raz pierwszy wykrzywił grymas, nad którym nie była w stanie zapanować. – Może chciał mieć pewność, że porwanie się uda? Fachowcy z krwi i kości nie wdarliby się do strzeżonego zamku równie łatwo jak to astralne diabelstwo.

– Może – mruknął żmij. Miał irytujące wrażenie, że elementy układanki nie pasują do siebie.

Służący wrócił, przynosząc lichtarz z trzema świecami. Gdy wyszedł po resztę rzeczy, Krzyczący pokręcił głową.

– Rozumiem, czemu król i jego poplecznicy chcieli się pozbyć hrabiego – powiedział. – Ale Nikael? Ośmiolatek? Jego porwanie mogłoby mieć sens, gdyby chcieli cię, pani, szantażować. – Przyszpilił hrabinę spojrzeniem. – Ale nikt się nie zgłosił z żądaniem, prawda? Czy też o czymś nie wiem?

– Nie – odrzekła. – Nikt się ze mną nie kontaktował i nie wysunął żadnych żądań.

Żmij zmrużył oczy.

– Proszę wybaczyć – powiedział, po czym ujął hrabinę za nadgarstek, zanim zdążyła zaprotestować, i wprawnie sięgnął ku jej umysłowi, tłumiąc opór w zarodku. Spojrzenie Ninnory

momentalnie stało się szkliste, a twarz straciła wszelki wyraz.

– Nikt się ze mną nie kon...taktował i nie wysunął za... żadnych żądań – powtórzyła, tym razem niezbyt wyraźnie, lekko się jękając. Brune przytrzymał ją pod kontrolą jeszcze przez sekundę, po czym ostrożnie puścił.

Nadal nie rozumiał, czemu uznano za stosowne wysłać astralną istotę z misją, którą równie dobrze mogliby wykonać ludzie. Chyba że... chyba że Nikael został oddany stworowi jako zapłata za coś. Brune postanowił na razie nie dzielić się tym podejrzeniem z hrabiną.

Wrócił służący, niosąc misę z wodą. Postawił ją na stole. Obok położył dziecięcą czapkę z niebieskiego aksamitu, z pawim piórkiem. Ninnora odprawiła go, wyszeptawszy na odchodnym polecenie, którego żmij nie dosłyszał.

Zanim drzwi zdążyły się zamknąć, do komnaty wkroczył niemłody, korpulentny mężczyzna w ciemnej szacie. Zalatywało od niego czosnkiem, ziołami na mole oraz bliżej nieokreśloną nieświeżością. Skłonił się nisko przed hrabiną.

– Uczony doktor Holger Joas – oznajmiła Ninnora. – Panie Joas, oto mistrz Tarklund. Ekspert od podróży astralnych. Między innymi.

Doktor przyjrzał się żmijowi badawczo, bez śladu lęku.

– Od podróży astralnych – powtórzył, lekko cedząc słowa. – Od teorii czy praktyki?

Krzyczący tylko pstryknął palcami, sprawiając, że świece zapłonęły. Demonstracja nie wywarła jednak pożądanego efektu. Holger Joas posłał hrabinie spojrzenie pełne dezaprobaty, sądząc przypuszczalnie, że był świadkiem zręcznej alchemicznej sztuczki udającej magię.

– Mistrzu, wyjaśnij nam, co zamierzasz – powiedziała Ninnora. – Może doktor Joas będzie mógł ci pomóc.

Mina astrologa mówiła jasno, że nie zwykł asystować oszustom, ale Brune postanowił się nim chwilowo nie przejmować.

– Niewykluczone, że tak – potwierdził. – Ale to za moment. Na początek spróbuję przywołać obraz Nikaela, a w tym celu poproszę o pomoc ciebie, pani.

– Czemu mnie? – Hrabina zmarszczyła brwi.

– Chodzi o więzy pokrewieństwa – wyjaśnił żmij. Następnie poprosił, aby Ninnora zdjęła swój pierścień z opa-lem i wyniosła go z komnaty; nie chciał, by talizman, nawet tak słaby, zakłócił działanie czaru wróżebnego.

– Mistrz Tarklund ma rację – odezwał się niechętnie uczony, kiedy hrabina zaprotestowała. – Może dojść do interferencji, wyładowań, talizman gotów ulec uszkodzeniu. Lepiej nie ryzykować.

Najwyraźniej był skłonny uwierzyć, że nieznajomy przybysz rzeczywiście potrafi rzucać czary wróżebne. Tymi najprostszymi mógł się posłużyć nawet ktoś posiadający zaledwie ślad daru.

Ninnora wzruszyła ramionami i wyszła, by po chwili wrócić bez pierścienia. Usiadła za stołem, a żmij zajął miejsce naprzeciwko. Holger Joas obserwował wszystko spod drzwi. Krzyczący nie lubił, żeby patrzono mu na ręce, ale opanował irytację i nie skomentował.

– Potrzebuję odrobiny twojej krwi, pani – powiedział. – Wystarczy kropelka.

Ninnora w milczeniu wyciągnęła dłoń i pozwoliła, aby żmij delikatnie zadrasnął skórę ostrzem sztyletu. Gdy kropla krwi znalazła się w misie, Krzyczący wziął przyniesioną przez służącego czapkę i polecił hrabinie położyć na niej rękę. Sam też zrobił to samo, uważając, żeby ich palce się nie stykały.

– Proszę patrzeć w wodę – poinstruował, a następnie przywołał moc. Wiedział, że źrenice zaczynają mu się jarzyć i że iluzja tego nie kryje, ale ani ze strony hrabiny, ani doktora Joasa nie wyczuł strachu, jakim na ten widok reagowała większość ludzi.

Przez dłuższą, irytującą chwilę nie działo się nic. Brune widział, że Ninnora jest cała spięta, podenerwowana tym, że uczestniczy w zakazanym rytuale, nie wiedząc, co może jej grozić oprócz możliwych konsekwencji ze strony aparatu sprawiedliwości. W Lossorze za samo skorzystanie z usług czarnego maga prawo nie przewidywało zbyt dotkliwych kar dla szlachetnie urodzonych – grzywna, ewentualnie pozbawienie urzędu, jeśli ktoś piastował takowy – ale oczywiście w przypadku pani de Segi łatwo byłoby sfabrykować oskarżenie, że wynajęła *kaira*, by pomścić śmierć jej męża.

Zniecierpliwiony tym, że wizja nie chce się pojawić, zmij znowu delikatnie sięgnął ku umysłowi Ninnory, uspokajając ją tak wprawnie, że odprężyła się i zaczęła oddychać głębiej, skupiając całą uwagę na misie. Następnie sam popatrzył na okopconą ścianę, przywołując z pamięci to, co wcześniej pokazał mu dar.

Ogień i złote niehumanoidalne oblicze z dwiema parami rogów.

Choć woda była zimna, znad jej powierzchni zaczęły się wznosić smużki pary. Płomyki świec zachybotwały, poruszone chłodnym powiewem, jakby w komnacie otwarło się niewidzialne okno.

A potem w misie, niczym w kryształowej kuli, pojawiły się obrazy, czy raczej ich fragmenty, jakby urywki kilku wątków tej samej historii – chaos przesuwających się krajobrazów, sylwetek i twarzy, z którego w pierwszej chwili ciężko było wyłowić sens. Ninnora westchnęła cicho, jej palce kur-

czowo zacisnęły się na dłoni żmija. Widziała to samo co on.

Brune skupił się na jednym z obrazów, zmuszając wizję, aby poddała się jego woli. Strzępki scen urosły, splotły się i ukonkretniły. Wstrzymał oddech, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów.

Szarawa pustynia, spękany grunt usiany wykwitami soli, bezlistne krzaki podobne do sterczących z ziemi zmumifikowanych rąk. Niebo fioletowe niczym płatki barwinków. Lśnią na nim olbrzymie gwiazdy.

Chłopiec leży na ziemi wśród uschniętych zarośli, a rogata istota pochyla się nad nim. Teraz widać ją w całej okazałości: potężne złote cielsko, skrzydła i rozwidlony ogon. Syczy cicho, obwąchując bezwładną postać dziecka.

Pani de Sega poderwała się z krzesła, wyrrywając dłoń z uścisku żmija. Wizja prysła. Oszołomiony Brune przetarł czoło. Twarz Ninnory lśniła od potu, spojrzenie było błędne i wściekłe.

– Jak śmiałeś, magu? – wybuchła. – Czemu mnie nie ostrzegłeś?

– Proszę o wybaczenie, pani. – Żmij skłonił się, kładąc dłoń na piersi. – Najważniejsze, że się udało. Już wiem, gdzie przebywa Nikael.

Tak naprawdę nie było pewności, czy wizja dotyczy obecnej chwili, czy też sytuacji sprzed kilku lub kilkunastu godzin, ale postanowił to przemilczeć. Najważniejsze, że udało się uzyskać konkretny ślad. Istniała też nadzieja, że porywacz z jakichś względów nie zabrał dziecka do zleceniodawcy porwania, bo wówczas czar najprawdopodobniej by to pokazał.

– Czy on żyje? – spytała gorączkowo Ninnora. – Czy mój syn żyje?

Żmij zawahał się, ale uznał, że w tej kwestii nie może jej

okłamywać.

– Nie wiem. Ale zakładam, że tak – dodał szybko, widząc grymas na jej twarzy.

– Gdzie on jest? Co to za miejsce?

– Pustkowie gdzieś w sferach.

– W astralnym świecie? – wmieszał się uczyony. – Jak to możliwe? Wszak mistrz Nargaed ar Shiath pisze, że nie może tam przebywać nikt, kto nie jest magiem.

– Niektórzy tak sądzą, ale to nieprawda. Lub w najlepszym razie część prawdy. – Brune zawahał się, niepewny, czy jest sens wdawać się w szczegółowe wyjaśnienia. W księgach pisano różne rzeczy, uczeni nie zgadzali się w wielu kwestiach. – Sfery nie są jednym jednolitym światem, lecz wieloma. Każde dominium astralne rządzi się innymi prawami. Są tam miejsca, gdzie wszystko jest materialne, tak jak tu, a żyjące tam istoty oddychają, jedzą i piją jak my. Są też takie, gdzie pobyt przypomina śnienie na jawie, a jeśli człowiek zostanie tam dłużej, stopniowo obróci się w bezcielesny cień. Są wreszcie i takie, gdzie może przeżyć tylko mag, bo powietrze jest trujące albo żyją tam stworzenia, które natychmiast zabijają każdego, kto nie włada czarami. Jedno jest pewne: w sfery może się wybrać każdy, kto umie się posługiwać magią teleportacyjną, natomiast zwykły człowiek dotrze tam tylko pod warunkiem, że ktoś go zabierze portalem.

Ninnora uważnie słuchała tego wykładu.

– To właśnie spotkało mojego syna, tak? – spytała na koniec.

– Tak. Porywacz pochodzi najprawdopodobniej z królestwa salamander, ale nie zbiegł do swojej ojczyzny, tylko na rubieżę ósmego dominium, co trochę ułatwi mi zadanie.

– Co zamierzacie? – spytał uczyony.

– Wyprawić się tam, negocjować z porywaczem, wrócić z chłopcem. Byty astralne zazwyczaj nie troszczą się o ziemską politykę ani o lojalność wobec zleceniodawców, dość łatwo można je przekupić. Ale najpierw – zmij przyszpilił Ninnorę spojrzeniem – musimy ustalić, co mogę zaoferować.

Hrabina przygryzła wargę.

– Nie zgadzam się na żadne negocjacje ani targi. Zabij go.

– Pani, obawiam się, że przeceniasz moje siły – odparł spokojnie Krzyczący, który spodziewał się takiej reakcji. – Niektórych istot astralnych w ogóle nie można zabić, są też takie, które zmartwychwstają po pewnym czasie. Szczerze odradzam narażanie się na zemstę. Moim zdaniem, jedyna rozsądna opcja to szukać ugody z porywaczem, a następnie przekupić go, żeby oddał dziecko. Mam trochę doświadczenia, jeśli chodzi o negocjowanie z mieszkańcami sfer...

– Nie pozwalam! – Ninnora podniosła głos. – Rozumiesz, co mówię? Nie zgadzam się!

– Pani – Krzyczący skłonił się lekko – rozumiem twoją postawę. Niemniej albo rozegram sprawę tak, jak mi podpowiadają doświadczenie i rozsądek, albo musisz poprosić o pomoc innego maga. Przykro mi.

Hrabina, błada ze złości, oznajmiła, zniżając głos:

– Za to, co powiedziałaś, mógłbyś zawisnąć na zamkowym dziedzińcu.

– Mało prawdopodobne – odparł równie cicho Krzyczący, też patrząc jej w oczy. Przywołując moc, sprawił, że spowiła go ciemność; wyglądał teraz jak ożywiony cień o świecących żółto źrenicach. Ninnora poderwała się z krzesła, cofnęła o krok. – Chyba że masz na swoje rozkazy cały oddział srebrnych magów, pani, ale w takim wypadku nie byłbym tu do niczego potrzebny.

Holger Joas przełknął z wysiłkiem ślinę. Gapił się na żmija niczym ktoś, kto uświadomił sobie poniewczasie, że gałąź na ścieżce obok jego stóp to w rzeczywistości jadowity wąż.

Brune zignorował uczonego. Rozproszył czar i uśmiechnął się leciutko, uważając, by tik nie wykrzywił mu twarzy.

– Są dwie możliwości – podjął spokojnie, zwracając się do hrabiny. – Albo działam tak, jak uznaję za stosowne, albo żegnam się, nie polecając na przyszłość swoich usług.

Ninnora de Sega przygryzła wargę. Łatwo było zgadnąć, co wybierze.

*

Pracownia Holgera Joasa mieściła się na szczycie zamkowej wieży. Wspinając się po stromych, krętych drewnianych schodach, uczony mocno się zasapał. Wyjął klucz i otworzył okute drzwi.

– Zapraszam – rzekł z ukłonem.

Za drzwiami śmierdziało. Jak cholera. Brune zwalczył odruch, aby wyjąć z kieszeni olejek kamforowy, który zawsze nosił przy sobie, wiedząc z doświadczenia, że nie sposób przewidzieć, kiedy przyjdzie mu łązić po kanałach albo oglądać gnijącego trupa.

Pracownia zajmowała cały obwód wieży. Była na tyle obszerna, aby człowiek o nieuleczalnej skłonności do bałaganienia mógł w niej wytworzyć chaos jak po nalocie skrzydlatych małp i nadal móc się swobodnie poruszać. Żmij rozejrzał się ciekawie w poszukiwaniu źródeł fetoru. Jedno wypatrzył od razu – na stoliku leżały naszykowane do preparowania martwe jaszczurki, wiewiórki i łasice oraz ich rozpięte na de-

seczkach, suszące się skórki. Wypchane okazy zajmowały stojący obok regał. Ale prócz gnijącego mięsa dawało się wyczuć odór zepsutych jaj, cywetu, kociego moczu oraz, nie wiedzieć czemu, słodką nutę malin.

Joas chrząknął z zakłopotaniem.

– Wybaczcie bałagan. Rzadko miewam tu gości.

Brune dyplomatycznie powstrzymał się od komentarzy. Ruszył za uczonym, omijając leżącą na podłodze stertę notatek, talerz z zaschniętymi resztkami sosu, zepsutą lunetę oraz uszkodzony globus astralny, pokryty grubą warstwą kurzu. Kurz powlekał w pracowni absolutnie wszystko, przez co na parapetach i stołach wyraźnie uwidaczały się ślady kocich łapek. Kot spoczywał na fotelu, zwinięty na wyświechtanym płaszczu. Był bury, pręgowany, dobrze odżywiony. Łypnął na żmija jednym bursztynowym okiem, strzepnął uchem i spał dalej.

– Proszę. – Astrolog zdjął z regału księgę w zniszczonej skórzanej oprawie. – Oto tablice astronomiczne, wersja opracowana przez Ilynne ar Nuad z przypisami Margandiego. – Odchrząknął znowu. – Mistrzu Tarklundzie, jeśli wolno spytać, jakim sposobem zamierzacie się dostać tam, gdzie przebywa porywacz?

Brune zawahał się, wiedząc, że to dobre pytanie. Nie był specjalistą od odtwarzania tras portali; jeżeli miał wybór, zawsze wolał postawić na ukierunkowaną dematerializację. Teraz musiał się jedynie upewnić, że układ ciał niebieskich i prądów Zmroczy nie jest niekorzystny – do tego właśnie potrzebował tablic astronomicznych. Gdyby się okazało, że dematerializacja nie wchodzi w grę, pozostawałaby jedynie próba ponownego otwarcia portalu. Ryzykowna, bo nie miał w tym wprawy.

Nie zamierzał tłumaczyć tego wszystkiego astrologowi, więc rzekł tylko:

– Teleportuję się, rzecz jasna.

Doktor Joas nie zadawał dalszych pytań. Z wyraźną ulgą pożegnał żmija i zamknął za nim drzwi.

Brune wrócił do komnaty zawierającej widoczne i niewidoczne ślady porwania. Po drodze zdecydował, że z dwojga złego woli zaryzykować ukierunkowaną dematerializację niż odtwarzanie trasy portalu. Zastanawiał się też, czy nie zażądać zaliczki, bo miał niedobre przeczucie, że jego misja się nie powiedzie. Ostatecznie uznał jednak, że w tak wysokich progach powinien się zachowywać jak szlachcic, a nie jak pospolity najemnik.

Hrabina czekała. Nie rzekła ani słowa, lecz wyglądała na zniecierpliwioną. Żmij wyjaśnił jej pokrótce, co zamierza zrobić. Słuchała z lodowatą miną, ale gdy skończył, niechętnie wyraziła zgodę. Uprzedził, że wpierw musi dokonać obliczeń i że to potrwa.

Potrwało dłużej, niż przewidywał. Nim skończył, za oknami zamku już zapadał zmierzch. Ponieważ układ ciał niebieskich okazał się sprzyjający, nie było sensu odwlekać przedsięwzięcia.

*

Zamiast rysować krąg i pisać zaklęcia na parkiecie, Brune posłużył się arkuszami papieru, na których wymalował atramentem odpowiednie znaki. Poinstruował też hrabinę, że po wszystkim należy je spalić.

Ninnora de Sega w milczeniu obserwowała, jak żmij rozkłada arkusze na podłodze i zapala w glinianej mi-seczce

kadzidło, a potem wyjmując otrzymane wcześniej pasmo włosów służącej, która tego ranka zmarła w męce. Nie były nadpalone i Krzyczący zadał sobie w myślach pytanie, jakim sposobem przetrwały ogień – może ochronił je czepek? Zaciśnął kosmyk w dłoni i zamknął oczy, chłonąc czarne ciepło. Wiedział, że jeśli będzie miał pecha, cały jego zasób sił w sferach może wystarczyć na bardzo krótko.

Wrzucił włosy, teraz zupełnie pozbawione aury, do miseczki z tłącym się kadzidłem. Rozszedł się swąd spalenizny. Nozdrza Ninnory drgnęły, przez twarz przebiegł skurcz. Opanowała się jednak.

– Nie wiem, ile czasu zajmie ta wyprawa – powiedział spokojnie Krzyczący. – Może kilka godzin, a może dwa, trzy dni. Nie mam pojęcia, jak dużą odległość będę musiał pokonać, zanim znajdę chłopca, i czy nie wystąpią okoliczności, które utrudnią powrót. Burza astralna, dajmy na to, czy inne anomalie. – Wyjął z kieszeni składany nożyk z kościaną rączką, na której widniało kilka wyrytych znaków. Rozłożył go i chuchnął na ostrze, po czym wręczył Ninnorze. – Jeśli ten nóż zardzewieje, to będzie znaczyć, że stało się coś na tyle poważnego, że nie jestem w stanie wrócić do Ertel-Sega. W takim wypadku, no cóż, trzeba przyjąć, że wyprawa zakończyła się fiaskiem, i po-prosić o pomoc innego maga.

Hrabina powoli skinęła głową. Brune nie umiał się zdo-być na to, żeby powiedzieć coś pocieszającego.

Trzymając aksamitną czapkę Nikaela, stanął pośrodku kręgu, który tworzyły rozłożone arkusze pokryte pismem magów. Zamknął oczy, ponownie skupiając się na obrazie, który widział wcześniej – słone pustkowie, wyschnięte chaszczce pod niezwykłym fioletowym niebem – i wypowiedział zaklęcie.

Raptem ogarnęło go nieprzyjemne uczucie, że przeoczył coś ważnego, że działa pochopnie. Ale było już za późno, żeby się nad tym zastanawiać. Otoczyły go wirujące barwy, a znajome, przesywające zimno ukąsiło aż do kości, kiedy z materialnego świata runął w pustkę między wymiarami.

*

Tym, co wyrwało go z ciemności, był ból.

W miarę jak powracała przytomność, zmij rejestrował coraz więcej wrażeń. Leżał na twardym, suchym podłożu i było mu słabo po błyskawicznym ubytku siły życiowej. Dematerializacja na duże odległości czasem potrafiła się tak właśnie skończyć. Otworzył oczy, ale nadal widział wyłącznie mrok.

Zebrał siły i ostrożnie usiadł, zaciskając zęby, kiedy ból przebił mu oczodół tępą szpilą. Czuł też dreszcze, kolejny charakterystyczny objaw głębokiego wyczerpania.

Objął się ramionami, próbując zebrać myśli. Dobrze pamiętał, co się stało. Dezorientujący kolorowy wir astralnej podróży, a potem – chyba zbyt szybko – grunt pod nogami, nagły zawrót głowy... i później już nic.

Dar chronił maga materializującego się w obcym miejscu – nie istniała możliwość, by wylądować na przykład dwadzieścia stóp nad ziemią, w morzu albo w ogniu, chyba że za sprawą cudzego celowego działania. Niemniej coś poszło nie tak. Może w wyliczeniach, sprawdzanych trzykrotnie, mimo wszystko zaplątał się błąd, a może zawiniły niemożliwe do przewidzenia fluktuacje w aurze sfer. Dość że podróż osłabiła zmija znacznie bardziej, niż powinna. Siła wyszana z komnaty nasyconej czernią oraz z włosów nieżyjącej kobiety była już tylko wspomnieniem.

Niedobrze.

Rozejrzał się. Jego oczy, lepsze od oczu kota, nawet w nieprzebitym mroku potrafiły rozróżnić głązy i powykręcane, bezlistne drzewka. Znajdował się na zboczu góry, które wyżej stawało się strome i przepaściste. Zdecydowanie nie był to teren ujrzany w wizji. Skupiwszy się, Brune wyczuł zmysłami maga leciutkie tętnienie mocy ukrytej głęboko pod powierzchnią gruntu, u korzeni gór. Piąte dominium astralne, kraina gnomów.

Szlag. Prychnął cierpko. Może należało jednak spróbować odtworzyć ten portal.

Czapka Nikaela leżała na ziemi, w zasięgu ręki żmija. Podniósł ją, machinalnie prostując zgniecione pawie pióro. Teraz gdy znalazł się w sferach, zaklęcie, które splótł, działało jak zarzucona lina z hakiem – prędzej czy później ściągnie go do celu. Pytanie tylko, czy stanie się to już po drugiej dematerializacji, czy też potrzebna będzie trzecia. Na drugą, jeśli chwilę odpocznie, powinno mu wystarczyć sił. Na trzecią – cholera wie.

Usiadł na kamieniu, szczelniej otulając się podarowanym przez Ninnorę płaszczem z futrzaną podszewką – przewidywał, że tam, dokąd się wybiera, może być znacznie zimniej niż w Lossorze. Miał też ze sobą koc, skórzany bukłak z wodą, trochę bandaży i parę innych drobiazgów w małej podróżnej sakwie, ale żadnej żywności, bo jej zabieranie miało się z celem. Przy przekraczaniu granic między niektórymi obszarami astralnego świata działy się dziwne rzeczy. Prowiant gnił, pergaminy pleśniały, monety pokrywały się śniedzią, broń z gorszej stali rdzewiała. Jeśli miało się naprawdę dużego pecha, ucierpieć mogło nawet ubranie czy buty.

Alkoholowe ekstrakty z ziół na szczęście były odporne

na astralne podróże, dzięki czemu mógł potraktować migrenę lucyferią, zanim ból stanie się nie do zniesienia. Wygrzebał z kaletki przy pasku fiołkę i kapnął na język odrobinę palącego płynu.

Czekając, aż lek zadziała, wyjął karty, rozłożył. Paź mieczy, król mieczy, Księżyc. Tym razem ostrzegały nie tylko przed niebezpieczeństwem, ale też przed fałszem, kłamstwem i zwodniczymi pozorami. Czyżby porywacz był zmiennokształtny?

Kiedy lucyferia trochę stłumiła ból głowy, zmij schował karty, ujął czapkę Nikaela i ponownie wyszeptał formułę. Tym razem uderzenie wirujących kolorów, lodowatego zimna i dezorientacji trwało ledwie sekundę. Potem Krzyżący znalazł się z powrotem w normalnej przestrzeni, z trudem łapiąc oddech. Gdy się rozejrzył, serce zabiło mu szybciej.

Dotarł do celu.

Niebo było fiołkowe jak jedwab królewskiej szaty, usiane migoczącymi klejnotami gwiazd. Tym silniej kontrastowało z jałową, słońcą pustynią, gdzie tu i ówdzie sterczały uschnięte chaszczki lub szkielety drzew. Ósme dominium. Niegościnnie, bezwodne pustkowie, w które zapuszczały się co najwyżej żywiołaki wygnane ze swych ojczystych stron.

Brune sięgnął umysłem w przestrzeń, badając otaczający teren w poszukiwaniu żywych istot. Nie wyczuł nic, cała okolica była opuszczona, martwa. Zamknął oczy, skoncentrował się i wypuścił swoją świadomość jeszcze dalej, cierpliwie przepatrując każdą piędź słonego gruntu. I raptem wstrzymał oddech.

Jest.

Pośrodku pustkowiecia wznosiły się kopulaste konstrukcje z bloków skalnych. Zmysły maga powiedziały zmijowi, że to

ruiny liczące sobie tysiące lat. Wszystko, co pozostało z osady czy miasta wzniesionego w czasach, gdy to dominium astralne tętniło życiem, zamieszkane przez przedstawicieli jakiejś wymarłej cywilizacji. A wewnątrz jednego z budynków znajdowała się istota z ciała i krwi. Ludzkie dziecko, leżące bez ruchu, oddychające z trudem. Nieprzytomne. Chyba bez otwartych ran, choć odległość była zbyt duża, by dało się to stwierdzić z całą pewnością.

Pół mili. Raczej nie więcej. Nie zdołałby sięgnąć wewnętrznym wzrokiem dalej.

Kolejna dematerializacja nie wchodziła w rachubę, byłaby bezsensownym marnowaniem sił. Brune ruszył przed siebie pieszo, przez cały czas czujnie sięgając umysłem w przestrzeń, by się upewnić, czy nic się nie zbliża. Nigdzie nie wyczuwał obecności porywacza i to go niepokoiło. Czyżby astralny stwór po prostu porzucił zdobycz? A może udał się na poszukiwanie wody i pożywienia? W ósmym dominium nie należało liczyć na znalezienie czegokolwiek, co jest jadalne dla ludzi, ale rogacz nie musiał o tym wiedzieć.

Wkrótce na horyzoncie zamajaczyły jajowate budowle, wyrastające ze spękanej ziemi niczym olbrzymie, dziwne grzyby. Brune przyśpieszył kroku. Wewnątrz najbliższego z domostw czy też grobowców – nie wiedział, jaką funkcję pełniły kiedyś te pozbawione okien konstrukcje z pojedynczym łukowatym wejściem – wyczuwał czarną aurę cierpienia i choroby.

Sięgając umysłem w przestrzeń, upewnił się raz jeszcze, że w ruinach nie ma nikogo więcej. Potem ostrożnie wszedł do budowli.

Sekundę później już klęczał przy nieprzytomnym dziecku, klnąc przez zęby. Nie było dobrze. Chłopiec leżał tu na

zimnej posadzce od cholera wie jak dawna. Czoło miał rozpalone, oddychał chrapliwie i nie zareagował na próby obudzenia. W sferach czas płynął inaczej niż w świecie ludzi – szybciej lub wolniej, w zależności od dominium – ale najwyraźniej dla Nikaela upłynęło go dość dużo, by zdążył się odwodnić, przemarznąć i zachorować.

Gdzie podziewał się porywacz? Czy zapłacono mu za to, żeby porzucił dziecko na pustkowiu na pewną śmierć? A może wyruszył szukać pomocy? Istniała jeszcze inna możliwość: byty astralne były w większości kapryśne, chętnie działały pod wpływem chwilowego impulsu, i rogiaty stwór mógł się po prostu znudzić zdobyczą jak kot myszą.

Brune spróbował ocucić chłopca – najpierw potrząśnięciem, a gdy to nie poskutkowało, łagodnym sięgnięciem do umysłu. Nikael na moment otworzył oczy i zamamrotał coś. Potem znowu stracił przytomność, wiotczając w rękach żmija.

Miał na sobie paradne niebieskie ubranko ze złotymi guzikami, teraz pokryte pyłem. Raczej niezbyt ciepłe. Brune okrył go kocem. Potem wyjął z sakwy cynowy kubek, wlał do niego trochę wody z bukłaka i rozmieszał w niej szczyptę zmielonej yadhmarskiej kory, uniwersalne lekarstwo na gorączkę. Yadhmarską korę lepiej było podawać z winem, ale żmij nie miał wyboru.

Ponownie użył daru, żeby ocucić chłopca na te kilkanaście sekund, których potrzebował, żeby podać mu lek. Nikael bez protestów wypił gorzki płyn. Patrzył na żmija mętnym, otępiałym wzrokiem bez śladu strachu, najwyraźniej nie mając pojęcia, gdzie jest i co się dzieje. Przy ostatnim łyku zakrztusił się, lekarstwo spłynęło mu po brodzie. Brune odstawił kubek i z powrotem otulił dziecko kocem. Nim skończył, chłopiec znowu odpłynął w malignę, mamrocząc bezsensownie.

Potem zamilkł.

Brune rozejrzył się po pomieszczeniu. Było niskie i pozbawione okien. Na ścianach widniały na wpół zatarte płaskorzeźby, kamienną posadzkę pokrywał kurz. Żmij wyjął z kieszeni nieodłączną kredę i nakreślił na murze symbole potrzebne do otwarcia portalu. Czuł przytłaczające znużenie po dwukrotnym teleportowaniu się na olbrzymią odległość, ale nie miał wyboru, nie było czasu do stracenia. Dziecko mógł zabrać z powrotem tylko przez portal, dematerializacja nie pozwalała wziąć ze sobą osoby pozbawionej daru.

Przywołał moc i wyszeptał formułę, lecz nic się nie stało. Zaklął przez zęby, odczekał chwilę i ponownie spróbował sprawić, by między wymiarami utworzył się astralny tunel. Bez efektu. Dopiero teraz Brune poczuł chłodny strumyczek budzącego się strachu. Coś uniemożliwiało otwarcie portalu – może chwilowa fluktuacja magicznych prądów, a może coś poważniejszego, na przykład mającego związek z historią tego miejsca.

Rad nierad zajął się zabezpieczaniem tymczasowego schronienia przed intruzami, pisząc na murach następne zaklęcia. Nie był pewien, jak potężną istotą jest porywacz, ale na wszelki wypadek użył kilku formuł chroniących przed ogniem. Skończywszy, otrzepał ręce i poszedł sprawdzić, co znajduje się w drugim pomieszczeniu. Nie znalazł niczego ciekawego. Takie same płaskorzeźby na ścianach, żadnego okna. Żadnego paleniska, ołtarza, kości; nic. Wrócił do chłopca, a przekonawszy się, że ten śpi, wyszedł przed budowlę, by się rozejrzeć.

Było ciemniej niż przedtem – znad horyzontu nadciągała gigantyczna ławica chmur. Zdążyła już zasnuć sporą część nieboskłonu, gasząc gwiazdy. Zerwał się porywisty wiatr, niosący ziarenka słonego pyłu. Brune zamknął oczy i ponownie

sięgnął umysłem w przestrzeń, sprawdzając, czy nikt się nie zbliża.

Prawie natychmiast zdrętwiał, bo wyczuł coś lodowato znajomego. Aurę srebra, parzącą zimnem jak dotknięcie metalu na mrozie. A to coś, co było jej źródłem, zbliżało się powoli.

Skupił się, wyęzając zmysły maga, głowiąc się, czemu istota stworzona przez Elitę pojawiła się akurat w tym miejscu i akurat teraz. Podejrzliwość właściwa ściganemu przestępcy szeptała mu, że to nie przypadek.

Był tak zmęczony po dwóch dematerializacjach, że nie dałby teraz rady podjąć walki. Pozostało liczyć na to, że czary kamuflujące, które splótł, wystarczą, by ochronić zarówno jego, jak i dziecko.

To, co zmierzało w ich stronę, stanowiło wytwór srebrnej magii. Jej adepci z upodobaniem badali, co można uzyskać, na nowo określając granice żywego ciała, dzieląc je na kawałki, a te ponownie łącząc, spajając z mechanizmami, zastępując trzewia elementami z metalu i szkła. Zimna, fosforyczna moc ożywiała organy istoty, w tym serce, które tłoczyło przez tętnice i żyły lepki mleczny płyn zastępujący krew. Nie był to jednak golem, lecz inny, bardziej skomplikowany twór. Zmysły maga mówiły Krzyczącemu, że to ciało nie zawiera metalowych elementów.

Otworzył oczy. Wydało mu się, że na horyzoncie, wśród kłębow niesionego wiatrem pyłu, dostrzega poruszający się kształt, na razie odległy, lecz rosnący z każdą chwilą. Niebawem istota objawiła się jego oczom w całej okazałości.

Przypominała kolumnę wyrastającą z kłębowiska długich, chudych, giętkich rąk, jakby częściowo pozbawionych kości, u góry zwieńczoną dwiema głowami, znacznie więk-

szymi od ludzkich. Każda posiadała co najmniej dwadzieścia purpurowych oczu. Straszycło powoli, dostojnie frunęło przez powietrze, a wstrętne zwisające ręce skręcały się konwulsyjnie niczym robaki. Całość emanowała ledwie widoczną poświatą.

Żmij zadrżał. Wiedział, na co patrzy. To była hybryda, istota stworzona ze zwłok kilku czy kilkunastu żywych stworzeń. Takie eksperymenty oburzały i przerażały zwykłych ludzi, lecz dla magów Elity stanowiły chleb powszedni. Nie podejrzewał, aby poczwara uciekła z laboratorium, w którym ją wyhodowano; raczej przemierzała sfery w bardzo konkretnym celu, poszukując takich jak on. Gdyby był w pełni sił, nie obawiałby się podjąć z nią walki, ale wyczerpanie uczyniło go praktycznie bezbronnym.

Czekał, wstrzymując oddech, przekonany, że lada chwila potwór zatrzyma się, zacznie badawczo węszyć... a potem skręci w ich stronę.

Sekundy pełzły niemiłosiernie wolno. Koszula żmija zwilgotniała od potu. Zaciskając dłoń na rękojeści sztyletu, Brune nie odrywał wzroku od hybrydy.

Ta przeleciała w odległości jakichś czterdziestu kroków od ich schronienia. Nie zatrzymała się, nawet nie zwolniła. Nie odwróciła żadnej z głów. Oddalała się teraz, jej sylwetka powoli malała. Żmij wypuścił powietrze z płuc, ale nadal stał bez ruchu, jeszcze nie dowierzając, że niebezpieczeństwo minęło.

Formuły kamuflujące spełniły swoje zadanie. Wróg ni-czego nie wyczuł. Podążał dalej w sobie tylko znanym celu.

Chmury zdążyły tymczasem zasnuć cały nieboskłon, a porywisty wiatr przybierał na sile. Niósł z oddali dziwne dźwięki, jakby strzępy muzyki.

Brune odczekał, aż lodowaty grot, jakim dla zmysłów

maga była jaźń hybrydy, zniknie w oddali. Potem sprawdził, czy stan chłopca nie uległ zmianie, i upewniwszy się po raz kolejny, że są sami, ponownie wyszedł na zewnątrz. Wyszukał większą kępę uschniętych zarośli i nałamał ich tyle, żeby starczyło na posłanie. Musiał kilka razy wracać po kolejne naręcza szarych, słabo ulistnionych łodyg, które kruszyły się łatwo, puste w środku. Podejrzliwie obserwował niebo, i tak jak przewidywał, w pewnej chwili poczuł na twarzy i dłoniach wilgotne dotknięcia kropel. Pylistą ziemię wokół zaczynały pstrzyć coraz liczniejsze ciemne plamki. Nie był to zwykły deszcz. Krople miały barwę atramentu.

Żmij przyśpieszył kroku i zdążył dotrzeć do budowli, nim się rozpadało na dobre. Zaledwie znalazł się pod dachem, deszcz przybrał na sile, a chwilę później przemienił się w ulewę. Czarne strugi smagały pustkowia, zamieniając kurz w smoliste błoto, a z wiatrem płynęły dziwne dźwięki, teraz znacznie wyraźniejsze i bliższe. Raz były to jakby urywki kilku różnych melodii, kiedy indziej chaotyczne dysonanse, jakby grupa pijanych muzyków usiłowała przygrywać na fletach i dzwonkach.

Brune rzucił badyle na posadzkę, odwiązał z szyi chustkę i wytarł z twarzy oraz dłoni ciemne krople, które na szczęście nie brudziły tak jak atrament – najprawdopodobniej zawierały zawiesinę pyłu. Skóra nie piekła go ani nie swędziała, a dar nie ostrzegał przed niebezpieczeństwem, więc należało przypuszczać, że ten smolisty deszcz nie stanowi zagrożenia – w każdym razie nie dla *kaira*. Co do zwykłych ludzi takiej pewności już nie było.

Ułożył posłanie z suchych łodyg i przeniósł na nie Nikaela. Słuchając jednostajnego huku ulewy, pomyślał ponuro, że jeśli nie uda mu się najdalej w ciągu doby otworzyć portalu,

mają problem. Duży problem. Znał czary pozwalające oczyścić zatrutą studnię czy strumień, ale nie wiedział, czy tu, w sferach, zadziałają wystarczająco skutecznie, aby wodę skażoną tym czarnym świństwem można było bezpiecznie pić. A w szczególności – czy nie pogorszy ona stanu chorego chłopca. O siebie martwił się trochę mniej, bo *kaira* byli odporni na większość trucizn. W najgorszym razie pewnie zwróciłby pierwszy łyk natychmiast po przełknięciu. Ale po kilku dniach bez wody będzie mu groziła śmierć z pragnienia, tak jak zwykłemu człowiekowi.

Nikael przewrócił się na drugi bok, otworzył oczy i jęknął, więc żmij ukląkł przy nim.

– Śpij – powiedział łagodnie, a po namyśle poświęcił jeszcze odrobinę mocy, żeby ułatwić chłopcu ponowne zapadnięcie w sen.

Na zewnątrz zrobiło się ciemno, a huk ulewy przybrał na sile. Żmij usiadł pod ścianą i usiłował sobie przypomnieć, jakie czynniki mogą spowodować, że magia teleportacyjna przestaje działać. Intuicja podpowiadała mu, że czarny deszcz jest związany z jakąś anomalią, prawdopodobnie z przejściowym zanikiem bariery między dwoma dominiami sfer. Podejrzał, że chmury napłynęły tu z innej krainy astralnej – może jednej z tych, w których wszystko było tak obce i dziwne, że mag mógłby tam przetrwać jedynie przez krótki okres, a zwykły człowiek wcale. Za jakiś czas granica powinna się samo-istnie odtworzyć; pytanie, kiedy to nastąpi. Nikael potrzebował medyka. Teraz, jak najszybciej. Nie istniały zaklęcia mogące mu pomóc; czarna magia nie uzdrawia, srebrna zaś pomaga wyłącznie sługom srebra.

I pytanie, co z porywaczem, czy zamierza tu jeszcze wrócić.

Po namyśle żmij dodał kilka symboli do tych, które już pokrywały ściany ich schronienia, i wyszeptał formułę kolejnego zaklęcia kamuflującego. Potem położył się na pościeli z badyli i zamknął oczy. Od kamiennej posadzki ciągnęło zimnem, ale monotonny szum deszczu działał usypiająco. Brune nie był pewien, czy powinien sobie pozwolić na zapadnięcie w sen, lecz był tak zmęczony po astralnej podróży, że czerń podjęła decyzję za niego; osunął się w nieświadomość, nawet nie wiedząc kiedy.

Gdy ocknął się z dreszczem, zobaczył, że przez otwór wejściowy wpada dzieńne światło. Przeciągnął się ostrożnie. Był zeszywniały i obolały, ale nie czuł już tego przytłaczającego znużenia co wcześniej. Wiedział dlaczego. Obecność chorego dziecka pomogła mu szybciej odzyskać siły.

Zaklęcie usypiające wciąż działało, Nikael jeszcze się nie ocknął. Żmij zmierzył mu puls na szyi i przekonał się, że mimo yadhmarskiej kory chłopiec nadal ma gorączkę. Nie wróżyło to dobrze. Sfery nie były przyjazne dla ludzi pozbawionych daru – istniały rejony grożące rychłym postradaniem zmysłów, a także takie, w których wątłe ludzkie ciało szybko padało ofiarą żaru bądź zimna, trującego powietrza czy astralnych drapieżców. W księgach znajdowały się też wzmianki o nieszczęśnikach, którzy wyprawę poza granice materialnego świata przypłacili zapadnięciem na tajemnicze, okropne choroby, jak nieszczęsny Ferigalias z Dhlene, fałszywy mag, który zapłacił sylfom, żeby go zabrały do drugiego dominium. Wkrótce po powrocie całe jego ciało zzieleniało, zaczęło gnić i odpadać od kości, nim wreszcie zmarł w straszliwych męczarniach.

Brune postanowił na razie nie budzić chłopca. Wyjrzał na zewnątrz. Czarny deszcz zelżał, lecz wciąż jeszcze siąpił. Niebo przypominało brudną ścierkę albo wodę, w której ma-

larz wielokrotnie wypłukał pędzel. Pustkowie przybrało barwę smoły, podobnie jak mokre kamienne budowle. W powietrzu wisiał słaby, lecz wyraźny zapach zgniłych jaj, jak w pobliżu gorących źródeł.

Żmij bez większych nadziei raz jeszcze spróbował otworzyć portal. Z efektem łatwym do przewidzenia. Zaklął pod nosem.

Teraz gdy się wyspał, dokuczały mu głód i pragnienie. Cóż, brak prowiantu na razie stanowił mało istotną uciążliwość. Bardziej paląca była kwestia wody.

Jak na zawołanie, Nikael akurat w tym momencie otworzył oczy.

– Pić – poprosił ochryple.

Brune wlał do kubka trochę wody z bukłaka i ostrożnie napoił chłopca. Dziecko przełykało chciwie.

– Jeszcze – szepnęło, ale żmij pokręcił głową.

– Za chwilę.

Nikael zamknął oczy. Nie spytał, gdzie się znajduje i kim jest obcy. Brune mało wiedział o dzieciach, podejrzewał jednak, że ta nienaturalna obojętność musi być skutkiem osłabienia, gorączki i przeżytego szoku. Wyjrzał na dwór; deszcz prawie ustał, chmury odpływały, zrobiło się jaśniej.

Ponuro pomyślał, że może źródłem wszystkich kłopotów jest samo miejsce, w którym się znaleźli. Wprawdzie nie wyczuwał tu żadnej obcej magii mogącej zaburzyć działanie jego zaklęć, ale kiedyś czytał o tak zwanych martwych plamach w przestrzeni, gdzie wszelka teleportacja jest niemożliwa. Z tego, co pamiętał, anomalie tego rodzaju miały być niewykrywalne dla zmysłów maga i występować bardzo rzadko. Ma się rozumieć, informacjom z ksiąg nie zawsze należało ufać.

Odczekał jeszcze chwilę, aż zupełnie przestanie padać, po czym wyszedł na zewnątrz. Oddalił się o kilkadziesiąt kroków od skupiska budowli, nakreślił na mokrej ziemi odpowiednie symbole i skupił się maksymalnie, wkładając w zakłęcie otwierające portal znacznie więcej mocy niż zwykle, tak jakby polewał drwa oliwą przed rozpaleniem ognia.

Bez efektu. Jeśli znajdowała się tutaj martwa plama, musiała mieć olbrzymią powierzchnię. Niedobrze. Cóż, istniała jeszcze możliwość, że to ta czarna ciecz, która obficie nasączyła grunt w promieniu wielu mil, blokuje czary teleportacyjne. Wprawdzie otwarcie portalu było niemożliwe jeszcze przed nadejściem ulewy, ale kto wie, może wystarczyła bliskość chmur.

Tknięty bardzo złym przeczuciem, Brune spróbował się zdematerializować i odkrył, że tego również nie jest w stanie zrobić.

Zaklął. Idiotyczna sprawa. Tkwili tu jak dwa szczury w pułapce, a on nie miał pojęcia, co dalej. Skończyły mu się pomysły.

Kiedy wrócił do budynku, Nikael nie spał. Wbił w zmija ogłupiałe, przerażone spojrzenie.

– Gdzie jesteście? – spytał słabym głosem.

– W sferach – powiedział łagodnie Brune. – Nie bój się. Nic nam tu na razie nie grozi. – Sprawdził puls chłopca i przekonał się, że wbrew jego nadziejom gorączka nie spadła. Potem spróbował wyjaśnić w prostych słowach, gdzie się znajdują i dlaczego nie mogą wrócić. – Boli cię coś? – zapytał na koniec. – Głowa, brzuch?

– Głowa – szepnął Nikael.

– Bardzo boli?

– Bardzo.

Żmij dał chłopcu pić, a po namyśle dolał do kubka jeszcze trochę wody i rozmieszał w niej następną dawkę yadhmarskiej kory. W bukłaku pozostały może ze trzy szklanki.

Na zewnątrz zmierzchało. Wkrótce zapadły ciemności. Z oddali wciąż płynęły strzępy dziwacznej muzyki, będącej wytworem astralnych przestrzeni, a nie rozumnego umysłu. Robiło się coraz chłodniej.

Nikael zaczął się płaczliwie skarżyć, że mu zimno i nie-dobrze, pewnie wskutek zażycia yadhmarskiej kory na pusty żołądek. Żmij obawiał się, że chłopiec zwymiotuje lek. Nie zwymiotował, ale marudził tak długo, że Brune w końcu stracił cierpliwość i ponownie go uspił. Czuł, że głód i pragnienie zaczynają źle działać na jego zdolność koncentracji. Cholerna migrena znów wierciła w oczodole tępym drutem. Upewniwszy się po raz kolejny, że nigdzie w okolicy nie ma żywego ducha, postanowił wyruszyć na poszukiwanie jakiegoś strumyka czy źródła, czy choćby miejsca, gdzie w wygrzebanej w ziemi jamie za jakiś czas zbierze się woda.

Pokonał dość konkretną odległość, omijając głazy i przeskakując rozpadliny. W pewnej chwili nadepnął na coś, co nie było kamieniem. Z ziemi sterczały kości. Czaszka, żebra i coś, co wyglądało jak pozostałości ręki. Albo ludzkie, albo cholernie do ludzkich podobne. Brune przykląkł, by obejrzeć je uważniej. Były zbyt stare, aby zachować wyczuwalne ślady aury.

W końcu natrafił na strumyk, a raczej leniwie sączącą się strużkę, która wypływała spomiędzy głazów i kawałek dalej niknęła w rozpadlinie. Zaczepnął dłonią wody, wyszeptał zakłęcie, posmakował i natychmiast wypluł – ciecz była słonogorzka, śliska jak mydło. Wiedział, że powodem nie jest czarny deszcz, tylko sole przesycające grunt. Zakłęcie oczyszczenia

studzien nie mogło tu pomóc. Przydałby się raczej czar do uzdatniania morskiej wody, ale Brune jak na złość nie znał żadnego i nie potrafił na poczekaniu ułożyć odpowiedniej formuły.

Zrezygnowany wrócił do budowli. Przyszło mu do głowy, że może karty coś podpowiedzą. Ale gdy je rozłożył, mówiły tylko o zagubieniu, bezdrożach i ciemności.

Z braku lepszych pomysłów położył się i zamknął oczy, próbując ignorować świdrujący ból głowy oraz dotkliwe pragnienie. Gardło miał wyschnięte na wiór i nie potrafił przestać myśleć o wodzie, która jeszcze została w bukłaku. W końcu wstał i napił się – tylko trochę, dwa łyki – po czym kapnął na język odrobinę ekstraktu z lucyferii. Lek podziałał pobudzająco, wraz z bólem likwidując znużenie i dając złudną energię. Popychając do działania.

Brune wyjął z kieszeni kredę i przywołując z pamięci wszystko, co wiedział na temat zasad komponowania magicznych formuł, zaczął kombinować, próbując tak zmodyfikować zaklęcie otwierające portal, aby to coś, co zaburzało jego działanie, straciło znaczenie. Rysował kolejne znaki tylko po to, żeby zaraz je zamazać. Na kamiennym murze parokrotnie rozbłysła świetlista linia, rozbiegła się w siatkę zygzaków i zgasła; raz w powietrzu zatańczył błękitny płomyk, ale szybko zniknął. I na tym koniec.

Wreszcie zmij rzucił kredę na posadzkę i długą chwilę stał, wpatrując się w wyrysowane znaki pisma magów. W przyпіływie wściekłości zamazał wszystko, nie ruszając jednak formuł kamuflujących i ochronnych wypisanych na trzech pozostałych ścianach.

I wtedy poczuł delikatne ukłucie mocy. Dar go ostrzegwał.

W pierwszej chwili Brune pomyślał, że hybryda wraca.

Ale nie, tym razem poczucie zagrożenia było bardziej ulotne. Trudne do zdefiniowania. Żmij zamknął oczy i skupił się, usiłując zrozumieć, co szepczą mu zmysły maga. Dostarczanych przez nie wrażeń często nie sposób było opisać słowami – przypominały słyszalny zapach czy dźwięk będący jednocześnie obrazem.

Po chwili już wiedział.

Coś usiłowało przedostać się przez granicę między wymiarami. Uwięzło w lodowatej pustce poza przestrzenią astralną, niejako po lewej stronie rzeczywistości.

Porywacz? Nie było sposobu, by to stwierdzić. Ale któż inny mógłby chcieć się zmaterializować właśnie tutaj, właśnie teraz?

Brune z niepokojem popatrzył na wypisane na ścianach znaki. Jak dotąd żaden nie jarzył się czerwienią. Pozostawało mieć nadzieję, że astralny stwór nie usiłuje się teleportować bezpośrednio w to miejsce, do kryjówki – wtedy zaklęcia mogłyby go nie powstrzymać. A żmij nie był pewien, jakie szanse miałby w bezpośrednim starciu z tym czymś – i czy udałoby mu się obronić chłopca. Czekał. Sekundy i minuty wlokły się nieznośnie wolno. Suche łodygi posłania trzeszczały, ilekroć Nikael przewracał się z boku na bok. Wrażenie zagrożenia narastało; Brune czuł, jak po plecach wędrują mu zimne mrówki. Obca jaźń zbliżała się, prąc ku ósmemu dominium niczym smok z baśni, kolejno przepalając oddechem dziesięć wykutych z żelaza drzwi.

A potem przestrzeń pękła. Z hukiem, od którego zatrzęsła się ziemia. Ze sklepienia posypały się kurz i okruchy tynku. Na zewnątrz rozjarzyła się luna, jaśniejsza z każdą chwilą, jakby w pobliżu szalał pożar. Nikael poderwał się przerażony.

– Zostań tu! – warknął do niego żmij. – Nie waż się wy-

chodzić!

Ponieważ nie był pewien, czy otumanione gorączką dziecko zrozumiało i czy posłucha, prędko nakreślił kredą na posadzce linię, obok zaś wypisał trzy znaki, do których po krótkim namyśle dodał jeszcze dwa. Teraz Nikael nie mógł przekroczyć linii, a jeśli ktokolwiek zajrzałby do wnętrza budowli, pomieszczenie wydałoby mu się puste.

Potem źmij wybiegł na dwór. Było jasno jak w dzień, głązy rzucały czarne cienie. Ledwie sto kroków od ich schronienia kotłowała się burza płomieni, ryczące, jaskrawe inferno. Powietrze drgało od żaru. Osłonił się czarem tarczy i powoli podszedł bliżej.

Tarcza chroniła go przed doznaniem fizycznej szkody, ale gorąco i tak zapierało dech. W końcu musiał przystanąć. Istniały rozsądne granice ryzyka.

Ogień z hukiem pożerał połąć uschniętych zarośli. Po chwili przygasał na tyle, by w jego centrum uwidoczniła się złota węzowa sylwetka o dwóch parach rogów. Istota zwróciła ku źmijowi gorejące ślepia i zawyła, po czym z jej gardła wykwitł jęzor płomieni. Brune odruchowo, bez sensu zasłonił się rękoma, chociaż wiedział, że tarcza go ochroni. Natychmiast pożałował okazanej słabości.

To była albo czystej krwi salamandra, żywiołak ognia, albo niebezpieczna krzyżówka salamandry z demonem. Wykrzyczał w języku magów uprzejme powitanie. Stwór znów zionął płomieniami, które zahuczały wokół przezroczyściego bąbla utworzonego przez czar tarczy. Widząc, że dyplomacją na razie nic nie wskóra, Brune spowił się czarem niewidzialności. Cofnął się o kilka kroków, stając za dużym głazem, i przez chwilę układał w myślach słowa. Już wcześniej zaplanował sobie, jaką ofertę złoży porywaczowi.

– *Bądź pozdrowiony, ognisty bracie* –zawołał telepatycznie. – *Nie chcę z tobą walczyć.*

Przez chwilę nie było odpowiedzi. Potem w umyśle zmi-ja rozbrzmiał sykliwy szum, układający się w słowa szeptane jakby przez wiele głosów równocześnie:

– *Gdzie dziecko?*

– *Jest chore, potrzebuje pomocy.*

– *Pokaż!* – Telepatyczny rozkaz niósł ze sobą taką dawkę mocy, że oparcie się wymagało sporego wysiłku, ale Brune miał w tym wprawę.

– *Po co ci ten chłopiec?*

– *Pokaż!* – Tym razem wyrażony telepatycznie impetyw był na tyle mocny, że zmij musiał zebrać wszystkie siły, by mu nie ulec. Niemal fizycznie czuł, jak obca wola naciska na jego własną, próbując ją złamać. Twarz zadrgała mu w tiku.

Niedoczekanie twoje, draniu. Trafiła kosa na kamień.

Raptem presja zelżała – i w tejże sekundzie w kierunku zmi-ja chlusnęła fala płomieni. Brune wzmocnił tarczę. Mimo głazu, za którym się kulił, oraz magicznej osłony żar niemal odbierał mu oddech.

Szlag. Ale nie wyruszyłyby negocjować z potężną astralną istotą bez kilku argumentów w zanadrzu. Uznając, że słowami nic już nie zwojuje, sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, wyjął jedną z naszykowanych w Ertel-Sega kart z zaklęciami i przedarł ją.

Ogień zgasł pod uderzeniem mroźnego wiatru. Astralny potwór zaryczał z wściekłością, usiłując wydmuchnąć następną strugę płomieni; gasły zaraz po zetknięciu z lodowatym powietrzem. Żmij zacisnął zęby, czując, jak czar wysysa z niego moc.

Spokojnie. Wdech, wydech. Dasz radę.

Gdy podniósł wzrok, naokoło w promieniu kilkudziesięciu stóp pogorzeliśko pokrywało się szronem. Zadrżał; zakłęcie tarczy nie chroniło przed zimnem. A potem coś sobie uświadomił. Choć on sam nadal pozostawał niewidzialny, jego oddech zawisał w powietrzu kłębamii pary.

Rzucił się w bok, by skryć się za innym głazem. Jednak wyglądało na to, że istota go nie dostrzegła. Węszyła z uniesionym łbem, poruszając wahadłowo ogonem niczym gotowy do ataku kocur. Jej złote cielsko dymiło; wokół snuły się opary.

Brune skupił się, usiłując ponownie odnaleźć umysłem umysł stwora. Czuł żar obcej jaźni, podsycony gniewem, ale nawiązanie telepatycznego kontaktu tym razem okazało się niemożliwe – natrafił na barierę i musiał się wycofać.

Uznał, że pozostało mu już tylko jedno, i sięgnął po kartę z zaklęciem, które traktował jak absolutną ostateczność. Nie musiał jej rozkładać, żeby się upewnić, że trzyma właściwą – moc zamknięta w wypisanych czerwonym atramentem symbolach niemal parzyła go w palce. Zamknął oczy, koncentrując się, zbierając siły.

I wtedy istota zaczęła śpiewać.

Jej głos, słodki jak syrop, niósł czarowną, złudną obietnicę. Hipnotyzował i wabił. Chociaż sekundę wcześniej czujny i spięty, Brune z trudem opanował nagłą pokusę, żeby rozprościć zakłęcie niewidzialności i po prostu wyjść z kryjówki, bo przecież nie ma się czego obawiać. A potem uświadomił sobie oczywistą prawdę.

To nie jego wabiono, lecz chłopca.

Nie zastanawiając się nad implikacjami tego faktu, Brune przedarł kartę, uaktywniając czar znany jako Czarny Oddech Nuaru. Jego dłonie przeszył ból, palce zdrętwiały. Żmij

zamknął oczy, oddychając płytko i szybko – zakłęcie pochłaniało jego siłę życiową w porażającym tempie, aż zląkł się, czy aby nie przecenił swoich możliwości.

Gdy doszedł do siebie na tyle, by się rozejrzeć, rozdarta karta leżała na ziemi – nawet nie wiedział, kiedy ją upuścił – i buchał z niej smolisty dym, którego pasma wiły się i wyciągały w górę niczym macki. Chmura zakłętych oparów zdążyła już spowić ognistą istotę aż po czubek głowy. O dziwo, stworzenie nie wiło się, nie miotało, jakby nie zdawało sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Śpiewało dalej, ale pieśń straciła swój podstępny czar, brzmiała teraz płytko i fałszywie, jakby ktoś trącał struny rozstrojonego instrumentu. Brune roztarł palce, do których powoli wracało czucie, i obserwował działanie czaru, ciekaw, jak szybko ów obezwładni porywacza.

Dym coraz bardziej gęstniał wokół istoty, a żar jej cielecka przygasł jak ogień, któremu brakuje powietrza. Śpiew przycichł, potem zadrgał i urwał się. Osadzony na długiej szyi łeb opadł ku ziemi.

Naraz – tak nagle, że Krzyczący, kompletnie zaskoczony, nie miał szans zareagować – płomienisty ogon stworzenia wyprysnął z kokonu ciemnych oparów. Z trzaskiem oddzielił się od reszty ciała, a spadając na kamieniste podłoże, przybrał kształt ognistej czworonożnej sylwetki. I pobiegł – z niesamowitą prędkością, tak szybko, że rozmywał się w mroku w jaśniejący zygzak – w stronę ruin.

Niemal w tej samej chwili żmij poczuł znajome, parzące srebrem zimno. Kilkaset kroków dalej zmaterializował się otoczony bladą poświatą kształt – dwie głowy, podobne do kolumny ciała, płatanina wijących się rąk.

Hybryda wróciła.

Oniemiały żmij musiał podjąć błyskawiczną decyzję. I

zrobił to. Jednym wprawnym gestem rozproszył Czarny Oddech Nuaru, po czym – nie marnując czasu na sprawdzanie, czy ognisty stwór odzyskuje przytomność – cisnął w hybrydę błyskawicami czaru paraliżującego, żeby zyskać choć parę sekund, i rozdarł kolejną kartę z gotową formułą, skupiając się na tym, by precyzyjnie zwizualizować cel.

Lód Myriakusa zmaterializował się w powietrzu nad hybrydą jako błękitnawa chmura, lecz nim się uaktywnił, istota rozwarła obie paszcze, z których wykwitło oślepiające białe światło. Brune zdołał instynktownie wzmocnić tarczę, ale mimo to szramy na twarzy zabolowały go tak koszmarne, że na moment zrobiło mu się ciemno przed oczami. Czuł, że szybko traci siły. Hybryda śpiewnie wykrzyczała zaklęcie, które wydarłoby mu wnętrzności, gdyby nie osłona. Osunął się na kolana, wiedząc, że lada chwila nie będzie już w stanie podtrzymać czaru ochronnego.

I wtedy Lód Myriakusa zaczął działać, zamrażając tkanki upiornego tworu. Ten czar jako jeden z nielicznych nadawał się do użycia zarówno przeciwko żywiołakom ognia, jak i istotom posiadającym materialne, wilgotne ciało.

Hybryda zawyła przeszywająco – ból musiał być straszliwy. Targnęła obiema głowami; zwisające u dołu ręce już zastygły w zlodowaciały kłęb. Dał się słyszeć trzask jakby pękającej kry. Potem kolejny, głośniejszy.

Kilka sekund później było po wszystkim. Szczątki hybrydy leżały rozrzucone na pokrytej szronem ziemi. Brune nie bez trudu dźwignął się na nogi – i popatrzył prosto w złote ślepie ognistego stwora. Żmij nadal osłaniał się czarem tarczy, ale wiedział, że wystarczy teraz jeden dobrze wycelowany atak, żeby go zabić.

– Wrogu srebrnych, obawiam się, że najprawdopodobniej

jesteś też moim wrogiem – usłyszał telepatyczny komunikat – *ale jeśli uważasz, że nie, naświetl mi sytuację. Byle szybko.*

Brune przełknął z trudem ślinę, szukając właściwych słów.

– Zostałem wysłany, żeby odszukać i uratować porwane dziecko – odparł, teraz już na głos, żeby nie marnować mocy na komunikowanie się w myślach. – W razie konieczności jego matka zapłaci okup.

Zamilkł, zbity z tropu, słysząc śmiech podobny do skwierczenia tłuszczu.

– *Chcesz powiedzieć, że przybyłeś tu po panicza Nikaela? Z czyjego polecenia?*

– Hrabiny Ninnory de Segi.

– *Albo kłamiesz, magu, albo to hrabina wprowadziła cię w błąd. Chłopiec, którego zabrałem z zamku Ertel-Sega, wcale nie jest jej synem.*

– Nie próbuj mnie zwodzić – odparł wolno Krzyczący, ale w jego umyśle już zakiełkowało ziarno wątpliwości. – Kim jest w takim razie?

– Obawiam się, że to pani Ninnora powinna ci się tłumaczyć – nieoczekiwanie odrzekła ognista istota ludzkim głosem, po czym przygasła i skurczyła się w oczach, przyjmując postać młodzieńca odzianego w czerwień i złoto. Z jego czoła sterczały niewielkie różki, a w źrenicach pełgały płomyki. – Jeżeli naprawdę służysz jej, a nie jej wrogom. Możesz to udowodnić?

– A ty komu służysz? – spytał natychmiast żmij, bo nabrał podejrzeń, czy przypadkiem to stworzenie nie jest powiązane z magami Elstreda znacznie silniejszymi więzami lojalności, niż brał pod uwagę, i nie próbuje go zwodzić. Wiedział, że jeśli istota skłamie, dar na pewno go ostrzeże.

– Pani Ninnorze – odparło stworzenie, i nie było wątpliwości, że mówi prawdę.

*

– Pochodzisz z dominium salamander, nieprawdaż? – upewnił się Brune, gdy szli w stronę kamiennych budowli. Sytuacja rozwijała się w zdumiewającym kierunku, ale choć pozostawał ostrożny, nie wyczuwał ze strony rozmówcy fałszu ani wrogości. Wiedział zresztą, że gdyby miał zginąć, zginąłby zaraz po hybrydzie.– Zgadza się – odrzekło stworzenie. Posługiwało się językiem magów nadzwyczaj płynnie, choć z dziwnym, śpiewnym akcentem. – Zwiąż mnie Llarid Sath Saakos z klanu Saak Zar.

Czyli czystej krwi salamandra. To dobrze wróżyło. Żywiołaki ognia generalnie były rozsądne i dość przyjaźnie nastawione do śmiertelników. Brune po namyśle przedstawił się prawdziwym imieniem oraz przydomkiem, licząc, że istota mogła o nim zasłyszeć to i owo.

– Służę rodzinie de Segas już od lat – podjął Llarid Sath Saakos. – Dawno temu, gdy hrabia Artael był młody, zawarłem z nim umowę, na mocy której miałem strzec jego zamku od pożarów, piorunów i klątw ognia.

– W zamian za co? Jeśli wolno spytać, oczywiście.

– Co miesiąc składano mi w ofierze siedem gołębi, a raz do roku białego konia.

Żmij nie chciał być wścibski, ale chętnie zapytałby, kto w imieniu hrabiego wynegocjował tak korzystne warunki. Wydawało się oczywiste, że kontrakt musiał zostać zawarty przy udziale maga – zwykli ludzie nie posiadali ani wiedzy, ani artefaktów umożliwiających pertraktowanie z żywiołakami.

Dotarli do budowli, przy której warował płomienisty kształt wielkości dużego psa, nie mogąc przekroczyć linii narysowanej wcześniej przez żmija. Krzyżący w Ciemności nie okazał zdziwienia – z ksiąg wiedział, że przedstawiciele niektórych klanów salamander mogą rozdzielać swą jaźń na dwie lub więcej części. Llarid Sath Saakos wyciągnął dłoń, a ogniste nibyzwierzę podbiegło do niego, bezgłośnie rozwierając paszczę. W złotym rozbłysku stopili się w jedno; sekundę później Brune miał przed sobą już tylko salamandrę obleczonego w pozory ludzkiej postaci.

– Chłopiec bardzo źle znosi pobyt w sferach, nie przetrwa tu długo – powiedział Llarid. – Sądysz, magu, że kiedy umrze, byłoby bardzo niestosownie z mojej strony, gdybym pożywił się jego ciałem?

– Tak – odrzekł Krzyżący, kiedy już odzyskał głos. – Obawiam się, że byłoby to bardzo niestosowne.

– Ale czemu? Pani Ninnorze chyba nie zależy na tym, żeby móc wyprawić mu pogrzeb?

– Zacznijmy od tego, że on nie umrze – uciął żmij. Nie czuł się na siłach prowadzić dyskusji z żywiołakiem, którego obyczaje i kodeks moralny diametralnie różniły się od ludzkich.

– Ale...

– Żadnych ale. Zaczekaj tu, przy wejściu, jeśli łaska.

Nawet jeśli dar mówił mu, że salamandra nie kłamie i nie ma wrogich zamiarów, mimo wszystko żmij wolał nie przesadzać z zaufaniem. Wszedł do budowli, uważając, żeby nie zatrzeć linii narysowanej kredą, i zobaczył, że chłopiec nie leży, tylko siedzi skulony w kącie, dygocząc – trochę od gorączki, ale bardziej chyba ze strachu.

– Nie bój się – powiedział Krzyżący. Potem, nie mogąc

powstrzymać gorzkiego uśmiechu, dodał: – Już wiem, że nie jesteś Nikaelem de Segą. Ale nie przejmuj się, to kiedyś musiało wyjść na jaw.

Dziecko najpierw otwarło usta, potem zakryło je rękami w niemej panice.

– Spokojnie – stwierdził z westchnieniem żmij. – Na razie musimy wykombinować, jak bezpiecznie wrócić do świata ludzi. Wszystkim innym będziemy się martwić później.

Potem, poniekąd przecząc własnym słowom, położył rękę na czole chłopca i odczytał z jego myśli wszystko, co było do odczytania.

Żeby chronić syna, hrabina de Sega wykorzystwała dublera, sierotę z ludu, podczas gdy prawdziwy Nikael został wywieziony z zamku i gdzieś ukryty. Chłopiec w niebieskim ubranku tak naprawdę nazywał się Frans i raczej nie był przesadnie bystry. Nadal niewiele rozumiał z sytuacji, a w jego myślach przewijały się głównie głód, pragnienie, zimno i paniczny strach przed ogniem. Żmij nie pojmował, jak zdołano go szybko przyuczyć do roli małego panicza, aczkolwiek jeśli w Ertel-Sega obowiązywała prastara zasada wychowawcza, że dzieci i ryby głosu nie mają, na pewno ułatwiało to sprawę. Holger Joas musiał wiedzieć o wszystkim, podobnie jak jedna czy dwie zaufane służące.

Jakby czytając w myślach Krzyczącego, mały Frans zaczął pochlipywać.

– Pani hrabina będzie zła, żeście się domyślili – szepnął.

– Na świecie są gorsze rzeczy niż gniew pani hrabiny – pocieszył go żmij. Podał chłopcu jeszcze jedną dawkę yadhmarskiej kory z resztką wody. Czekając, aż dziecko wypije lek, grzał się w czarnym cieple choroby, uspokajając sumienie świadomością, że przecież musi choć trochę wzmocnić siły.

Potem wyszedł na zewnątrz i poprosił Llarida, żeby ten pokrótce opowiedział, co naprawdę wydarzyło się w Ertel-Sega.

– Ktoś podłożył na zamku klątwę ognia – powiedział salamandra. – Uaktywniła ją służąca, której nie zdążyłem uratować. Zdołałem zdusić płomienie, zanim objęły komnatę i chłopca, ale ten, kto podłożył czar, najprawdopodobniej przewidział moją interwencję. W pomieszczeniu oprócz klątwy ukryto portal pułapkowy, który przerzucił mnie razem z chłopcem do tego wymiaru. Wiesz oczywiście, gdzie się znajdujemy, prawda?

– Nie – odrzekł Krzyczący, chociaż nie lubił przyznawać się do niewiedzy. – Wiem tylko, że gdzieś w ósmym dominium.

– To pustkowie Sheketh. Słynie z wielkiej liczby martwych płam i pułapek przestrzennych. Niezwykle trudno jest się stąd wydostać, jeśli nie dysponuje się mapą lub zmysłami, które pozwalają wyczuwać takie anomalie. Wy, magowie, nie potraficie tego, o ile dobrze pamiętam.

– Nie. A w każdym razie ja nie potrafię.

– Ja umiem przekraczać granice wymiarów w dowolnym punkcie, ale tylko sam. Ty nie zdematerializujesz się stąd ani nie otworzysz portalu, bo jesteśmy na obszarze ogromnej martwej plamy, której granica znajduje się jakieś czterdzieści mil od tego miejsca.

– Dobrze wiedzieć – stwierdził cierpko Krzyczący. – Dematerializacja i tak nic by mi nie dała. Muszę zabrać chłopca z powrotem do mojego świata. Tutaj umrze.

– Może umrzeć tak czy owak.

– Śmiertelnicy tak już mają – uciął niecierpliwie żmij. – Powiedz lepiej, po co tu wróciłeś? Przecież mogłeś zanieść dzieciaka w miejsce, gdzie martwa plama się kończy, i stamtąd otworzyć portal do Ertel-Sega.

– Nie potrafię otwierać portali – odrzekł Llarid. – Nie jestem magiem, tylko salamandrą. Odleciałem stąd, żeby powiadomić panią Ninnorę, że dubler jej syna wciąż żyje, i spytać, co mam robić, skoro nie znam sposobu, żeby zabrać go z powrotem. Jednak zabłądziłem na rubieżach między siódmym a szóstym dominium i długo trwało, zanim trafiłem z powrotem do świata ludzi. W Ertel-Sega powiedziano mi, żebym wrócił do chłopca i zaczekał, a doktor Joas spróbuje coś wymyślić. Pani Ninnora nie wspomniała ani słowem, że wysłała w sfery maga, dlatego sądziłem, że pracujesz dla jej wrogów.

Pani Ninnora przypuszczalnie uznała, że zginąłem, skoro nóż zardzewiał, dopowiedział sobie w myślach Krzyżący. No cóż, hrabina miała prawo niewiele wiedzieć o pułapkach przestrzeni astralnych.

– Nie liczyłbym na to, że doktor Joas coś wymyśli – stwierdził. – Nie sądzę też, żeby pani de Sega martwiła się tym, czy dubler przeżyje. Ostatecznie dzieciak już spełnił swoją rolę. Ludzie, którzy podłożyli kłótwę, przypuszczalnie uwierzą, że... – Tu urwał, bo ogarnęły go wątpliwości. Po co umieszczać w jednej komnacie kłótwę ognia i portal pułapkowy prowadzący do odległego dominium astralnego? Aby mieć pewność, że nawet gdyby ofiara zdołała uciec przed płomieniami, wpadnie w portal? Aby wyeliminować z gry salamandrę, jeżeli słudzy Elstreda wiedzieli o żywiołaku i kontrakcie, który wiązał go z rodziną de Sega? Ale przecież wiadomo, że portal pułapkowy nie zrobi krzywdy bytowi astralnemu, dla którego sfery są środowiskiem naturalnym. I czemu podłożono na zamku akurat kłótwę ognia, jeśli zamachowiec miał świadomość, że żywiołak najprawdopodobniej zdąży interweniować? Im dłużej Brune zastanawiał się nad tą kwestią, tym bardziej cały zamach wyglądał mu na próbę rozprawienia się z Nikae-

lem i Llaridem za jednym zamachem, tyle że ktoś nie wykazał się wiedzą na temat astralnych istot. Cóż, dyletanci mogą się trafić wszędzie, również na królewskim dworze.

A czemu Ninnora wynajęła żmija i posłała go śladem dublera? Odpowiedź wydawała się oczywista – żeby konsekwentnie podtrzymywać kamuflaż. Było więcej niż pewne, że na zamku przebywają szpiedzy, pewnie ktoś ze służby cichcem składał raporty królewskiemu wywiadowi. Aby zapewnić synowi bezpieczeństwo, hrabina musiała sprawić, by wrogowie uwierzyli, że to prawdziwy Nikael trafił gdzieś na rubieże sfer. Brune w pełni ją rozumiał, co nie zmieniało faktu, że został koncertowo wywiadzony w pole. A raczej na cholerne pustkowia Sheketh.

– Jeśli możesz, żywiołaku, po prostu przybierz z powrotem swoją naturalną postać i zanieś nas obu w miejsce, gdzie kończy się ta cholerna martwa plama – poprosił. – Otworzę stamtąd portal do świata ludzi.

– Mam was nieść przez czterdzieści mil? A zapłacisz mi za tę przysługę? – spytał chytrze Llarid, w którym najwyraźniej odezwała się żyłka do interesów.

– To zależy. Czego może chcieć salamandra od maga?

– A co mag może mi zaoferować?

– Na pewno mógłbym ci wynegocjować u hrabiny de Segi lepsze warunki zatrudnienia.

– Tylko na tyle cię stać, śmiertelniku?

Krzyczący westchnął. Bardzo starał się tego nie okazywać, ale był u kresu sił, głodny, spragniony i wyczerpany. Głowa pękała mu z bólu, a co gorsza, wiedział, że kolejna dawka lucyferii może mu już tylko zaszkodzić.

– Mogę ci później przygotować jakiś eliksir albo klątwę na wrogów, jeśli ich masz – powiedział. – Albo możesz nas tu

zostawić. Wówczas chłopiec umrze, bo ja nie dam rady donieść go do granicy martwej plamy. Ale wtedy będziesz współwinny jego śmierci, a ja ją wykorzystam, żeby przygotować klątwę na ciebie. I gwarantuję, że nic ci wtedy nie pomoże, więc dobrze się zastanów, mości Llaridzie.

Żywiołak aż przyjrzał mu się uważnie, autentycznie zaintrygowany.

– Czemu tak ci zależy na uratowaniu tego chłopca, skoro powiadasz, że pani Ninnorze jest wszystko jedno, czy on przeżyje?

– Powiedzmy, że to kwestia pryncypiów. A pani Ninnora tak czy owak zapłaci mi za tę wycieczkę w sfery. – Oczy żmija błysnęły. – Niech tylko spróbuje się wymigać.

*

Brune nie widział powodów, żeby się śpieszyć z powrotem do Ertel-Sega. Wprost przeciwnie. Otworzył portal, ale do pewnej obozowiny w Chalkirze Południowym – jednego z kilku miejsc, gdzie mógł w potrzebie znaleźć schronienie. Znano go tam, zawdzięczano mu coś niecoś, więc nie zadawano żadnych pytań, tylko szybko i dyskretnie zorganizowano wszystko, o co poprosił. Dla chłopca kleik z mlekiem i poślanie na zapiecku, gdzie kucharka przyrzekła mieć na niego oko. Dla żmija – ciepłe jedzenie, gorącą herbatę i wygodny siennik w osobnej izbie na poddaszu. Brune zastrzegł, że mają go obudzić, gdyby dziecko poczuło się gorzej. Jednak był prawie pewien, że noc minie spokojnie. I miał rację. Kiedy nazajutrz wczesnym rankiem zszedł do kuchni, przekonał się, że chłopiec prawie nie ma gorączki i czuje się lepiej. Żmij poprosił obozowinę, żeby opiekowano się Fransem jeszcze przez kilka następnych dni, i

zapowiedział, że wróci po dzieciaka. Rzecz jasna, zapłacił za wszystko – ci ludzie i tak ryzykowali, pozwalając czarnemu magowi nocować pod swoim dachem. Wprawdzie w Chalkirze nie groziła za to kara (prawo zakładało, że nie można wymagać, aby zwykły, nieobyty z magią człowiek potrafił rozpoznać, z kim ma do czynienia), każdy jednak wiedział, że *kaira* i kłopoty zawsze idą w parze.

Brune spokojnie zjadł śniadanie, zastanawiając się nad owsianką, co powiedzieć hrabinie. Teraz, kiedy już przestał się czuć jak wyżęta ścierka, jego zimna wściekłość na matkę Nikaela odrobinę zmaląła. Ale tylko trochę.

Do Ertel-Sega wrócił sam, koło południa. Nie uznając za stosowne opowiadać się strażnikom przy bramie, po prostu przeniknął przez mury, materializując się na piętrze, w komnacie, gdzie kilka dni wcześniej przywołał wizję w szklanej misie. Okrywszy się iluzją niewidzialności, przez chwilę badał przestrzeń zmysłami maga. Miał szczęście – choć po rezydencji kręciło się wielu ludzi, Ninnora de Segga znajdowała się na tyle blisko, że bez trudu wyczuł jej obecność.

Cicho jak kot przeszedł przez bibliotekę, wspiał się po krętych schodkach, mijając niepodejrzewającą niczego pokojówkę, i zatrzymał się w antykamerze przed dębowymi drzwiami, zza których dobiegał głos hrabiny, na tyle stłumiony, że nie dawało się rozpoznać słów. Żmij musiał się nieco mocniej skupić, żeby zidentyfikować jej rozmówcę. Kared de Linne. Brune wyczuł też obecność jeszcze jednego mężczyzny oraz dziecka.

Powoli otworzył drzwi. Pani de Segga siedziała na sofie; na podłodze u jej stóp przycupnęła ciemnowłosa, skromnie ubrana dziewczynka, zajęta książką z obrazkami. Kared de Linne, w pelerynie i butach do konnej jazdy, stał przy oknie,

pod ścianą zaś – Holger Joas. On pierwszy spostrzegł zmija; zdumienie, które odmalowało się na jego twarzy, kazało hrabinie odwrócić głowę.

– Mistrzu Tarklundzie – powiedziała spokojnie, z chłodną uprzejmością – proszę, wejść.

Żmij podszedł do nich, cicho zamknąwszy za sobą drzwi. Zauważył, że Ninnora omiotła go wzrokiem. Umył się w obierzy, ale po jego ubraniu i butach było widać, ile czasu spędził na pylistym pustkowiu. Nie podejrzewał, aby pani de Sega raczyła go przeprosić za wprowadzenie w błąd i instrumentalne potraktowanie.

Milczenie przedłużało się, coraz cięższe i bardziej znaczące, aż przerwała je hrabina.

– Nóż zardzewiał – powiedziała.

– Nóż nie miał informować, że zginąłem, tylko że coś mi uniemożliwiło powrót. *Kaira* nie giną tak łatwo w sferach.

Ninnora de Sega skinęła głową. Nawet teraz uparcie nie okazywała emocji. I, tak jak żmij podejrzewał, w ogóle nie spytała o los małego dublera.

Popatrzył na dziewczynkę siedzącą u stóp hrabiny. Wyczuł, że mała się go boi, ale uparcie nie podnosiła wzroku, udając bardzo zaabsorbowaną rycinami w książce.

Krzyczący zacisnął zęby, zły na siebie. Pamiętał to dziecko. Widział je pierwszego dnia po przybyciu na zamek, ubrane jeszcze biedniej, siedzące obok starej niańki i zwijające włóczkę. W tym wieku płci nie dawało się tak łatwo rozpoznać po aurze jak w przypadku dorosłych. Mógłby się zorientować, gdyby ujął rzekomą dziewczynkę za rękę i zajrzał w jej myśli.

– Twój plan, pani, był prosty i elegancki – powiedział powoli. – Obawiam się jednak, że nie da się dłużej podtrzymać tej maskarady. Dla własnego bezpieczeństwa powin-

naś jak najszybciej wyjechać z Lossoru wraz z synem. Rzecz jasna, w tajemnicy.

Zamilkł, widząc, że Ninnora de Sega się uśmiecha.

– Mylisz się, mistrzu Tarklundzie – odparła z nutką satysfakcji. – Pan de Linne przywiózł wieści ze stolicy. Król nie żyje, skonał przedwczoraj w nocy. Wieść niesie, że zabiła go klątwa podłożona przez srebrnych magów, którzy zawarli układ z księciem d’Ingrą.

– Księżę d’Ingra najprawdopodobniej wkrótce odkryje, że z tego układu wynikną same kłopoty – odrzekł Krzyżący ze wzruszeniem ramion. – Cóż, bywa. Pani, jeśli wolno mi przypomnieć, mamy jeszcze należność do uregulowania, a potem uwolnię cię od mojej niepotrzebnej obecności.

Hrabina bez mrugnięcia okiem zadzwoniła po służącą i ściszoneg głosem wydała jej polecenie, wręczając kluczyk. Dziewczyna wróciła po chwili, przynosząc pękata sakiewkę, którą położyła na stoliku przed swoją panią.

– Oto twoja zapłata – oznajmiła Ninnora, otwierając mieszek i pokazując złote monety. – Dziesięć tysięcy ursi, zgodnie z umową.

Żmij skłonił się, nie okazując zaskoczenia. Obstawiał, że hrabina będzie próbowała zbić cenę – nie wiedział, czy odwiodła ją od tego duma arystokratki, czy strach przed *kaira*. Ale w sumie nie było to istotne.

Zabrał mieszek i już miał się zdematerializować, gdy nagle poczuł na skórze falę chłodnych mrówek. Dar go ostrzegał. I wystarczyła dosłownie chwila skupienia, by się zorientować dlaczego.

Żmij przejechał ręką po karku i ściągnął z kołnierza kurtki coś małego, twardego, przebijającego haczykowatymi odnóżami, co usiłowało wgrzyźć mu się w palec, ale natrafiło na

rękawiczkę. Strząsnął paskudztwo na podłogę i wysyczał jedno słowo w języku magów, a *zi-rib*, owad szpiegujący wyhodowany w laboratoriach Elity, znieruchomiał. Rozmiarami, kształtem, nawet kolorem przypominał chrabąszcza, jego aura zaś została przez twórców sprytnie zamaskowana, ale Brune miał już do czynienia z tymi tworami. *Zirib* trzasnął pod jego butem i na sekundę zajął się błękitnym płomieniem. Gdy zgasł, na parkiecie pozostała mała wypalona plama i osmalony, zmiażdżony pancerzyk.

Przywołana moc otoczyła Krzyczącego pajęczyną z cieni, jego oczy zabłyśły żółto. Hrabina poderwała się z miejsca, a Kared de Linne uczynił ruch, jakby chciał dobyć broni, ale w przyływie rozsądku czy tchórzostwa zrezygnował. Jednak zmysły maga już powiedziały żmijowi, kto jest winien. Nie trzeba było czytać tej osobie w myślach, wystarczyło poczuć jej strach.

Holger Joas, pochwycony za gardło niewidzialną ręką telekinezy, zaskrzeczał w panice, a oczy wylazły mu na wierzch.

– Głupota to nieuleczalna choroba – wycedził żmij. – Prędzej czy później kończy się śmiercią. – Popatrzył na Ninnorę, która gapiała się na nich oniemiała.

– Co to było? – spytała, wskazując resztki *ziriba*.

Krzyczący nie zaszczycił jej odpowiedzią, zastanawiając się, co teraz. Był skłonny przypuszczać, że hrabina o niczym nie wiedziała, że to Holger Joas postanowił na własną rękę wystawić mistrza Tarklunda srebrnym magom. Z drugiej strony Ninnora de Sega już raz pokazała, że nie można jej ufać. Ale też raczej nie miała powodów, by podejmować takie ryzyko; nie była głupia i na pewno przewidziałaby, że *ka-ira* może zorientować się w porę. Poza tym ludzie, którzy wynajmują

zmijów, siłą rzeczy nie śpieszą się do wchodzenia w układy z Elitą. Nie, okoliczności zdecydowanie sugerowały, że doktor Joas działał sam.

Podjąwszy decyzję, żmij nakreślił dłonią w powietrzu kilka znaków. Choć na zewnątrz był jasny dzień, cienie w komnacie zgęstniały do niemal zupełnego mroku. Kared de Linne chrząknął.

– Brune...

Żmij posłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Milcz. Jeśli nie będziesz się wygłupiał, tobie, pani Ninnorze ani dziecku nic nie grozi. – Nie lubił zostawiać za sobą więcej trupów, niż to konieczne. Nigdy nie wiadomo, kiedy wynikną z tego jeszcze większe kłopoty.

Wyjął z kieszeni puzderko z ususzoną smoczą paprocią – jednym z tych ziół, które rozsądny mag zawsze nosi przy sobie – sypnął garścią sproszkowanych liści, po czym dobył sztyletu i szepcząc formułę, skreślił ostrzem w powietrzu dalsze znaki. Następnie skaleczył się w dłoń, pieczętując czar własną krwią, i rozpoczął splatanie drugiego zaklęcia, już bez słów.

Gdy skończył, Holger Joas leżał na podłodze nieprzytomny, z jednym okiem zamkniętym, a drugim wytrzeszczonym. Kared de Linne zzieleniał na twarzy i dygotał tak, że zęby szczykały mu niczym kastaniety. Ninnora siedziała jak skamieniała, chyba niezdolna wydać głosu, tuląc do siebie synka, który cicho płakał.

Żmij zdematerializował się z komnaty, upewniwszy się wcześniej, że jego czary odniosą pożądany efekt. Jeden wylew krwi do mózgu, który dość szybko spowoduje śmierć, ale wyglądającą naturalnie, i trzy amnezje obejmujące ostatni kwadrans. To powinno utrudnić ewentualne odtworzenie przebiegu wydarzeń.

*

W Dauris wrzało od plotek i spekulacji. Prawowity następca tronu, nieletni syn Elstreda, został po cichu wywieziony gdzieś w bezpieczne miejsce. Część wielmożów już opowiedziała się otwarcie po stronie księcia d'Ingry. W stolicy trwały nadzwyczajne obrady parlamentu. Było jasne, że wdowa po Elstredzie oraz najbliższy poplecznik nieżyjącego króla, feldmarszałek Marsell, nie oddadzą dobrowolnie władzy, dopóki popiera ich armia. Wojna domowa wisiła na włosku.

Krzyczący w Ciemności nie zamierzał czekać, aż sytuacja się wyklaruje. Przybył do Dauris, bo złoto zaburza prądy astralne i trudno je teleportować na większe odległości. Wpłacił całą sumę w oddziale banku Ferisartów na konto niejakiego Erida Arustusa Tarklunda, prowadzone w innym – alkaryjskim – banku, w alkaryjskiej walucie. Od lossorskich banków należało się teraz trzymać z daleka.

Załatwiwszy, co miał załatwić, poszedł przespacerować się bulwarem. Dzień był pochmurny, zbierało się na deszcz, nie martwiło to jednak trojga akrobatów, którzy na skarpie bulwaru rozłożyli płachtę i popisywali się swoimi sztukami pod gołym niebem. Żmij przystanął, żeby popatrzeć, jak wywijają kozły, i wtedy usłyszał za sobą głos:

– Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu, mistrzu Tarklundzie.

– I nawzajem, mości Llaridzie – odparł równie uprzejmie Brune, nie okazując zdziwienia. Salamandra w ludzkiej postaci, w swoim czerwono-złotym odzieniu i wielkim, fantazyjnym kapeluszu kryjącym różki, przyciągał trochę zaintrygowanych spojrzeń, ale mniej, niż można by się było spodziewać. Eks-

centryczni dandysi nie byli w Dauris rzadkim zjawiskiem.

– Wczoraj w Ertel-Sega znów wydarzyło się coś dziwnego – rzekł żywiołak. – Nie żyje doktor Joas. – Mówiąc to, uważnie patrzył na żmija. Brune zachował kamienną minę.

– To przykre. Myślę jednak, że hrabina bez trudu znajdzie synowi innego preceptora.

– Z pewnością. – Salamandra uśmiechnął się lekko. – Okoliczności tej śmierci wydają się dość dziwne, ale cóż, na szczęście nie muszę się tym trapić. Tym bardziej że pani Ninnorze nic nie dolega poza lekkim rozstrojem nerwów.

– Dobrze wiedzieć. – Żmij spokojnie odwzajemnił spojrzenie żywiołaka i odniósł wrażenie, że bez słów rozumieją się bardzo dobrze. Bywają sprawy, w których dla własnej wygody bezpieczniej jest udawać, że o niczym się nie wie, choćby wiedziało się o wszystkim.

– A gdzie chłopiec? – spytał z ciekawością Llarid. – Zmarł?

– Nie. Jest pod opieką ludzi, których znam.

– Pani Ninnora nie pytała o niego?

– A od kiedy dąb przejmuje się losem perzu? – Żmij wzruszył ramionami. – Mości Llaridzie, czy słusznie się domyślałam, że chcesz porozmawiać o przysłudze, którą jestem ci winien?

– Nie inaczej.

– Sugeruję w takim razie usiąść gdzieś pod dachem. – Brune wymownie wskazał niebo, z którego zaczynało kropić.

Poszli do winiarni położonej nieopodal. Mimo wczesnej pory prawie wszystkie ławy były zajęte. Jakiś zwolennik księcia d'Inгры zajadłe perorował, uderzając szklanicą o stół, ale na widok wchodzących ściszył głos.

– Przemyślałem sprawę – oznajmił Llarid, gdy już usiedli

w rogu i przyniesiono im napitek. – Chcę dostać chłopca. Mam tu, w materialnym świecie, willę i kilku służących, zawsze przyda się jeszcze jeden.

Brune spokojnie upił łyk wina. Nie było najgorsze.

– To świetnie, że masz poczucie humoru, żywiołaku, ale jeśli chcesz, żeby śmiertelnicy nabierali się na twoje żarty, musisz się bardziej postarać. – Zachichotał, widząc, że Llarid Sath Saakos wyraźnie się stropił. – W porządku, a teraz mów, czego chcesz.

– Prawdę rzekłszy... – Llarid chrząknął i zniżył głos. – Nie pogardziłbym eliksirem miłosnym. Takim, który działa na salamandry.

Krzyczący w Ciemności tylko się uśmiechnął.

2017

Magdalena Kucenty

Paradoks Bliźniąt



Opowiadanie ukazało się w magazynie *Smokopolitan* 3/2016(6)

Za tamten wypadek Gemma próbowała zrzucić winę na Inni. Siostra była idealnym kozłem ofiarnym. Spała jak kamień, trwając w błogiej nieświadomości, kiedy ich brat umierał pod łóżkiem.

To był głupi odruch – wepchnąć go tam, żeby zmienił się w coś mniej realnego. W marę, w sennego potwora. Gemma zwyczajnie spanikowała. Miała wówczas cztery lata i naprawdę wierzyła, że jeśli położy się i zamknie oczy, to chłopiec po prostu zniknie.

Niestety, nie zniknął. Na domiar złego dostał drgawek. Jego drobne ciało sprzeciwiało się rozkazom zaklętego umysłu. Niezdolny do krzyku, tłukł głową o spód łóżka i uderzał chudymi rękami o podłogę. Jedno łupnięcie, drugie, trzecie...

Słuchając odgłosów tej nierównej walki, Gemma nabierała pewności, że Inni się zaraz obudzi. Ale bliźniaczka ani drgnęła. Tymczasem ona zaciskała mocno powieki, powstrzymując napływające do oczu łzy. Powtarzała sobie, że nic z tego nie dzieje się naprawdę. To tylko sen, zwykły koszmar, obie śpią, a pod łóżkiem nikogo nie ma.

Chłopiec tracił siły. Łomotanie wyraźnie słabło, by na koniec przejść w serię nierównych, mokrych plaśnień. Ostatni dźwięk umarł wraz z braciszkiem, a w pokoju zaległa ciężka, świdrująca uszy cisza.

Gemma otworzyła oczy.

Instynktownie wiedziała, co należało zrobić. Szybko zerwała się z łóżka, ani myśląc zajrzeć pod spód. Sięgnęła tam na oślep, macając dłonią po chłodnej podłodze, aż natknęła się na coś śliskiego i ciepłego. Żołądek podszedł jej do gardła, oczy znowu zaszklily się od łez.

Zmusiwszy się do przełknięcia śliny, zatopiła palce w mokrych włosach chłopca. Nie spojrziała nawet na wilgotną, drżącą rękę, tylko od razu dotknęła nią uśpionej Inni.

Wiśniowe krople krzepły na policzku siostry i zasychały pod jasnymi paznokciami. W tym czasie Gemma pobiegła do łazienki i stając na palcach, odkręciła kran w umywalce. Wciąż starała się nie patrzeć na ubrudzone dłonie, podstawivszy prawą pod strumień wody. Unikała również odbicia w prostokątnym lustrze, więc nie pozostało jej nic innego niż wpatrywanie się w posadzkę.

Na nieskazitelnie białych kafelkach widniały dwie małeńkie plamy. Były czerwone jak oczy diablęcia. Takiego, które w kreskówce pojawiało się nad głową głównego bohatera, aby wykłócać się z aniołem.

Gemma nie mogła sobie przypomnieć, skąd kojarzyła tę scenę. Pamiętała tylko, po której stronie zawsze się opowiadała. W przeciwieństwie do Inni nie zapałała wielką miłością do białoskrzydłych stróżów. Z kolei słowa rogatego, czerwonoookiego stworzenia wywoływały u niej szczerzy uśmiech.

Jako czterolatka nie rozumiała jeszcze, co reprezentował sobą diabeł i czym właściwie było zło. Wiedziała tylko, że tamtego dnia zrobiła coś bardzo niedobrego. Że zepsuła Virgo.

Ale przecież ojciec potrafił naprawić wszystko.

Virgo też. Na pewno.

*

Inni zbudziła się z naciągniętą na głowę kołdrą i brzuchem pełnym strachu. Z jakiegoś powodu była przekonana, że stało się coś okropnego.

W pierwszym odruchu zawołała siostrę, ale Gemma nie

odpowiadała. Jakby obraziła się na nią bez przyczyny. Bo że tylko udawała śpiącą, było dla niej oczywiste. Inni zawsze umiała powiedzieć, co działo się z siostrą, a w tamtym momencie ciężar milczenia Gemmy napełniał ją czystą trwogą.

Nie mogąc znieść przytłaczającej ciszy, wyplątała się z pościeli i krzyknęła piskliwym głosem, dla odmiany wzywając tatę. Tata zawsze wiedział, co robić. I zawsze przychodził, kiedy go wołała. A jednak tym razem nie przyszedł.

To całkiem sparaliżowało Inni. Dziewczynka zastygła w bezruchu, oddychając jak najpłycej, cichutko, byleby nie zbudzić potwora z szafy. Bo nagle zrozumiała, że w szafie czaił się potwór. Słyszała w snach, jak dobijał się do drzwi swojego więzienia. Czuła dławiący smród wydobywający się z zębatej paszczy.

Tylko jedno mogło go powstrzymać: leżąca pod szafą maskotka. Pluszowy anioł uśmiechał się pokrępiąco, wyciągając ku Inni kluskowate ręce. Kusząc poczuciem bezpieczeństwa.

Gdy wreszcie przełamała strach, przesunęła się na brzeg łóżka i chwyciła ręką siostry wezgiem. Potem wyciągnęła własną dłoń w stronę pluszaka, by zawisnąć tak nad podłogą. Oczy zognomniały jej na widok ubrudzonych paznokci.

I wtedy Gemma puściła oparcie.

Świat natychmiast wywinął kozła. Przedramię Inni eksplodowało bólem. Ale nie dlatego znowu zaczęła krzyczeć.

Krzyczała, bo zobaczyła potwora. Stwór wyszedł z szafy i wczołgał się pod łóżko. A teraz patrzył na nią wilgotnymi ślepiami, szczerząc skrwawione kły.

Wyglądał koszmarnie. Wyglądał jak...

Wyglądał jak Virgo.

*

Histeryczne wrzaski i płacz Inni wreszcie sprowadziły pomoc. Do pokoju przyszła któraś z mam, już nawet nie pamiętały która. A plany Gemmy, żeby zwalić winę na siostrę, nieuchronnie spaliły na panewce.

Równie dobrze mogłaby próbować zrobić samą siebie. W pewnym sensie próbowała. Bo chociaż były dwie, to stanowiły jedno. Założenie, że pomimo wspólnej cielesności, rozdzielnie poniosą konsekwencje, okazało się zwyczajnie błędne.

Prościej rzecz ujmując: po tyłku za karę dostały obie.

W końcu to był ich wspólny tyłek.

1. TAKIEJ TRÓJKI, JAK TYCH DWOJE, TO NIE MA ANI JEDNEJ

– *Nie myślcie o tym* – przekazał bliźniaczkom. – *To wydarzyło się dawno temu.*

– *Zresztą ojciec mnie naprawił* – wysłał Gemmie.

– *Przecież tato mnie naprawił* – wysłał Inni.

Bliźniaczki kipiały mieszaniną smutku oraz złości. Wręcz namacalnie wyczuwał ich spojrzenie.

– *Naprawił, też coś!* – powiedziały cierpko, lecz za słowami stała tylko Gemma.

Mimo ślepoty Virgo bez problemu mógł sobie wyobrazić sztylety w dwubarwnych oczach. Jedna tęczówka brązowa, druga jasnokremowa, obie źrenice zwężone i lśniące groźnie – przynajmniej dopóki Inni nie przejmie sterów nad ciałem.

Jako jedyny potrafił tak rozmawiać z bliźniaczkami. Z każdą „na osobności”. Chyba że akurat któraś spała, podczas gdy druga pozostała świadoma. Wtedy tylko ta przytomna mogłaby z kimś porozmawiać bez wiedzy siostry. O ile przy okazji by jej nie obudziła. A że Gemma miała bardzo lekki sen, w praktyce Inni nigdy nie pozostawała sama.

– Nie nazwałybyśmy tego naprawą – dodały już razem, nieświadomie zmuszając Virgo, by spojrział poprzez nie. By użył ich wzroku.

Tym sposobem mógł zobaczyć samego siebie. Swoją bladą, cienką jak pergamin skórę, wyzierającą spod spodu węzły żył oraz kabli, przesłonięte bielmem, nieruchome oczy i włosy przywodzące na myśl pajęczę nici. Pomiędzy długimi, białymi pasmami wił się gruby światłowód łączący go z siecią. W wąskim nosie tkwiła plastikowa rurka, kolejne wychodziły z brzucha i przegubu lewej ręki – jednymi odprowadzano nieczystości, przez inne płynęły środki odżywcze, a wszystko to tkwiło w komorze izolacyjnej, która chroniła Virgo przed zabójczymi dla niego zarazkami, pyłkami i kurzem.

Gdyby nie naga, zapadnięta pierś, wyglądałaby na tym katafalku maszynierii, pod wiekiem przezroczystej osłony, niczym śpiąca królewna. W zasadzie i tak przypominał dziewczynę, tylko że bardzo młodą, płaską oraz wiotką. W końcu od dawien dawna nie urósł ani o milimetr, a ważył tyle co nic.

– *Mogło być gorzej – odesłał Gemini. -- Przecież nie różnię się zbytnio od przeciętnej modelki. Według współczesnych kanonów piękna jestem prześliczny.*

Zamiast odpowiedzi usłyszał pociągnięcie nosem. Wyczytał z dualnego umysłu, że bliźniaczkom zaszklify się oczy.

To Inni zdominowała Gemmę.

– Jesteś... – potwierdziły cicho.

Virgo westchnął w duchu. Naprawdę nie chował urazy wobec sióstr i nie lubił, kiedy same w kółko się obwiniwały. Zdecydowanie wolał być żywy niż martwy, tkwić w komorze niż sześć stóp pod ziemią, a poza tym... Poza tym Gemini nie znały całej prawdy. Ani o nim, ani o wypadku sprzed ponad dwudziestu lat.

– *Dlaczego w ogóle do tego wracacie?*

– Przez Voxa – odpowiedziały. – Musimy posprzątać bałagan po Rybce...

Od bliźniaczek powiało niechęcią. Od jednej silnie skrywaną, od drugiej całkiem jawną.

– *Z biedną Pisces jest gorzej* – pomyślała smutno Inni. Jakby nie patrzeć, Ryby nadal były nieudanym prototypem ich samych. – *Wciąż wierzy w istnienie Hare, wciąż ją karmi...*

– *...od czasu do czasu urządzając sobie spontaniczną rzeź* – wyjaśniła bez ogródek Gemma. – *Poszatkowała jakiegoś Nieskalanego i całą jego ochronę. Vox nie wie, dlaczego to zrobiła, ale nie ma wątpliwości, że to ona. Użyła tych swoich idiotycznych pazurków, więc równie dobrze mogła podpisać się ofiarom na czole.*

– *O jej stan też nie powinniście się obwiniać* – ledwie dokończył przekaz, usłyszał drwiące parsknięcie.

– A kto się obwinia? – Gemma znowu sprawowała kontrolę. Inni natomiast milczała. Dzisiaj całkiem nie była sobą.

– *Jakie dokładnie macie zadanie?* – Virgo postanowił zmienić drażliwy temat.

– Będziemy atrakcją na bankiecie charytatywnym. Trzeba sprzedać Nieskalanym kilka sekretów w zamian za kłopoty. Oficjalnie nikt Rybki o nic nie oskarżył i tak ma pozostać.

– *Wyczuwam w tym rękę Capriego. Gasi pożar, zanim po-*

jawi się iskra.

– Nie do końca. Pierwsza iskra już poszła, a my musimy zdusić ją w zarodku -- odparły razem. Coś w ich głosie i myślach sugerowało, że nie mówią mu wszystkiego.

– *Dostałyście zgodę na użycie bata?*

Powoli skinęły głową.

– Tylko, jeśli marchewka nie zadziała.

– *A kto jest iskrą?*

Obie umilkły na dłużej.

– Reinkarnant – wydusiły wreszcie.

No tak, stwierdził w duchu Virgo. To tłumaczy zachowanie Inni.

– *Ile lat od transmigracji?* – spytał jeszcze, chociaż domyślał się odpowiedzi.

2. MY

Prezentacja ciągnęła się w nieskończoność od mniej więcej godziny, a Gemini trwały w wyjątkowej jak na siebie desynchronizacji. Pozostawały zgodne tylko w paru czysto fizycznych kwestiach: były zmęczone, odrętwiałe, głodne, swędziała je oblepiona elektrodami skóra i cierpnął przyklejony do krzesła tyłek. Poza tym Inni czuła treść, ciągle zerkając na obracające się hologramy. Z kolei Gemma miała wszystko gdzieś i podczas wykładu Voxa zwyczajnie się nudziła.

Długowłosey, ulizany szatyn w okularach, w garniturze, bez krawata, za to z butami świecącymi jak psie klejnoty, mówił tak miękkim, wypranym z emocji głosem, że można było

zasnąć na siedząco. Prezentowane przez niego wzory, wykresy i symulacje niewiele pomagały w zrozumieniu naukowego bełkotu.

W efekcie atmosfera na sali była, delikatnie rzecz ujmując, dosyć letnia.

Z podświetlonej sceny Gemini miały niezły widok na cudacznie wystrojonych, usadowionych przy okrągłych stołach gości. Nie przegapiły ich zniecierpliwionych spojrzeń i kwaśnych min; zauważyły obracane z nudów kieliszki szampa. Same chciałyby mieć już tę farsę za sobą. Głowa swędziała je od kabli wplątanych w dwubarwne włosy, od nażelowanych elektrod między pasmami czerni i platyny. Nogi, a co gorsza też pupa, ścierpły im od siedzenia w jednej pozycji. Przede wszystkim jednak Gemini naliczyły ponad trzydziestu czystych, którzy w trakcie pokazu przeszli do innej sali. Musiały jak najszybciej do nich dołączyć, by zmyć złe pierwsze wrażenie. Wszystko wydawało im się lepsze od beczynnego tkwienia na piedestale jak posąg w trakcie licytacji.

Mimo to czekały cierpliwie. Czego nie można było powiedzieć o publiczności.

Przed ich oczami potwierdzał się stereotyp, że wśród śmietanki towarzyskiej panowała nie tylko czystość pod względem błędów genetycznych czy chorób cywilizacyjnych. Wedle powszechnej opinii nobilici pozostawali również nieskażeni głębszą myślą, z czym w takich chwila trudno byłoby się spierać. Słowa Voxa po prostu trafiały w próżnię.

Kilku Nieskalanych ostentacyjnie ziewało, wbijając puste spojrzenia w drzwi. Inni z uporem godnym lepszej sprawy studiowali sufit. W końcu przyszli się tutaj zabawić, a nie słuchać nudnego wykładu o nietypowym rozdwojeniu jaźni, jak najprawdopodobniej interpretowali jego słowa. Krótka rzecz

ujmując: jaśniepaństwo oczekiwało rozrywki. Czegoś bardziej pokazowego niż żywe ucieleśnienie yin-yang i ciekawszego od krzywych bioelektrycznych mózgu, które w skrócie opisywały zmienność nastrojów typową dla przeciętnej kobiety z PMS-em.

Tylko jeden czysty wydawał się prawdziwie zainteresowany przypadkiem Gemini. Co było dosyć ironiczne, zważywszy różnicę wieku między nim a pozostałymi gośćmi. Zresztą gdyby nie reinkarnant, Vox pewnie skróciłby prezentację do minimum. Ale nieeeee, lepiej niech się wszyscy męczą, bo jeden mały du...

– *Ciii, nie denerwuj się* – odebrała od siostry Gemma.

Nawet nie zauważyła, kiedy jej myśli zaczęły dryfować z dala od Inni.

– I to wszystko, proszę państwa – zakończył gładko Vox, a fala ulgi przetoczyła się po sali. – Oczywiście, chętnie odpowiem na wszelkie pytania.

„Och, nie trzeba, dziękujemy” – zdawały się mówić spojrzenia czystych. Niektórzy już wznosili kieliszki, już układali dłonie do oklasków. Ich entuzjazm zgasł równie prędko jak się rozpałił. Nagle wszyscy stracili nadzieję, że prezentacja niebawem się zakończy.

Wystarczyły trzy proste słowa:

– Ja mam pytanie.

Od razu wiadomo było, kto to powiedział. Reinkarnant miał bardzo charakterystyczny głos – nienaturalnie rzeczowy dyszkant z ledwie słyszalną nutą sygmatyzmu. Jeszcze trochę ćwiczeń dykcji, a całkiem przestanie seplenić.

– Słucham – odparł uprzejmie Vox.

– Czy ona choruje na epilepsję?

Gemini powstrzymały grymas irytacji. Nie lubiły, gdy

ktoś mówił o nich w liczbie pojedynczej.

– Nie. – Pełnomocnik ojca zaprzeczył ruchem głowy. – Skąd to podejrzenie?

– Jeśli dobrze rozumiem, miała przecięte ciało modzełowate, a to przestarzała metoda „leczenia” – podkreślił sarkastycznie reinkarnant – ostrych rzutów epileptycznych. Co mogłoby implikować, że mamy do czynienia z biedną, okaleczoną dziewczyną, a nie z przypadkiem dualizmu psychicznego.

Ostatnie zdanie wymówił oskarżycielskim tonem, ale jego słowa i tak nie wywołały zamierzonego efektu. Goście niejako się rozbudzili, lecz w ich szeptach i spojrzeniach było więcej konsternacji niż ciekawości, a co ważniejsze – ani śladu wzburzenia. Nastroje wciąż pozostawały całkiem letnie, więc Vox pozwolił sobie nawet na chwilę wymownego milczenia. Potem zerknął na szklanekę soku w dłoni reinkarnanta i uśmiechnął się z politowaniem.

Jak do dziecka.

To natychmiast rozpałiło ogień w oczach Nieskałanego. Zapłonęły również jego pucołowate policzki.

– Rozszczepienie mózgu może dawać z pozoru zbliżone efekty – podjął spokojnie Vox – lecz tak naprawdę mamy tutaj do czynienia z zupełnie odmiennym przypadkiem. Przede wszystkim nie doszło do żadnego zabiegu. Cięcia zostały przeprowadzone już na poziomie DNA. Dzięki edycji genomu w Crispie¹ doszło do agenezy ciała modzełowatego, to jest spoidło między półkulami nie wykształciło się całkiem, a jedynie częściowo. Skarłowaciały pień służy u Gemini do komunikacji ejdetycznej, która nie jest możliwa w przypadku operacyjnego przecięcia ciała modzełowatego. Tłumacząc prościej: założmy, że pacjent po zabiegu patrzy na przedzielony stół z rozłożonymi symetrycznie klockami. Lewe oko widzi tylko

klocki po lewej stronie stołu, a prawe tylko po prawej. Założmy również, że te klocki są różne – przykładowo po lewej stronie leżą sześciiany, po prawej kule. Jeśli spytamy pacjenta, co widzi, wspomni tylko o kulach. Jeśli poprosimy, żeby wskazał jakiś sześcian, odpowie, że nie widzi żadnego. Jednocześnie jego lewa ręka wskaże prawidłowy obiekt. Wynika to z prostej zależności: każda z półkul zobaczyła co innego i automatycznie uzupełniła widziany obraz. W lewej półkuli znajdują się ośrodki mowy, ale to prawa widzi sześciiany i odpowiada za ruch lewą ręką. W ten sposób próbuje się porozumieć. Niemo, na migi, ponieważ normalny kanał komunikacji został odcięty i mówić może tylko lewa półkula. Natomiast Gemini świadomie podzieliłyby się informacjami. Zresztą obie zachowują pełną funkcjonalność motoryczną i werbalną, więc każda może powiedzieć, co widzi. I jeśli miałbym tu użyć jakiegoś porównania, to porównałbym je do dwóch pacjentek po hemisferektozii.

– *Czy on nazwał nas parą półgłówków?* – spytała Inni.

– *Dokładnie tak, siostró* – potwierdziła Gemma.

Po wywodzie Voxa poruszenie wśród gości całkiem zdechło. Znow rozbrzmiewały lekceważące ziewnięcia, szampan pienił się w opróżnianych z nudy kieliszkach. I tylko reinkarnant wyglądał na zaintrygowanego.

– *A co, jeśli się pokłóca?* – spytał z błyskiem w oku.

Zanim Vox zdążył odpowiedzieć, Gemini uniosły rękę.

– *Możemy?*

Pełnomocnik skinął głową.

– *Proszę.*

Bliźniaczki powiodły po sali długim spojrzeniem, wciąż z uśmiechem na ustach, o który dbała Inni.

– *W dzieciństwie zdarzało nam się sprzeczać* – zaczęły.

Właściwie Gemma zostawiła mówienie siostrze. – Miałyśmy nawet taki podział: to twoja ręka, to moja ręka, to twoje oko, to moje oko... A także: to twój pośladek – uśmiechnęły się szerzej – to mój pośladek. W razie kłótni każda próbowała usiąść na swojej części pupy, najlepiej jeszcze odwrócona plecami do tej drugiej. To był dopiero widok!

Po sali rozeszła się fala pomruków rozbawienia. Wciąż za mało, żeby ożywić atmosferę, ale zawsze to jakiś początek.

– Okres dojrzewania też dał nam w kość. – Mrugnęły przekornie. Inni była w swoim żywiole. – Czas, kiedy dziewczęta przestają traktować chłopców jako głupowatych brzydali i zaczynają dostrzegać w nich niebrzydkich głupków.

Żeńska część widowni wyraźnie się zgadzała.

– Ponieważ gusta mamy różne – ciągnęły – to kłóciłyśmy się bez przerwy. Och, ten blondyn jest taki przystojny – powiedziały rozmarzonym tonem, bezbłędnie podchwytyjąc spojrzenia jasnowłosych mężczyzn. – Nie ma mowy! Ja wolę tego z ciemną czupryną! – zniżyły głos i kusząco mrużąc powieki, wodziły wzrokiem od jednego bruneta do drugiego. – Na szczęście szybko doszliśmy do korzystnego dla obu stron porozumienia... – zawiesiły głos i spuściły wstydliwie oczy, by nie pozostawić wątpliwości, co miały na myśli. Lekki rumieniec oblekł im policzki, na ustach błąkał się figlarny uśmiech.

Czuły na sobie spojrzenia męskiej części sali.

– A teraz? – Reinkarnant podniósł głos. Nie wyglądał na oczarowanego. – Już się nie kłóćcie?

Cóż, przynajmniej zaczął mówić do Gemini per „wy”.

– Sporadycznie – odparły miękko. Gemma włączyła się do rozmowy. – Odkryłyśmy starą prawdę, że kłótnie donikąd nie prowadzą. Ale każdym przecież targają rozterki. Pod tym względem niewiele różnimy się od zwykłych ludzi. Być może

prawie wcale. – Popatrzyły na holosłajd za plecami Voxa. Świetliste impulsy bez ustanku obiegały trójwymiarową reprezentację ich mózgu. – W końcu pacjenci z rozdzielonymi półkulami mieli nie tylko zaburzoną percepcję. Zdarzało im się również dokonywać sprzecznych wyborów. Na przykład przy wyjmowaniu ubrań z szafy. Gdy jedną ręką sięgali po płaszcz, druga odpychała ją i wyciągała kurtkę. Albo kiedy na śniadanie nasypali sobie płatków, a potem chwycili do tego kromkę chleba. – Gemini uśmiechnęły się, pierwszy raz spoglądając reinkarnowanemu prosto w oczy. – Może w każdym człowieku żyją dwie osoby? Może stanowimy najnormalniejszą istotę ludzką na świecie, tyle że świadomą własnej dwoistości? Może po prostu wiemy, że nie ma żadnego „ja”? Jesteśmy tylko „my”.

3. PIĘKNY UMYŚŁ

Po zakończeniu prezentacji Gemini uciekły do łazienki.

Inni przechodziła lekkie załamanie nerwowe, kiedy zamiast pozbyć się resztek żeluz przewodzącego z włosów, musiały nałożyć go jeszcze więcej. Gemma z kolei nie miałyby nic przeciwko wylaniu im kubła pomyj na głowę, gdyby tylko mogły uniknąć powrotu. I nie miała tutaj na myśli powrotu do tych snobów. Najchętniej odeszłaby w siną dal, już nigdy nie oglądając się za siebie. Byleby znaleźć się z dala od salonowych gier, od ciągłych rozkazów Voxa, a przede wszystkim od bólu, który przeszywał ją na widok sparaliżowanego brata...

Oczywiście Virgo nie miał się o tym nigdy dowiedzieć. A

jednak już nie pierwszy raz natknął się na skryte uczucia i pragnienia siostry. O czym z kolei ona nie miała się nigdy dowiedzieć.

– *Słyszycie mnie?* – zapytał, gdy tylko Gemini włączyły neurotransponder. Urządzenie stwarzało pozory zwyczajnego diademu – anteny z ciemnego i białego złota spletały się niczym pędy bluszczu, siatka sensoryczna wyglądała jak kunsztowny pątlak, a żel przewodzący... Cóż, równie dobrze mógł być żel do włosów. Najważniejsze jednak kryło się pod dwubarwnymi lokami – cienki, udający jedno z czarnych pasm kabel, wpięty do wszczepu domózgowego Gemini. To właśnie żyjący w implancie semiorganizm pozwalał Virgo używać umysłu bliźniaczek jako reemitera fal beta. Krótko mówiąc: dzięki sztucznej symbiozie stawały się dla brata chodzącym odbiornikiem.

– Słyszemy – potwierdziły, przeglądając się w lustrze. – I jak wyglądamy?

Loki rozpuściły luźno, tak że jasne pasma przeplatały się z ciemnymi. Na nosie miały okulary cyfrowe o biało-czarnych oprawkach. Ubrane były w długą, odkrywającą ramiona suknię z połyskliwej tkaniny, która pod światło wpadała w kremową biel, a w półcieniu nabierała koloru gorzkiej czekolady. Jednym słowem wyglądały...

– *Normalnie. Jak zawsze.*

– Czyli? – Uniosły brew.

– *Pięknie.*

Udało im się zarówno uśmiechnąć z przekąsem, jak i oblać wstydliwym rumieńcem.

– *Pochlebca* – wysłała mu Gemma.

– *Dziękuję* – wysłała mu Inni.

– *Chodźmy już* – powiedziały razem.

Na sali głównej zrobiło się tłoczno. Po bliźniaczkach scenę przejęła grupa akrobatów. Normale obojga płci mieli naoliwioną skórę, nosili przepaski biodrowe, a zważywszy, jakich dokonywali wygibasów, widowisko w każdej chwili mogło przerodzić się w orgię. To dodatkowo potwierdzało, że naukowy wykład pasował tutaj jak pięść do oka.

Szczęśliwie, nie wszyscy byli zainteresowani występem półnagich gimnastyków. Część gości zgromadziła się w pomieszczeniu obok, gdzie stały wyściełane aksamitem fotele i zastawiony frykasami stół. Przebywający tutaj goście dzielili się na mniejsze grupy. Dziewięciu otaczało Voxa i dyskutowało hałaśliwie, reszta siedziała w fotelach, rozmawiając przyciszonymi głosami.

Znalazło się też kilku bez towarzystwa, a tacy byli najbardziej podatni.

– Hrabino... – Gemini skłoniły lekko głowę, zbliżywszy się do stojącej samotnie Hedvigi pur’Kosel.

Mimo srebrzystych włosów neokratka miała pozbawioną zmarszczek, naciągniętą do granic możliwości skórę, zaś jej rozkloszowaną kreację można było opisać jednym słowem: KORONKI. Mnóstwo, mnóstwo koronek. I jeszcze odrobina. Gwoli dobrego smaku.

Rzecz jasna, kobieta nie była żadną hrabiną, lecz Virgo z rozmysłem polecił bliźniaczkom, by zwracały się do niej w ten sposób. Nieustannie podłączony do sieci, zebrał kluczowe informacje o wszystkich gościach bankietu. Wiedział więc, za kogo się uważali, o czym najchętniej plotkowali, a jakich tematów woleli unikać. Znał też ich dziwactwa oraz pragnienia i mógł wyczytać najbrudniejsze z czystych myśli. Wystarczyło poprowadzić rozmowę na odpowiednie tory – a tym już zajmowały się Gemini.

– Przynajmniej uczą was manier w tym Zodiaku. – Hedviga trzasnęła rozkładanym wachlarzem. Potem powachlowała się nim, chociaż klimatyzacja działała bez zarzutu.

Bliźniaczki nie przejęły się protekcyjnym zachowaniem kobiety. Jeśli grzeszyła próżnością, a wszystko na to wskazywało, niedługo będą miały ją w garści. Co z kolei powinno przybliżyć je do zaciśnięcia palców na Danielu pur’Koselu. Według plotek zastępca Głównego Purysty był strasznym maminsynkiem i tylko dzięki wpływom rodzicielki udało mu się zająć tak daleko.

– Ależ dobre maniery to podstawa – odparły gładko.

Tymczasem Virgo zaraportował, co udało mu się odczytać z umysłu hrabiny.

– *Uroda... Zazdrości wam urody. I sukienki też.*

– Niemniej ośmielimy się spytać – Inni przejęła pałeczkę – gdzie nabyła pani taką cudowną kreację, pani hrabino?

Jednocześnie Gemma zainicjowała wydzielanie odpowiednich hormonów we wspólnym ciele. Kilka głębokich wdechów i staną się w oczach Hedvigi co najwyżej przeciętnie ładne.

– Oczywiście, była szyta na miarę, wedle moich... – zaczęła wywód Nieskalana. Kąciki jej uszminkowanych warg uniosły się lekko.

Przy odrobinie dobrej woli można było to uznać za uśmiech. Prawdopodobnie najszerszy, na jaki hrabina mogła sobie pozwolić bez uszczerbku na zdrowiu.

– *Jest dobrze* – pochwalił siostry Virgo. – *Odbieram od niej pobłażliwą sympatię.*

Gemma odetchnęła wewnątrz, wpuszczając słowa hrabiny jednym uchem i wypuszczając drugim. Dziękowała w duchu Inni za prowadzenie konwersacji z pur’Kosel. Sama

chyba oszalałby, zmuszając się do wysłuchiwanie tych bredni.
Ile można gadać o koronkach?

*

Pycha, żądza, chciwość, zazdrość...

Bliźniaczki nie wahały się wykorzystywać żadnego z ich grzechów.

– *Boi się utraty pozycji* – podpowiadał Virgo, a one zapewniły dyrektora Instytutu Czystości Genetycznej, że jest niezastąpiony.

– *Chciałby was, em... „przelecieć”* – raportował głucho braciszek, więc złożyły komendantowi Straży Wewnętrznej kilka niedwuznacznych obietnic, których nigdy nie zamierzały spełnić.

– *Temu zależy tylko na pieniądzach. A tamten chętnie ni mi szasta.*

Dlatego zapoznały szefa Fundacji Pomocy Deformantom z próżnym czyściochem w złotym smokingu.

– *Mąż ją zdradza* – odebrały od brata, spoglądając w opalizujące oczy kierowniczkę Laboratorium Transgenicznego.

Potem znalazły jej męża. Czysty był w głównej sali, przy narożnym stole, a na kolanach siedziała mu jedna z akrobatek. Rozchichotana normalka była naga od pasa w górę, nie licząc warstwy oliwki. Musiała zostać tutaj po występie, bo obecnie scenę okupował założyciel Stowarzyszenia Mechanicznych. Gdy Gemini weszły do pomieszczenia, akurat przedstawiał możliwości współczesnej protetyki na przykładzie wielkiego cyborga, robiącego obwarzanka z prętów grubości kciuka.

– *Nieźle widowisko, nie sądzisz?* – zagadnęły męża transgeniczkę, wskazując dłonią żelaznego precla.

W tym momencie chichot akrobatki urwał się niczym ucięty nożem. Dziewczyna spojrzała lękliwie.

Wprost idealnie.

Siostry chwyciły ją za podbródek, pochyliły się jak do pocałunku. Maleńkie wypustki na opuszkach Gemmy przywarły do lśniącej skóry. Z palców popłynęła katecholaminowa esencja czystego przerażenia.

– Odejdź – wyszeptały normalce na ucho.

To było zaledwie muśnięcie bata, lecz akrobatka i tak zerwała się jak oparzona, po czym uciekła z przeprosinami na ustach.

Oszołomiony czysty wodził wzrokiem – to za spłoszoną małolatą, to za bliźniaczkami.

– Nie sądzisz? – powtórzyły Gemini.

Nobilita chrząknął gardłowo i dopiero po chwili odzy-skał głos:

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz? – Uśmiechnęły się promiennie, zajmując miejsce przy stoliku.

Potrzebowały dłuższej chwili, by zrzucić z siebie smród strachu i otoczyć się bardziej kuszącą nutą. Na szczęście dreszczyk emocji łatwo było przekształcić w pożądanie.

– Nie mogę oderwać od ciebie wzroku – wyznał Nieska-lany.

Gemini zmrużyły oczy, starając się nie uśmiechać za szeroko. Jeszcze nauczą podstarzałego casanovę, jak powinien się do nich zwracać.

– *To nie będzie trudne* – przesłał im Virgo.

Nic więcej nie musiał mówić. Czysty był wyjątkowo uległy – praktycznie sam pchał się bliźniaczkom do rąk. Wystarczyło muśnięcie palców, by do krwioobiegu mężczyzny trafiła

spora dawka tęsknoty.

Zanim zorientował się, że coś jest nie tak, już należał do nich.

- Kochasz swoją żonę, prawda?
- Kiedyś kochałem – odparł półprzytomnie.
- Wciąż kochasz.
- Wciąż Kocham – powtórzył za nimi.
- Bardzo.
- Najbardziej na świecie...
- I nie pożądasz nikogo innego.
- Nikogo innego.
- Grzeczny chłopiec – wymruczały pochwałę, klepiąc go po ręku.

Wiedziały, że zmiana nie będzie trwać długo. Musiałyby wpływać na mężczyznę regularnie, żeby efekt się utrzymywał. W obecnej sytuacji nie miną trzy, cztery tygodnie i czysty znowu zacznie zdradzać żonę.

Na dobrą sprawę wcale nie pomagały tej kobiecie. Dawały jej tylko chwilę radości i złudną nadzieję na szczęście.

- Idź, przeproś ukochaną za swoje błędy -- poleciły hipnotyzującym tonem. - Nie zapomnij tylko przekazać jej naszego pozdrowienia.

Mężczyzna skinął głową, po czym żwawo uniósł się z krzesła.

- Dziękuję wam – rzekł półprzytomnie, zanim odszedł.

Przynajmniej uczył się szybko.

- To było ekstra! – Usłyszały za swoimi plecami. - Nic dziwnego, że jesteście ulubienicami tatusia.

Znały tylko jedną osobę, która potrafiła skradać się w szpilkach.

- Ryba...

– Oj, co za groźne spojrzenie. – Pisces, przysiadłszy się do ich stolika, drapieźnie wyszczerzyła zęby. W krwistoczerwonej mini z głębokim dekoltem była żywym ucieleśnieniem prowokacji. – Już szykujecie bacik? A może ciągle bawicie się marchewką? – Jeszcze nie skończyła mówić, gdy w jej rękę pojawiło rzeczzone warzywo.

– Skąd to tutaj wzięłaś? – zdziwiły się Gemini.

Ryba wzruszyła ramionami i z apetytem wgrzyła się w marchew.

– Zawsze mam jedną lub dwie przy sobie – wybełkotała z pełnymi ustami.

Bliźniaczki otaksowały jej skąpą sukienkę uważnym spojrzeniem.

– Nie chcemy wiedzieć, gdzie je chowasz – oznajmiły zgodnie.

W odpowiedzi Pisces pokazała im język i odgryzła kolejny kawałek marchewki. Zaraz potem oczy rozbłysły jej radośnie. Pomarańczowym ogryzkiem skinęła na kogoś w sali. Niedługo później miejsce obok niej zajął szczupły blondyn w czarnym golfie.

Capri.

– *Głupki!* – jęknęła w duchu Inni.

– *Głupki* – potwierdził głucho Virgo.

Tymczasem Gemma rugała rodzeństwo.

– Po tobie spodziewałabym się najgorszego – powiedziała Rybom, a potem zwróciła się do młodszego brata: – Myślałam jednak, że ty masz choć odrobinę oleju w głowie.

Inni aż się skurczyła w środku, gdy Capricorn drgnął pod ich wzrokiem. Ostatnio odbyły z nim parę... rozmów. Albo raczej monologów, których nie miał prawa pamiętać, a które musiały odcisnąć piętno w jego podświadomości.

– Uuu, liczba pojedyncza, Gem? -- zadrwiła Pisces. – To nie przelewki, co?

– Chyba nie zależy ci na własnym życiu – odparła spokojnie Gemma.

– No so ty! Bałdzo zależy – wymamla, dokańczając marchew. – Dlatego przyszedłam spytać, czemu się tak opierdalacie, kochani? Bo jesteś z nimi, nie, prawiczku? Siedzisz cicho i grzebiesz sobie w mojej ślicznej główce... Ciekawe do czego się dogrzebiesz. Kto wie? Może nawet dostaniesz buziaka od Hare?

Słowa Pi zmroziły go do szpiku kości. Virgo poczuł lodowaty strach, a zaraz potem gorącą ulgę i wdzięczność wobec cyborga na scenie – za jego głośne powarkiwania, za jęk wyginanego żelaza i okazjonalne oklaski widowni. Dzięki występowi wypowiedź siostry utonęła w hałasie. Nikt nie zwracał uwagi na ich małe, rodzinne spotkanie.

– *Pi wie, że nie wykorzystujecie pełni swoich możliwości – wyjaśnił bliźniaczkom. – Z kolei Capri próbował powstrzymać Ryby, ale bez większego przekonania. Coś się w nim buntuje, ale sam nie jest pewien, co.*

Gemma wpatrzyła się w szare, zmęczone oczy Koziorożca. Ona też miała wyrzuty sumienia za te parę sesji, które odbyli razem. Z drugiej strony zrobiła to wyłącznie dla jego dobra.

– Czego od nas oczekujesz, Rybko? – zapytała ostro i natychmiast zganiła się za utratę opanowania.

– Nie udawaj głupiej, Gem – prychnęła Pisces. – Dobrze wiesz, o czym mówię.

Gemma zacisnęła zęby. Dla uspokojenia powoli wciągnęła i wypuściła powietrze przez nos. W końcu przywołała Inni ku sobie.

Na powrót stały się całością.

– Przecież robimy wszystko, co w naszej mocy – odpowiedziały, po czym zwróciły się do Capricorna. – Wytłumacz jej.

Koziorożec znowu drgnął. Przez kolejną chwilę zaglądał im w oczy, ale udawały, że nic nie zauważyły. Wreszcie splótł dłonie na stole i zapatrzył się w nie posepnie.

– Po pierwsze – zaczął cicho – rozkazy całkiem sprzeczne z naturą obiektu z czasem mogą wzbudzić jego podejrzliwość. Przykładowo mężczyzna, który odszedł od tego stołu, nie będzie kwestionował powodów swojej decyzji, bo darzy żonę uczuciem, wygasłym czy nie. Z drugiej strony, za trzydzieści dwa dni wróci do swoich starych nawyków.

I tak dłużej niż sądziliśmy, zauważył Virgo. To była chyba jego pierwsza całkiem prywatna myśl tego wieczora.

– Im delikatniejsza perswazja -- ciągnął Capri – tym pewniejsze efekty. Jeśli przekonać ludzi, że sami podjęli jakąś decyzję, będą się jej trzymać. Poza tym – omiół wzrokiem salę – jest tu za dużo osób, i to przynajmniej parę takich mniej podatnych. Nie zapanowałyby nad całym tłumem. Najwyżej nad jakimiś pię...

– Brawo – bliźniaczki weszły mu w słowo. – Masz naprawdę piękny umysł.

– Najpiękniejszy – wtrąciła z uśmiechem Pisces, chociaż widać było, że zezłościła się na Capriego. Jakby nie patrzeć, śpiewająco wykonał polecenie Bliźniąt.

– Nie – odrzekły beznamiętnie. – Nikt nie ma piękniejszego umysłu od Virgo. I nie znajdziecie drugich takich bliźniaczek jak my. – Zajrzały w ciemne oczy siostry. – Jest tylko stuknięta rybka, która wierzy w istnienie królika.

Druga jaźń na moment rozbłysła w zwężonych źreni-

cach Pisces. Odśloniła drapieźnie kły. A potem wróciła na swoje miejsce.

– *Zazdrość...* – odczytał Virgo.

– *Zazdrość* – powtórzyły za nim Gemini. – To twój grzech, Pi.

– Jeden z najmniejszych, prawiczku – odparła butnie Ryba, chwytając Capricorna pod ramię. – Dobra, zaczęło mnie to nudzić. Chcę potańczyć! – zażądała, pociągnawszy brata za sobą.

Na pożegnanie Koziorożec rzucił bliźniaczkom przeproszające spojrzenie. Ryba z kolei, mrugając zawadiacko, posłała im buziaka.

– Będą z tego kłopoty – orzekły jednogłośnie Gemini.

Virgo nie mógł się z nimi nie zgodzić.

4. WIRUS REINKARNACJI

Nazywał się Niklas pur'Artell i miał sześć lat. Albo sto czterdzieści osiem. Zależy, jak na to spojrzeć.

Kiedyś był starszym bratem Logana pur'Artella. Potem już raczej młodszym. Zależy, jak na to spojrzeć.

Długie lata zarządzał NucEnergą. Po śmierci wciąż był i nie był CEO firmy. Zależy, jak na to spojrzeć.

Jedno nie ulegało wątpliwości. Przed reinkarnacją ludzie okazywali mu należny szacunek. Teraz traktowali go jak dziecko.

Nienawidził ich za to.

– *Może dokładkę, paniczu?* – spytała Marta, gdy dokań-

czał łososia. Oficjalnie była jego sekretarką, lecz wszyscy i tak widzieli w niej niańkę.

– Prosiłem, żebyś zwracała się do mnie normalnie.

– Wybacz, Nik. – Kobieta spuściła wzrok na stół. Zmarszczki wokół jej ust pogłębiły się w grymasie smutku. Grafitowy żakiet wisiał na kościstych ramionach jak worek.

Marta kiedyś rzeczywiście była jego asystentką, prawą ręką, okazjonalnie również kochanką. Teraz stała się odsuniętą na bok pracowniczką NucEnergi. Zmęczoną, podstarzałą pięknnością – niespecjalnie potrzebną i bardzo samotną.

Niklas powinien ją odesłać, ale nie miał serca.

Dawniej miałbyś, zaszeptał mu w duchu wirus reinkarnacji. Kod jego istnienia. Zapisane w materiale genetycznym „ja”.

Czy mogło z tego powstać „my”? Sześciolatek i stuletni pryk? Panicz i prezes?

Reinkarnant spojrział na siedzącą dwa stoliki dalej reprezentantkę Zodiacs Inc. Nie przyznałby tego głośno, ale ta przedziwna kobieta trafiła w czuły punkt. Namieszała mu w głowie. Zresztą nie tylko jemu.

Obserwował Gemini, odkąd wyszła z łazienki. W krótkim czasie zaczął się zastanawiać, czy nie nakłoniłaby rekina, aby przeszedł na wegetarianizm. Ludzie miękli przy niej jak wosk, sztywne sylwetki i marsowe miny rozpływały się w mgnieniu oka. Co niewyobrażalne, udało jej się nawet rozbawić starą pur’Kosel. Niklas chyba nigdy wcześniej nie widział, żeby hrabina się uśmiechała. Ani w tym, ani w poprzednim życiu.

Bardzo mu się to nie podobało. Daniel był marionetką w rękach matki, co z kolei pozwalało jej pociągać za sznurki w Puryfikatorium, zaś Główny Purysta miał wkład we wszyst-

kich sprawach karnych. Ponadto Nik był przekonany, że wkrótce jego niełatwe życie stanie się jeszcze odrobinę trudniejsze. Mianowicie, za sprawą tego zacofanego pierdziela od eugeniki, profesora Reutera. Pracownicy INCG-u sprawowali nadzór nad wszystkim reinkarnantami, toteż w bardzo prosty sposób mogli zaszkodzić każdemu z nich. Nie trzeba było mieć setki na karku, żeby wiedzieć, do jakich okrucieństw zdolni są urzędnicy.

W trakcie bankietu Niklas, poza resztkami optymizmu, stracił też dwójkę starych przyjaciół. O ile kiedykolwiek można było ich nazwać przyjaciółmi. W końcu Karlowi przede wszystkim zależało na zbieraniu funduszy dla swojej organizacji. Jak dotąd Nik był jego najhojniejszym donatorem, ale cholera wie, czy Zodiaki nie podbiją stawki. Albo czy Karl nie zdecyduje się grać na dwa fronty. W każdym razie Niklas nie mógł mu już ufać. Z kolei Irmę ostatnio ogarnęła obsesja na punkcie własnej urody. Transgeniczka ciągle coś w sobie zmieniała – a to kolor tęczówek, ust lub włosów, a to rysy twarzy, grubość talii albo kształt bioder. Nie miał pojęcia, co nią owładnęło. Zważywszy, że odpowiadała za przebieg jego reinkarnacji, już wcześniej miał się czym martwić. Teraz zwyczajnie nie wiedział, co myśleć. Pierwszy raz od miesiący widział ją roześmianą, kiedy wirowała ze swoim mężem na hali tanecznej. A ten, nawiasem mówiąc, chwilę wcześniej rozmawiał z Gemini.

Dodać jeszcze figlarne uśmieшки, które wymieniła z komendantem Straży, i Niklas przestał mieć jakiegokolwiek nadzieje, że szybko pomści brata. Przynajmniej nie za pomocą legalnych środków. Co nie znaczyło, że zamierzał dać za wygraną. Musiał tylko wpierw wybadać grunt.

Niestety, zanim zdążył wrócić z hali i dosiąść się do re-

prezentantki Zodiaków, kobieta miała już nowe towarzystwo. Pozostało więc czekać, na razie zadowolając się porcją niedoprawionej, lekkostrawnej rybki. I szklanką soczku.

Miał ochotę kogoś zabić.

– Na pewno niczego więcej nie potrzebujesz? – matowy głos Marty wyrwał go z zamyślenia.

Być potrzebną. Tylko tego chciała, lecz on nie mógł dać jej nawet tyle. Nie w tym ciele, nie przez następnych parę lat – dopóki dawni współpracownicy nie zaczną znowu traktować go poważnie. A wtedy będzie już za późno.

– Właściwie chciałbym, żebyś porozmawiała z Ilmą. – Odchrząknął, mlaskając niezgrabnym językiem. – Z Irmą... Zaczynaj od umówienia mnie na kompleksowe badania, wypytaj, kiedy powinienem odzyskać wszystkie wspomnienia, a przy okazji spróbuj się wywiedzieć, skąd wzięło się jej nagłe rozweselenie... Możesz to dla mnie zrobić?

– Oczywiście, Nik – przytaknęła, choć wcale nie wyglądała na przekonaną.

Reinkarnant dobrze wiedział, co mogło ją trapić. Miała zostawić sześćioletnie dziecko samo na bankiecie pełnym zbrojeńców, hedonistów i oszołomów. Już podczas występu akrobatów omal nie dostała zawału. Roztrzęsiona i błąda jak ściana, doszła do siebie dopiero, gdy opuścili razem salę.

– Jeszcze jedno – zatrzymał ją, kiedy wstała już od stołu. – Możesz nazywać mnie „paniczem”. Po namyśle stwierdzam, że nawet mi to pasuje. – Zdobył się na odrobinę wesołości.

Chociaż tyle mógł dla niej zrobić.

– Dobrze, paniczu. – Marta nie odwzajemniła uśmiechu.

Niedługo po tym, jak odeszła, towarzysze Gemini podnieśli się z krzeseł. Dotychczas Niklas widział tylko ich plecy i zdawało mu się, że w ogóle nie zna tej pary. Na pewno nie byli

powiązani z nim tak, jak poprzedni rozmówcy lobbystki. Niemniej, gdy ujrzał twarz czarnulki w czerwonej kiecce, drgnęła jakaś struna w jego głowie.

Wirus natychmiast przyszedł z pomocą.

„Kto to?” – rozbrzmiało Niklasowi pod czaszką. Reinkarnant rozpoznał swój stary głos. „To moja nowa zabaweczka” -- odpowiedział mu brat.

Tak, uświadomił sobie. Widziałem kiedyś tę dziewczynę. W domu Logana.

Niewiele brakowało, by zerwał się na równe nogi. Zamiast tego zacisnął dłonie w pię... piąstki. Wziął głęboki wdech. Ukradkiem zerknął na stojącego w pobliżu ochroniarza. Najpierw ledwo dostrzegalnie skinął głową na niego, potem na dziewczynę. Mężczyzna bez zwłoki ruszył za czarnulą.

Szacunek szacunkiem, lecz i bez niego można było się obyć. O ile miało się pieniądze, a na ich brak Niklas nie mógł narzekać. Z jego majątkiem opłacenie ochrony bankietu stanowiło zaledwie drobny wydatek.

Tylko co zrobić z tą przedziwną kobietą? Jakoś wątpił, żeby dała się przekupić.

– Potrzebuje pan towarzystwa? – Gemini sama przyszła do niego.

– Nik – odparł zwięźle, wskazując jej krzesło.

Na moment zrobiła minę, jakby chciała powiedzieć, że wygląda słodko, kiedy jest taki poważny.

– O ile możemy mówić sobie na „ty” – dodał, rumieniąc się lekko.

Nie cierpiał tych swoich puców. Były zdecydowanie za mocno ukrwione.

– Jasne, tyle że raczej na „wy” – rzuciła nieformalnym tonem.

Miała zdecydowanie zbyt piękny uśmiech. Niklas od razu się rozproszył i zapomniał, co zamierzał powiedzieć. Technicznie rzecz biorąc, miał mózg sześciolatka, więc naprawdę łatwo tracił koncentrację.

– I jak łosoś? – Kobieta wskazała palcem rozbabrane resztki na jego talerzu.

– Bez smaku – odrzekł szczerze.

Nagle wokół zrobiło się głośno. Był niemal wdzięczny, że jego zatrważająco piskliwy głos utonął we wszechobecnych oklaskach.

– Może pójdziemy w jakieś cichsze miejsce? – zaproponowała Gemini, nachylając się Niklasowi do ucha i wyciągając ku niemu dłoń.

Wciąż nieco roztargniony, mimowolnie chwycił jej rękę. Potem dał się wyprowadzić z sali.

– Wiem, co próbujesz osiągnąć – wydusił z siebie. Brzmiało to zdecydowanie mniej nonszalancko, niż planował. Wręcz rozpaczliwie.

– Ciągłe nam nie wierzysz – zignorowała zaczepkę, spoglądając na niego spod zmrużonych powiek.

Dopiero teraz zauważył, że nawet rzęsy miała dwukolorowe.

– W dualizm psychiczny? – upewnił się, a kiedy skinęła głową, dodał: – Oczywiście, że nie. Może sama w to wierzysz... Tak, na pewno wierzysz. Ale zostałeś okaleczona. Nic więcej.

To już zabrzmiało lepiej. Pewniej. Mniej dziecinnie...

– Ciekawe. – Gemini znowu się uśmiechnęła. Tym razem w regularnych rysach zagościło coś wilczego, heterochromiczne oczy rozbłysły niepokojąco.

Nie mógł powiedzieć, żeby umniejszało to jej urodę. Wciąż była atrakcyjna, tyle że w dużo mniej czarujący sposób.

Ciągle również prowadziła go za rękę, a mijani goście posyłali im półuśmieszki, prześlizgując się wzrokiem po splecionych razem dłoniach. Niklas nie miał pewności, czy próby wyrwania się nie byłyby dla niego bardziej żenujące -niż dalsze podążanie za kobietą. Na szczęście długo nie musiał się zastanawiać. Gemini skręciła w korytarz i po chwili znaleźli się na tarasie. A ona puściła jego dłoń.

Niemal czuł z tego powodu żal.

– Ciekawe? – Zadarł głowę, by pochwycić jej wzrok. W ciele sześciolatka naprawdę trudno było patrzeć na kogoś z góry.

– Nie sądziłyśmy, że ktoś, kto umarł, by odrodzić się na nowo, będzie tak... – zawiesiła głos, opierając się o marmurową balustradę – ...zaściankowy.

Omiotła wzrokiem rozpościerający się w dole ogród. Podobne do bluszczu pędy matre oplątywały wszystko – abstrakcyjne rzeźby, kute ogrodzenie, cienkie drzewa. Tworzyły jeden wielki, skłębiony labirynt cieni pod bladym księżycem. Pięły się po ścianach belwederu, wspinały na stojący przed budynkiem cokół, oplatały bijący w niebo filar. Daleko w górze, setki metrów nad ziemią, rozwarstwiały się na cieniutkie, przezroczyste pasma, które przykrywały miasto ochronnym kloszem, by filtrować powietrze i blokować szkodliwe promieniowanie.

Nocą trudno było je dostrzec. Tylko lekko zamazane kontury księżyca i rzadkich chmur wskazywały, że Kopusła Matki wciąż tkwiła na swoim miejscu.

– Dobrze... – stwierdził niepewnie Niklas i stając obok reprezentantki, wsparł się plecami o balustradę. Za wszelką cenę starał się nie pokazywać po sobie, że jej słowa ubodły go do żywego. Niestety, po części miał również ochotę tupnąć

nogą i wydać policzki.

I jak tu normalnie funkcjonować? Ech.

– ...przyjmijmy, że jesteście dwie – ciągnął. – To nic nie zmienia. Nie pozwolę się omotać ani wykpić waszemu pracodawcy. Mój brat został zabity niedługo po tym, jak skontaktował się z Zodiakami. Złożył mi również obietnicę... Obietnicę, która musiała doprowadzić do konfliktu między wami. A wy woleliście się go pozbyć niż pokojowo załatwić sprawę... Ekhm, sprawę.

Szlag by to trafił. Już tak dobrze mu szło.

– Nic nie zamierzacie powiedzieć? – spytał, gdy jej milczenie zaczęło się przedłużać.

Gemini popatrzyła na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Logan nie był dobrym człowiekiem. Bez względu na to, co obiecywał ci przed śmiercią.

Niklas zmarszczył brwi.

– To również niczego nie zmienia. Chcę po prostu, żeby winna stanęła przed sądem.

Trafił.

Widział to w jej oczach, choć nawet nie mrugnęła. Logana naprawdę zabiła jakaś „ona”, kimkolwiek była – seksowną czarnulką czy dwukolorową ekscentryczką.

– Pragniesz sprawiedliwości, a nie obchodzi cię, że twój brat zabijał ludzi. Podejście typowe dla Nieskalanego. I przy okazji takie wygodne...

Niklas przymknął powieki, wciągając ze świstem powietrze. Nie wiedzieć czemu, zachciało mu się płakać.

To już była, kulwa, przesada.

– Nie poddam się waszemu czarowi. – Zwrócił na Gemini wilgotne oczy, po czym wskazał brodą wyjście na taras. – Oni

czują się zbyt bezpiecznie. Nie rozumieją, że jeśli przyzwolić na śmierć jednego, zaraz polecą kolejne głowy. Bo skoro można zabić czystego, a potem wykpić się paroma uśmiechami, to czemu nie wybić ich co do nogi? W końcu to tylko banda zarozumiałych, zadufanych w sobie utracjuszy. Dopóki mają co chlać, co jeść i co posuwać, dopóty nie przejmą się okazjonalnym zaginięciem czy dwoma. Zorientują się, że coś jest nie tak, dopiero jak będzie już za późno... Czyż nie?

– Więc jesteś zwolennikiem teorii spiskowych – stwierdziła, nawet nie zerknąwszy na niego.

Znowu wpatrywała się w ogród.

– Po prostu lubię wybiegać myślą dalej niż czubek własnego penisa – odparł spokojnie, a ona wybuchnęła perlistym śmiechem.

Cóż, takie słowa musiały brzmieć naprawdę idiotycznie w ustach sześciolatka. Pewnie według niej zachowywał się rozkosznie.

– Niezwykłe – stwierdziła, jakby usłyszała jego myśli. – Jesteś bardzo niezwykłym człowiekiem, Nik.

Jej wypowiedź sprawiła mu irracjonalną przyjemność, ale zmusił się, by stłumić to uczucie. Nie mógł sobie pozwolić na sympatię wobec tej kobiety.

– Wręcz przeciwnie, bywam całkiem przyziemny. Dlatego też nie obchodzi mnie, czy mój brat był dobrą czy złą osobą. Był rodziną. Tylko to się liczy.

5. PARADOKS BLIŹNIĄT

– Rozumiemy – wydusiły przez ściśnięte gardło.

Nagle poczuły się bezużyteczne. Mało kto potrafił oprzeć się urokowi Inni albo sprzeciwić rozkazom Gemmy. Tym bardziej nie spodziewały się, że będą miały trudności z przekonaniem kogoś tak... Cóż, niepozornego? A może najzwyczajniej w świecie nie radziły sobie z dziećmi? Albo źle do tego wszystkiego podchodziły? Przecież Niklas nie był tym, na kogo wyglądał. Miał ciało sześciolatka, ale jego mentalność nawet Virgo wprawiała w konsternację. Odczytanie czyichś fal mózgowych nigdy nie było dla niego równie problematyczne. Ciągle gubił się w uczuciach i myślach reinkarnanta. Nie nadążał za zaprogramowanym przed laty wirusem, który nieustannie splatał neurony w jego nie w pełni skonfigurowanym umyśle.

Umysle dziecka. Mimo wszystko.

– To dobrze – odrzekł pur'Artell. – A teraz wybaczcie – odkrył zegarek na rękę, urządzenie mrugnęło zieloną ikonką – ale ktoś do mnie dzwoni.

– *Powinniśmy go śledzić* – zasugerował Virgo.

Myśli reinkarnanta wciąż pozostawały dla niego mgliste, lecz co do jednego nie miał wątpliwości. Brunetką w jego głowie była Pisces, a przed chwilą znowu o niej pomyślał.

– Nie – wyszeptały bliźniaczki. – Najpierw chcemy porozmawiać z...

...pełnomocnika ojca znalazły przy szwedzkim stole, gdzie urabiał jak ciasto kolejnego z wpływowych gości bankietu.

– Możemy go ukraść na chwilkę? – Uśmiechnęły się do nobilita, a potem złapały Voxa pod ramię.

– Kłopoty? – spytał zwięźle. Kąciki jego ust były delikatnie uniesione, jakby odbywał z Gemini niezobowiązującą pogawędkę.

Tyle że oczy miał zimne.

– Chodzi o Rybę... – zaczęły przyciszonym głosem bliźniaczki. Z początku nie chciały donosić na Pisces, lecz skoro reinkarnant się nią zainteresował, nie miały większego wyboru.

Kiedy skończyły opowiadać, dotarli już na znajomy taras.

– Najchętniej bym się jej pozbył – oznajmił Vox. Bez mrugnięcia powieką, wypranym z emocji głosem.

– *Mówi prawdę* – zaraportował Virgo, chociaż siostry ani przez chwilę w to nie wątpiły.

– Spróbowałbyś tylko – mruknęły ostrzegawczo.

– Nie rozumiem, dlaczego została sparowana z Capricornem – kontynuował niewzruszenie Vox. – Same z nią kłopoty.

Każdy w rodzeństwie miał swoją parę. Koziorożec – Ryby. Bliźnięta – Pannę. Waga – Byka... I tak dalej. Lecz nie to było najważniejsze.

Przede wszystkim liczyło się, że Pisces stanowiła rodzinę. Więc najpierw wyciągną ją z tarapatów, a dopiero potem własnoręcznie uduszą.

– W takim razie, co... – Gemini urwały w pół zdania, kiedy drzwi na taras otworzyły się z trzaskiem.

– Tu jesteście! – wysapał Capri, ukazując się w wejściu. Był blady, jakby właśnie zobaczył śmierć. Z jego rozszerzonych źrenic wyzierała czysta panika.

Nigdy go takim nie widziały.

– Pisces pozwoliła się złapać – wyrzucił z siebie pośpiesznie. – Ja przewidziałem... Ale ona tak szybko... i zaraz osłabła. Złapał ją ochroniarz. Drugi wyrósł nade mną. Udawał, że mnie uspokaja, ale widziałem jak ten drugi... Ale nie mo-

głem... – Kucnąwszy, zacisnął powieki i wyszeptał, łapiąc się za głowę: – Coś mnie blokowało...

– Już, już, ciii... – Poglądziły roztrzęsionego brata po włosach, kierując wzrok na milczącego ponuro Voxa.

Nie musiały zadawać pytania, a on nie musiał na nie odpowiadać. Virgo i bez tego poznałby odpowiedź. Jak na razie jednak w głębi nieruchomych źrenic ziała pustka. Vox nie myślał o niczym, tylko zastygł w bezruchu niczym posąg. Równocześnie, jakby... nasłuchiwał. Aż wreszcie przymknął powieki. Jedno krótkie słowo rozbłysło w jego umyśle.

Zezwolił na użycie bata.

*

Niklas nie lubił uciekać się do takich metod, ale miał obawy, że podobna okazja już się nie powtórzy. Zresztą, nie zamierzał nikogo krzywdzić. Znał bardzo humanitarne sposoby na wyciąganie z ludzi informacji. Liczył też po cichu, że czarnowłosa ślicznotka wystraszy się na tyle, by bez dodatkowej zachęty wyśpiewać wszystko, co wie.

Teraz leżała nieprzytomna na tylnym siedzeniu elektrycznego sedana, za połyskliwą przegrodą ekranową, która wyświetlała mapę z ich obecną lokalizacją. Na przedniej szybie widniał dokładnie ten sam obraz, a samochód jechał automatycznie, chociaż miał też wmontowaną kierownicę. Obecnie za kółkiem siedział drugi obok Marty opiekun Niklasa – ciemnoskóry Joseph.

Reinkarnant spojrział na niego spode łba. Wedle przepisów nawet w samonawigującym się pojeździe musiał zajmować miejsce pasażera, chociaż pojazd włókł się niemiłosiernie. Oczywiście, nic wielkiego nie stałoby się, gdyby Nik siadł za

kierownicą i zostali zatrzymani przez Straż, ale po co ryzykować stratę kilku cennych minut? Naburmuszonym chłopcem kierowały wyłącznie dziecięce humory.

Cholera, pomyślał, kiedy mi to wreszcie przejdzie?

Z drugiej strony rozumiał, dlaczego wirus powoli dokonywał zmian w jego mózgu; dlaczego brnął przez układ nerwowy jak mucha w smole. Po pierwsze, gdyby wtłoczono w niego wszystkie wspomnienia, całą osobowość i wiedzę Niklasa pur'Artella naraz, prawie nic nie zostałyby mu w głowie na dłużej. Po drugie, jakby nie patrzeć, jego mózg wciąż się rozwijał, kształtował, więc pełna reinkarnacja wymagała czasu. No i po trzecie, mógłby zwyczajnie nie przeżyć tak gwałtownej przemiany. Co nie ułatwiało mu życia jako takiego.

Właściwie, gdyby nie upór brata, chyba już dawno by się poddał. Zmienił imię, zrzekł się majątku wraz z nazwiskiem. Jednak Logan ani myślał mu odpuścić. „Znajdę sposób” – mówił. „Wyciągnę z tych dziwadła wszystkie ich sekrety. I już nigdy nie będziesz musiał przez to przechodzić”.

Teraz nie żył, a jemu zostały tylko wspomnienia. I kilka bezużytecznych nagrań z monitoringu.

Kamery uchwyciły jedynie rozedrgany cień przemyskający między ludźmi. Ci nagle padali na ziemię, łapiąc się za rozorane gardła. Plamy krwi wykwitwały na mahoniowej podłodze. Tymczasem komisarz Straży Wewnętrznej zarzekał się, że chociaż Logan leżał już martwy, zdołał odbyć z nim rozmowę przez telefon.

Nic nie trzymało się kupy.

Niklas jeszcze raz spojrzał na tylne siedzenie. Nie wyobrażał sobie, by czarnulka mogła być ciemnym kształtem z nagrania. Związana i nieprzytomna wyglądała całkiem bezbronnie – niczym krucha, porcelanowa lalka.

Takie są najgorsze, zaśpiewało mu w duszy. Westchnął ciężko. Kogo miał słuchać? Siebie czy siebie?

Oszaleć od tego można.

– Joseph?

– Mhm...? – Jego dawny i zarazem obecny ochroniarz zawsze był małomówny.

Miało to swoje zalety.

– Nie rozmawiaj o tym z Martą. – Niklas zagryzł dolną wargę. Kiedy dotarło do niego, co robi, nabrał ochoty, by uderzyć się w twarz.

– Okej – przytaknął Joseph.

– Powiemy, że miałem kolejną migrenę.

– Mhm.

– Zadbaj też, by ktoś odebrał ją z pałacu.

– Jasne.

To sobie pogadali...

Nik usłyszał jakiś warkot i spojrział przez okno, ale nie dostrzegł niczego. Jednocześnie poczuł się bardzo samotny.

Rety, co mi jest? Potrząsnął głową. Odnosił wrażenie, jakby nałykał się estrogenu. Co za idiotyczny pomysł...

*

– Zaczekajcie tutaj – wydały polecenie, zanim wróciły do budynku.

– Nie, pójdę z wami – sprzeciwił się Capri. – Chcę pomóc.

Mimo że nadal wyglądał jak trup, udało mu się zapanować nad głosem. Był naprawdę wyjątkowo uparty. Mało komu udawało się przewycięzać uwarunkowanie.

– Już wystarczająco pomogłeś – odparły chłodno Gemini, dodatkowo usadzając go wzrokiem.

Może zareagowały zbyt ostro, ale wolały nie tracić czasu na bezsensowne kłótnie. Prawda była prosta: jego naiwna rycerskość na nic by im się nie przydała. Musiały teraz popracować w pojedynkę.

To znaczy we dwie.

– *Raczej we troje* – poprawił je Virgo.

No tak. Tylko we troje. Nie potrzebowały nikogo więcej.

– Dokąd zabrano dziewczynę? – zapytały pierwszego napotkanego ochroniarza. – Drobna, czarnowłosa, niedawno zemdląca...

Na szczęście korytarz był pusty, a wysokiemu osiłkowi nie udało się dotknąć zegarka z komunikatorem. Gemini złaapały go za gardło, nim zdążył chociażby mrugnąć, a serum prawdy już dobrą chwilę płynęło w jego żyłach.

– Nie wiem – odpowiedział półprzytomnie.

Przez moment rozważały, czy nie zmusić go do wypytania reszty ochroniarzy. Szybko jednak stwierdziły, że tylko wzbudzą podejrzenia.

Następny, którego znalazły, stał przy głównym wejściu do belwederu.

– Odjechała z dzieciakiem – zdradził, pochwycony w siódła ich wzroku.

– Dokąd?

– Nie wiem.

– Kurde – sarknęły z irytacją. – A kto może wiedzieć?

Ochroniarz, marszcząc czoło, wahał się przez sekundę.

– Może jego niania?

Gemini spojrzały na mężczyznę z zaciekawieniem, a ten rozpromienił się jak dziecko, które właśnie zabłyszczało inteligencją przed rodzicami.

– Wiem, gdzie ją znaleźć – dodał.

– Prowadź. – Bliźniaczki skinęły głową.

Niedługo później siedziały przy jednym stole z Martą Zenovic.

Wszystko w tej kobiecie było wyblakłe jak zbyt często prana koszula: płowe włosy, wodniste oczy, zmęczona twarz. Na sam jej widok serce ścisnęło się żalem.

– Panicz pur'Artell prosił...

Tak właśnie o nim myślała: „panicz”.

– ...byś dołączyła do niego na zewnątrz.

Zenovic wyglądała na zdziwioną, ale zgodziła się pójść z bliźniaczkami i ochroniarzem.

Gemini odstawiły mężczyznę przy wejściu, każąc mu liczyć do miliona od tyłu i zapomnieć o wszystkim wraz z zerem. To nie zawsze działało, ale przynajmniej kupowało im trochę czasu, którego bardzo teraz potrzebowały.

Za progiem belwederu zajęły się Martą. Powietrze tutaj było przyjemne. Orzeźwiająca i niezbyt zimna zarazem. Inni z całych sił starała się myśleć tylko o nim. Tylko o oddychaniu. Tymczasem Gemma trzymała Zenovic w żelaznym uścisku. Dała jej nawet chwilę na wyzbycie się wszelkich obaw. Poczekala, aż przestanie wbijać paznokcie w ich przedramiona...

Potem zadała pytanie, a kobieta uśmiechnęła się smutno.

– Jeśli w tym dziecku naprawdę żyje cokolwiek z mojego Nika... to wiem, dokąd mogli pojechać.

*

Jeżeli głębiej się zastanowić, był nie tylko klonem, ale i własnym synem. Czy wobec tego pochwalał podjętą przez siebie decyzję? Nie miał pewności. Wiedział za to, że niedługo

rozboli go głowa. Od takich myśli zawsze bolała.

– Dotarłeś do celu – oznajmił komputer samochodowy. Najwyższy czas! Jechali zdecydowanie zbyt długo.

Mapa zniknęła z przedniej szyby, odsłaniając zimne wnętrze podziemnego parkingu. W przezroczystym filarze, obok którego stanęli, rozbłysło logo NucEnergi. Miniaturowa chłodnia kominowa wypuszczała obłoczek trójwymiarowej pary. Z głośników popłynął miły, kobiecy głos:

– Witaj w domu, Nik.

Może dawni współpracownicy nie traktowali go już jak szefa, może dopiero za dwanaście lat będzie mógł objąć swoje stanowisko na nowo, a oni do tego czasu wielokrotnie spróbują się go pozbyć... Lecz dla SI wciąż był jedynym panem i władcą NucEnergi. Zadbał o to przed śmiercią, wgrywając NE-gi pozaoficjalną aktualizację. Można by rzec „nielegalnego robaka”, ale przecież to był jego system.

– Witaj, Ne – powiedział, wysiadłszy z pojazdu.

Hmm... „Nik i Ne” brzmi jak tytuł jakiejś bajki, przemknęło mu przez głowę. Kolejna z miliona nedorzecznych myśli.

Tymczasem Joseph stanął obok, przykładając klucz elektroniczny do tylnych drzwi samochodu. Te otworzyły się z miękkim sykiem, jednak leżąca w środku dziewczyna ani drgnęła.

Niklas cofnął się o krok, by przepuścić towarzysza. Ciemnoskóry ochroniarz zanurkował do wnętrza pojazdu. A wtedy czarnulka otworzyła oczy.

I zniknęła.

*

Gemini od początku wiedziały, że muszą się spieszyć. Po wysłuchaniu Zenovic nabrały też pewności, co zamierzała zrobić Ryba.

Zabić.

Zabić wszystkich, którzy staną jej na drodze.

– *Przecież nie istniał lepszy sposób na rozwiązywanie problemów*, szydziła Gemma. *Proszę państwa, oto śmierć: zbawienie duszy i lekarstwo na każdą bolączkę. Do zakupienia w najbliższym krematorium.*

Och, jakże miały ochotę przetrzepać skórę Pisces. Wygrzmocić z niej te wszystkie pokłady głupoty, które chowała pod czaszką.

– W jaki sposób możemy się tam dostać? – zapytały jeszcze Martę.

– Mam zapasowe klucze... – Kobieta wyciągnęła z eleganckiej, czarnej torebki kartę chipową i niedużego pilota.

– Dziękujemy – powiedziały, odbierając od niej przedmioty. Musiały podciągnąć sukienkę, by schować je w ukrytej na biodrze saszetce.

Gdy z powrotem uniosły głowę, dostrzegły łzy w błękitnych oczach.

– Tęsknię za nim. – Zenovic pociągnęła nosem. – Ten malec... To nie mój Nik. To tylko dziecko... Odrażająco dorosłe, ale jednak... – Głos jej się załamał.

Inni delikatnie pogładziła policzek kobiety. Musnęła wargami słone usta, przytknęła czoło do czoła.

– Odejdź – wyszeptwała bez udziału Gemmy. – Pogódź się ze stratą i odejdź.

Blondynka powoli skinęła głową.

– Odejdę – powiedziała.

I tak też zrobiła.

Nie wróciła już do belwederu, tylko ruszyła ku trzymetrowej, kutej bramie. A tam jak spod ziemi wyrósł niewysoki normal w białym stroju – chłopiec parkingowy.

Bliźniaczki nie pozwoliły mu zatrzymać Marty.

– Ty, chodź tu – rozkazały, machając na niego ręką i dziękując losowi za pychę Nieskalanych. Większość nowoczesnych samochodów mogła zaparkować się sama, więc do nadzoru parkingu starczyłby zwykły automat.

Ale ludzie lubili, kiedy inni ludzie im usługiwali.

– Cicho. – Gemma dotknęła szyi chłopaka, kiedy ten już otwierał usta.

Słowa momentalnie uwięzły mu w gardle.

– Podstaw najszybszą – ciągnęły razem – najwścieklejszą maszynę, jaką masz do dyspozycji.

Normal pobiegł wykonać polecenie, a one zastanowiły się, czy mówić cokolwiek Voxowi. Lepiej nie, zdecydowały. Zastępca ojca mógłby się nie zgodzić, by same ruszały w pogoń. Najwyżej powiedzą później, że skoro pozwolił im działać, to działały.

Virgo nie skomentował tej decyzji. Jego milczenie zaczynało martwić bliźniaczki, ale pomruk silnika nagle odwrócił ich uwagę.

– *O nie...* – Inni na widok maszyny, którą podstawił parkingowy, zrobiło się słabo.

Gemma za to uśmiechała się w myślach, gdy odebrawszy kask od chłopaka, wsiadły na smukły pojazd.

– *Będę prowadzić.*

– *Dobrze, tylko uwa...*

Czarny chopper ruszył z piskiem opon.

– Wolniej, wolniej! – krzyczała Inni, lecz na przekór jej Gemma jeszcze dodała gazu.

Ich sukienka zafurkotała na wietrze. To zdecydowanie nie był najlepszy strój do jazdy na motocyklu. Cóż, przynajmniej pantofle miały na płaskim obcasie.

– *Włącz nawigację* – poleciła siostrze Gemma.

Po chwili ich e-kulary wyświetliły ścieżkę ze strzałek i informację, ile kilometrów zostało do celu. W takim tempie powinny bez problemu dogonić pur'Artella. To znaczyło również, że chopper musiał być zhakowany. Wszelkie blokady prędkości instalowane w pojazdach miejskich po prostu w nim nie działały.

Bliźnięta mogły gnać na złamanie karku.

*

Otworzył usta do krzyku. Wszystko działo się tak szybko. Czarnulka zniknęła z samochodu, nagle pojawiła się za plecami Josepha. Białe kły zalśniły w uśmiechu. Coś mignęło srebrzyście.

– Stój! – Rozkaz odbił się od ścian i sklepienia podziemi. Jakby kilka głosów wypowiedziało go jednocześnie.

*

Dzięki chopperowi nie tylko dogoniły pur'Artella. One go przegoniły.

Przez chwilę bały się nawet, że Marta źle przewidziała ruchy podopiecznego. Potem szlaban parkingowy zaczął się unosić, a Gemini ledwo zdążyły ukryć motocykl.

– Witaj w domu, Nik.

– Witaj, Ne.

„*Nik i Ne...*”, odczytał Virgo.

Drzwi samochodu odsunęły się bezgłośnie. Ryba włączyła ślepowidzenie, rzucając się z pazurami na ochroniarza.

– Stój! – wykrzyczały z całych płuc bliźniaczki.

Siostra zamarła w miejscu. Jej metalowe pazury zawisły o włos od tętnicy szyjnej mężczyzny. Reinkarnat patrzył na to wszystko z ogromnymi oczami.

– Stój, nie ruszaj się, ani drgnij – powtarzały rozkazy bliźniaczki, wychodząc z cienia, aż chwyciły Pisces za kark. – A teraz opuść rękę.

Ryba wykonała polecenie.

– Nienawidzę was – wysyczała głosem Hare. – Przeszkodziłyście mi...

– Tak, tak, wiemy. Kiedy łowisz ryby, królik rucha cię w dupę. Czy jakoś tak. Mało eleganckie rozwiązanie, nie uważasz?

Kliknięcie odbezpieczanej broni przeszkodziło Pisces w odpowiedzi. Ochroniarz wycelował glocka prosto między jej oczy.

– Ręce do góry albo strzelam – rzucił nieco bełkotliwie. Dłonie mu się trzęsły.

Niełatwo było sprzeciwić się rozkazom Gemini. Nawet takim niebezpośrednim.

– Jeśli podniesiemy ręce, ona będzie wolna. – Wskazały brodą na Pisces. – Naprawdę tego chcesz?

Mężczyzna zawahał się, spoglądając w czarne oczy Ryby. Bliźniaczki wykorzystały ten moment, by wyskoczyć do przodu i chwycić rękę z bronią.

Glock wystrzelił, ale był już wycelowany gdzie inaczej. Pocisk z głuchym łoskotem wbił się w ścianę.

– Zaśnij...

Ochroniarz, wiotcząc jak szmaciana lalka, upadł na

ziemię. Gemini powiodły spojrzeniem od niego do trzymanej za szyję siostry. Kiedy Ryba również zmiękła, skierowały wzrok na szykującego się do ucieczki sześciolatka.

– Teraz twoja kolej, Nik -- wymruczały, spoglądając za bieżącym dzieckiem.

Nie musiały nawet przyspieszać, by go złapać. Po paru krokach sam się przewrócił, a chwilę później leżał już obok pozostałych.

Wtedy też bliźniaczki zaczęły się spierać.

– *Nie możemy tego zrobić dziecku...* – protestowała Inni.

– *To nie jest dziecko* – odmyślała stanowczo Gemma.

– *Ale...*

– *Do diabła, li, on ma wspomnienia sprzed ponad stu lat! Zresztą wiesz, że Ryba nie dała nam wyboru.*

Virgo też to wiedział. Wprawdzie w podziemiach miał bardzo słaby odbiór – z głowy reinkarnanta wyłowił tylko jakieś strzępy, myśli Pisces w ogóle nie był w stanie odczytać, a ruch ochroniarza wyczuł zdecydowanie za późno – jednak sytuacja była dla niego jasna. Zatuszowanie tego wszystkiego przekraczało możliwości Gemini. Mimo młodego wieku Niklas pur'Artell był wysoce odporny na ich czar. Nawet teraz Virgo czuł, że chłopiec ocknie się najwcześniej z trójki. No i jak dotąd nie udało mu się znaleźć niczego, co mogłoby skłonić reinkarnanta do rezygnacji ze swoich zamiarów.

Ogólnie rzecz biorąc albo one musiały zniknąć, albo dzieciak. Najlepiej tak, by nie wzbudzać niczyich podejrzeń. A przecież nikogo nie powinno dziwić, jeśli coś zepsuje się w głowie reinkarnanta. Ot, wirus źle połączy kabelki i tragedia gotowa.

Czyste rozwiązanie godne Nieskałanego.

– *Odwróć wzrok, li* – wyszeptała Gemma, przejmując

kontrolę nad całym ciałem.

Czasami zwracała się tak do niej w dzieciństwie, kiedy ojciec przeprowadzał swoje testy. Inni miała kryjówkę wewnątrz podzielonego umysłu – nie widziała stamtąd ani nie słyszała, co działo się z obiektami doświadczalnymi.

Gemma nigdy nie doznała tego luksusu. Zwyczajnie nie potrafiła „odwrócić wzroku”.

– To nie będzie trwało długo – obiecała.

*

Niklas uniósł ociężałe powieki. Kręciło mu się w głowie. Jego świat kurczył się do dwóch rozedrganych punkcików. Jasnego i ciemnego.

Dopiero po chwili zorientował się, że to oczy.

– Czujesz, jak oddychasz. – Usłyszał. – Wdech i... wydech. Wciągasz i wypuszczasz powietrze. Twoja klatka piersiowa unosi się i opada. Myślisz o każdym oddechu. To powoduje takie dokuczliwe uczucie, prawda? Świadomość oddychania. Jakby proste stwierdzenie faktu potrafiło rozsynchronizować tak skomplikowaną maszynę, jaką jest twój organizm. Rozumiesz, o czym mówię?

Z trudem przełknął ślinę. Nagle ścisnęło go w piersi.

– Czujesz to? Czujesz, jak twoje nozdrza rozszerzają się, wciągając powietrze? Jak wypełniają się płuca jeszcze nie w bolesny, ale już w namacalny, nieprzyjemny sposób? Spokojnie, to tylko złudzenie. Weź głęboki wdech i zrób powolny wydech... Znowu wdech... Wstrzymaj powietrze... I wydech. A teraz bądź tak miły i zapomnij...

Zapomnij, jak się oddycha.

*

Inni kuliła się w ciemności.

Teoretycznie nie odbierała żadnych bodźców. Problem w tym, że nie musiała. Dobrze wiedziała, co działo się wokół niej. Słyszała w myślach łomot, czuła odległy smród moczu. Skrobanie paznokci, odór śmierci. Nie potrafiła zapomnieć strzaskanej twarzy. Wybałuszonych oczu, zmiażdżonego nosa i czerwonych, wyszczerzonych zębów. Nie umiała zmyć śladów krwi.

Znów była małą, bezsilną dziewczynką. Znów pogrążała się w czarnej rozpacz, próbując zmusić braciszka, by ożył, by zaczął na powrót oddychać. Przytulała go do piersi, wsączając w żyły adrenalinę i płakała. Płakała, bo to nic nie dawało.

Poprzedni Virgo umarł, a tata wcale go nie naprawił.

– *Więc jednak się domyśliłyście.*

Inni uczepliła się głosu brata jak liny. Jakby mozolnie wygrzebywała się z bagna.

– *Tylko ja...*

– *Od kiedy?*

– *Nie wiem.*

Chyba nigdy nie pomyślała o tym wprost. Zwyczajnie w głębi serca czuła, że jej drugi braciszek umarł tam, pod łóżkiem, gdzie kryły się potwory.

– *Tylko że potworem okazałyśmy się my.*

– *Nie* – zaprzeczył Virgo. – *Nie tylko wy...*

W przeciwieństwie do Gemini nie byli bliźniętami. Byli jednym: nadajnikiem i odbiornikiem, umysłem i ciałem. Nie istniał żaden poprzedni Virgo.

Od początku był wyłącznie on.

I to on doprowadził do wypadku. Zagłębił się w naj-

mroczniejszych sekretach Gemmy, wyciągnął najczarniejsze z jej koszmarów na powierzchnię. *Jesteś tą gorszą, tą niegrzeczną*, szeptał złośliwie. *Nikt cię nie pokocha, skoro sprawiasz tylko kłopoty. Sama nie umiesz kochać. Przez to kiedyś zranisz tatę, zranisz siostrę... W końcu zranisz mnie.*

– Nie! Siedź cicho! – pisnęła czterolatka. – Nic nie mów, nawet nie oddychaj!

Zatem nie było żadnego „w końcu”. Było teraz, już. Dwa słowa wystarczyły, by zaprojektowane do wykonywania rozkazów ciało przestało funkcjonować. Część Virgo udusiła się w mękach, lecz druga część wciąż żyła. Nadajnik bez odbiornika, bez oczu, uszu i czucia, jak po drastycznej amputacji, w której traciło się całe ciało i połowę duszy. Zostało jedynie zamknięte w sparaliżowanej powłoce „ja”. Kalekie od dnia narodzin, od niemowlęcia ukryte w krypcie ze stali.

– *Rozumiesz, Inni? Zawsze wyglądałem tak, jak teraz. Nie ma w tym waszej winy. Możecie odejść. Przecież tylko to was powstrzymywało... A nawet nie wiedziałyście, kim jestem.*

– *Wiedziałyśmy* – pomyślała Inni. – *Jesteś rodziną. Nie opuszcza się rodziny.*

– *Ani nie zmusza się jej do zostania.*

Na to nie miała odpowiedzi. Milczała, a czas nieubłaganie leciał.

– *Ona też cierpi, Inni. Też nie chce tego robić... I wiesz, że nic nam o tym nie powie. Ale ja nie pozwolę, żeby więcej cierpiała. Nie pozwolę ci zostawiać jej samej.*

Przecież Gemma też jest rodziną.

W paradoksie bliźniąt jedno starzeje się szybciej niż drugie. Wynika to z błędnego założenia, że ich układy nie są

równoważne.

Tyle że w przypadku Gemini rzeczywiście nie do końca były. Wbrew wszelkim pozorom Inni żyła nieco dłużej od Gemmy. Była tą starszą; tą, która wybudziła się pierwsza. I mogła kontrolować siostrę. Od dzieciństwa pilnowała się jednak, by tego nie robić.

Aż do teraz.

– Przypomnij sobie! – krzyknęła, potrząsając chłopcem.
– Oddychaj!

Sześciolatek zacharczał, zwijając się w kłębek. Miał sine usta i wywrócone oczy, ale jakimś cudem nie stracił jeszcze przytomności. Walczył z rozkazem Gemmy, rzucał się niemrawo. Po którymś razie w końcu sobie przypomniał i zaczerpnął oddechu. Zaraz potem wymiotował na podłogę.

Wciągając spazmatycznie powietrze, rozpłakał się jak małe dziecko, którym w rzeczy samej przecież był.

– Patrz na mnie! – Inni klepnęła go w twarz. – Patrz!

Patrzył szklistym wzrokiem.

– Wiesz, kim jestem?

Potaknął.

– Boisz się?

Skinął jeszcze gorliwiej.

– Dobrze, zapamiętaj jedno. – Inni zebrała myśli. Skoro dotychczas nie udawało jej się oczarować reinkarnanta, musiała mu dać coś, w co bezwzględnie zechciałby uwierzyć. – To wszystko moja wina. Moja, słyszysz? Zabiłam twojego brata, ciebie też próbowałam zabić. Oszukać. Kłamałam, że jesteśmy dwie. Traktowałam cię jak głupie dziecko. Teraz bawię się z tobą w chowanego. Szukaj mnie, smarkaczu. Tylko pamiętaj, że nie jestem już w Zodiakach. Uciekłam. Narobiłam bałaganu, wepchnęłam ci fałszywe wspomnienie do głowy i uciekłam.

Niczego nie możesz być pewien.

– Niczego – wymamrotał, ocierając smarki spod nosa i zemdlał z nieprzytomnym uśmiechem na ustach.

Między jego okrwawionymi zębami widniała przeurocza szczerba.

*

Na koniec musiała zająć się ochroniarzem, a ten nie należał do rozmownych. Minęło trochę czasu, zanim nabrała pewności, że niczego nie pamiętał. Potem trzeba było jeszcze ocucić Rybę i zabrać ją w bezpieczne miejsce. Koniec końców zaczynało już świtać, gdy dotarły pod wieżę Zodiacs Inc.

– Mamy prośbę – powiedziała do zsiadającej z motocykla Pisces, tak by nie zdradzać, że działała na własną rękę. – Znikniemy, jeśli nam pomożesz.

– To dopiero nowość – parsknęła kpiąco Ryba. – Już znudziło się wam dyrygowanie ludźmi?

Inni nie odpowiedziała. Patrzyła na siostrę w oczekiwaniu, pozwalając wybrzmieć ciszy, aż owa zaczęła być przytłaczająca.

– No, dobra. – Pisces wzruszyła ramionami. – Czego chcecie?

– Żebyś wydrapała coś swoimi pazurami.

Dziewczyna zmarszczyła czarne brwi.

– Chyba nie macie na myśli...

– *Tak, Pi. Chodzi o mnie* – przesłał Virgo. Na krótką odległość od Wieży mógł dzięki symbiontowi, nie tylko odbierać, ale również nadawać swoje myśli.

– Daj nam chwilę – poprosiła jeszcze Inni.

Pierwszy raz w życiu nie potrafiła powiedzieć, co mogło

się dzieć w umyśle siostry. Gemma nie odezwała się ani słowem, od kiedy starsza bliźniaczka przejęła kontrolę.

– *Przejdzie jej* – pocieszał ją brat.

– *Mam nadzieję* – odmyślała.

Nagle dotarło do niego, co Inni czuła poza smutkiem. Duszący strach przygniótł go i zamroczył na moment. Pierwszy raz od dawna – być może od utraty drugiego Virgo – bała się tak mocno. Nie wiedziała, co zrobią z siostrą bez jego pomocy. Czy poradzą sobie w prawdziwym świecie?

Delikatnie, z nieznacznym wahaniem, pogładziła neurotransponder. Wymacała cieniutki kabel, który wił się pomiędzy włosami aż do ukrytej pod potylicą wszczepki.

– *Wrócimy po ciebie* – obiecała.

– *Wiem.*

Virgo rozdzielił swoje myśli.

– *Kocham cię, Inni.*

– *Kocham cię, Gemmo.*

– *My ciebie też, Virgo...*

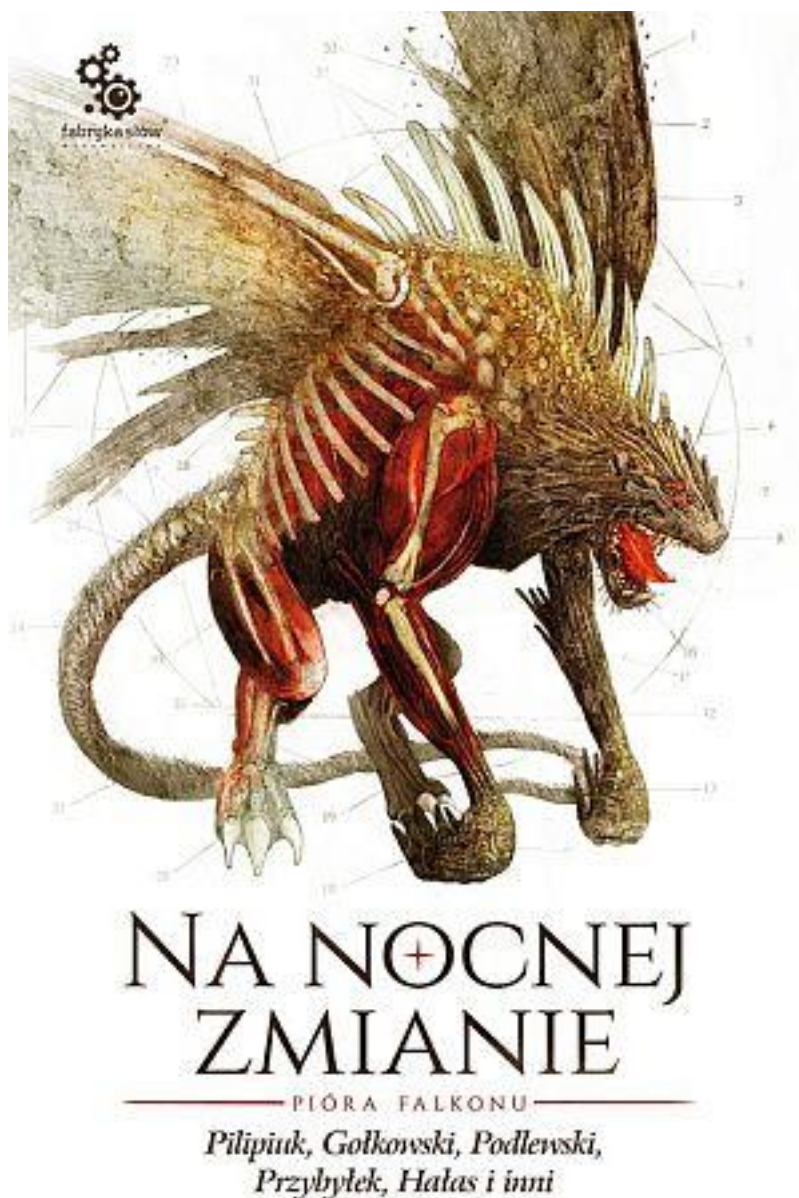
Nie miał pewności, która z sióstr odpowiedziała. Może obie? Nie, nie był w stanie powiedzieć. Nawet nie chciał próbować. Już tylko patrzył ich oczami. Obserwował, jak Pisces unosi zakończone metalowymi pazurami palce. Jak Bliźnięta pochylają głowę, odgarniając włosy. Aż wreszcie poczuł delikatne ukłucie bólu.

I został całkiem sam.

Skrót dotyczy systemu CRISPR-Cas (clustered regularly interspaced short palindromic repeats-CRISPR associated).
[wróc]

Anna Szumacher

Na nocnej zmianie



Opowiadanie ukazało się w antologii *Na nocnej zmianie* opublikowanej nakładem wydawnictwa Fabryka Słów

Robert Żeromski, doktor fizyki kwantowej i chemii molekularnej, był przeszcześnieśliwy, kiedy zatrudnili go w Castoramie jako stróża nocnego. To był szczyt jego marzeń, a także prosta droga do sławy, chwały, bogactwa i tytułu profesora. Nie był co prawda pewien, czy oczekiwane granty i Nagroda Nobla zaspokoją go co do bogactwa, ale po co myśleć o kocie Schrödingera przed otwarciem pudełka.

A wszystko zaczęło się dwa miesiące temu, kiedy jeden z jego trzeciorocznych, wcale nie wybitnych studentów znowu spóźnił się na poranny wykład i przyszedł z kolejną wymówką. Tym razem Żeromski musiał przyznać, że wyobraźnia chłopaka dobrze się napracowała, kiedy ten utrzymywał, że będąc nocą w pracy i nudząc się jak mops, zaczął łązić po terenie zamkniętej Castoramy i przestawiać różne rzeczy. Odkręcać kurki. Jeździć wózkiem widłowym wokół regałów. Przekładać śrubki i miarki. Otwierać drzwi. Na otwieraniu skończył, bo po pociągnięciu za którąś z kolei klamkę odkrył przejście do pustynnego świata z trzema jasnozielonymi słońcami. Tak nim to wstrząsnęło, że uciekł z pracy i do rana pił u najbliższej mieszkającego kumpla.

Żeromski, wykładowca na wydziale fizyki fazy skondensowanej, był w stanie uwierzyć w ucieczkę z pracy i picie do rana u kolegi. Cholera, kiedyś przecież sam był studentem. Ale w świat równoległy, do którego przechodzi się przez drzwi w sklepie? Wolne żarty...

– Udowodnię panu doktorowi! – wykrzyknął wtedy student, nadal lekko się zataczając. – Przyniosę dowody, a wtedy wszyscy się przekonają!

Wybiegł z sali, potykając się w progu i wymachując pię-

ścią w powietrzu.

*

Na następnym wykładzie nie pojawił się w ogóle. Ani na jeszcze kolejnym. W końcu Żeromski, zirytowany wyraźnym ignorowaniem jego przedmiotu, który był przecież najważniejszym wykładem na trzecim roku, zaczepił po zajęciach jednego ze studentów i zapytał, czemu jego kolega nie chodzi na uczelnię.

– No wie pan – zaczął tłumaczyć Żeromski, zadzierając głowę, by spojrzeć dwumetrowemu dryblasowi w oczy – taki, co się zawsze spóźniał, dorabiał sobie w Castoramie. Jak mu tam... Maciek, Marcin...

Duży wyraźnie posmutniał.

– To pan doktor jeszcze nic nie słyszał o Marianie? Zaginął dwa tygodnie temu. Nikt nie wie, co się z nim stało. Zupełnie jak kamień w wodę, wszyscy go szukają, rodzina, znajomi... – Pokręcił głową. – Kurde, strach wyjść na ulicę, nawet nie wiadomo, czy jeszcze żyje... Przepraszam, muszę iść na seminarium.

– Oczywiście – przytaknął wykładowca, przepuszczając studenta w drzwiach.

Właśnie wtedy, gdy patrzył za oddalającym się dryblasem, w jego głowie po raz pierwszy zrodziło się pytanie: A co, jeśli?...

*

Postanowił zbadać sprawę empirycznie. Poszedł następnego dnia do Castoramy i zaczął otwierać wszystkie drzwi

wiszące na wystawie, zaglądać za nie i pod nie, dopóki jakiś pracownik nie zainteresował się, co robi.

– A tak sobie tylko oglądam – mruknął speszony wykładowca. – Wie pan, drzwi. Jak chodzą i tak dalej.

– Szuka pan czegoś konkretnego? – nalegał człowiek w niebieskich spodniach z szelkami.

– Nie, nie. – Żeromski machnął ręką i uciekł do innej alejki. Musiał spojrzeć prawdzie w oczy: w sklepie nie było ani śladu po wejściu do równoległego świata, zresztą jak mogłoby być, chyba ktoś by to zauważył. Nie było również śladu po zaginionym studencie.

Żeromski postanowił porzucić głupie fantazje i wrócić do swojego spokojnego naukowego życia na politechnice.

*

Plotki rozchodziły się szybko, jak w każdej zamkniętej społeczności. O tym, co znaleziono w mieszkaniu zaginionego Mariana, dosyć szybko zaczęli mówić wszyscy, tak więc wieści dotarły również do Roberta Żeromskiego. A przynajmniej ich strzępy. Na pierwsze natrafił koło toalety.

– ...znaleźli u niego ukradzione z pracowni sto trzydzieści pięć B przyrządy do mierzenia ciśnienia atmosferycznego i gleby... – grupka studentek dyskutowała dosyć głośno. – Wiecie, jakby się szykował na wyprawę na Marsa.

– Podobno na biurku miał rozrysowany plan jakiegoś ręcznie robionego kombinezonu, wszędzie walały się fragmenty folii aluminiowej, taśmy izolacyjnej, pocięty plastik i szkło, no w ogóle totalny burdel.

Umilkły, gdy zobaczyły wykładowcę. Żeromski, który broń Boże nie podsłuchiwał, odszedł szybkim krokiem.

*

Koledzy Mariana byli mniej oględni w jego ocenie i nie przejmowali się tym, czy ktoś usłyszy ich zdanie, czy nie.

– Zupełnie mu odbiło. Przestał rozmawiać z ludźmi, cały czas tylko misja i misja – mówił ktoś pod oknem. – Japońskie kreskówki wypalają mózg...

– Założę się, że poszedł w jakieś prochy i nawet się duppek nie podzielił – stwierdził inny. – Może nie zapłacił i wiecie... – Jeden z chłopaków wykonał przy szyi ruch przecinania. – Albo betonowe buty i do najbliższego stawu.

– Albo nawąchał się klejów na nocnej zmianie – zakończył ktoś ze śmiechem. – Ostatnio brał wszystkie nocne dyżury, musiało go strasznie przycisnąć z kasą, zniknął w Castoramie o zachodzie słońca i nie wychodził przed świtem... A kiedyś to był taki fajny gość do chodzenia na browara...

Żeromski znikł w gabinecie. Od zachodu do wschodu?

*

– Technikum elektryczne – powiedział Żeromski, drapiąc się po dwudniowym zarościu. – Potem, tego... zarabiałem trochę w Niemczech u kuzyna, robiłem w Londynie, jakieś takie sezonówki. W sumie nic na stałe. Nie żeby można to było wsadzić w ten, no, życiopic. – Przerwał na chwilę, zaskoczony własną kreatywnością językową. – A, i jako stróż nocny to też pracowałem. Tu i tam, jak była potrzeba. Ale dobry jestem, solidny i nie piję, słowo! – dodał, patrząc w oczy jednego z pracowników Castoramy, zajmującego się rekrutacją. – Może znajdzie się jakaś robota?

Z tabliczki wynikało, że rekrutuje go Zenon Śmigalski. Zenek, dobre, mocne imię.

– No, możemy spróbować – powiedział w końcu Zenon, zerkając na dokumenty rekrutacyjne i list motywacyjny najeżony błędami ortograficznymi. Westchnął. – Na okres próbny. Akurat zwolniło nam się jedno miejsce stróża nocnego, a nikt się jeszcze nie znalazł na jego stanowisko. Kiedy może pan zacząć?

Żeromski z bólem pomyślał o jutrzejszym wykładzie o ósmej rano. Ale były rzeczy ważne i ważniejsze.

– Dzisiaj! – powiedział stanowczo.

Sprawdzi te cholerne drzwi dla spokoju ducha i więcej się tu nie pojawi. Niespecjalnie obawiał się reperkusji i ewentualnego znalezienia przez władze lub kogokolwiek innego, jako że przedstawił fałszywe CV z nieco zmienionymi danymi. Technikum, dobre sobie...

– To niech pan przyjdzie o dwudziestej drugiej, zmieni pan innego pracownika.

– Jasne, szefie! – Żeromski włożył w to zdanie całe swoje serce. – Będę!

*

Castoramapo zamknięciu wyglądała trochę upiornie i bardzo, bardzo cicho. Obsługa już dawno opuściła halę, podłogi lśniły czystością, a odgłosy kroków Żeromskiego i pracownika, którego miał zmienić, niosły się echem po olbrzymim pomieszczeniu.

– Paweł jestem. Powiem ci o najważniejszych rzeczach i spadam do młodej żonki – mówił mężczyzna. – Alarm działa tylko na drzwi wejściowe, więc możesz spokojnie chodzić po

wnętrzu. A jakby coś się działo, na przykład pożar, to kod jest zero, zero, zero, zero. Ogólnie możesz siedzieć w okolicy informacji czy reklamacji, ale raz na godzinę, no, mniej więcej, rób obchód. To nie jest jakaś cholernie trudna praca, możesz sobie przynieść krzyżówki albo mały telewizorek. Kamery ni- by są, ale nie nagrywają, pokazują tylko obraz w czasie rzeczywistym, więc się w ogóle nimi nie zajmuj. Cholera, nie powinienem być tego mówić.

– Nie ma sprawy – uspokoił go Żeromski. – Mam wy- biórczy słuch i akurat tego nie słyszałem.

– To dobrze – zaśmiał się Paweł. – To ja spadam. Koło szóstej powinien przyjść kolejny, żeby cię zmienić. I nie zajmuj się, na początku tutaj wszystko brzmi dosyć niepo- kojąco, drewno trzaska, podkładki się obsuwają, ten budynek żyje nocą, ale na pewno nie ma tu żadnych duchów. Po jakimś czasie się przyzwyczaisz.

– Dzięki, stary. Ta praca dużo dla mnie znaczy – zapew- nił go doktor fizyki.

– To ja spadam – powtórzył Paweł, odwrócił się i po chwili znikł za drzwiami.

*

Robert Żeromski został zupełnie sam, nie licząc duchów przeszłości i wielkich nadziei.

Było kilka minut po dziesiątej, a to oznaczało, że miał osiem godzin na sprawdzenie wszystkich zakamarków Casto- ramy. Jeśli nic nie znajdzie, będzie miał jeszcze czas na po- rządąną drzemkę.

Bez wahania skierował się w stronę alei, w której wisia- ło kilkadziesiąt par drzwi. Były wewnętrzne i zewnętrzne,

drewniane i metalowe, pełne i przeszklone. Brzydkie i ładne. A za którymiś z nich...

Nacisnął klamkę i pociągnął pierwsze z brzegu drzwi. Za nimi znajdował się tylko podtrzymujący stelaż i metalowa ściana. Niezniechęcony pierwszą porażką Żeromski zaczął otwierać kolejne; drugie, trzecie, czwarte... Przy piątym zaczął wyrzucać sobie własną głupotę i naiwność, i właśnie wtedy dotknął okrągłej, lśniącej metalowej gałki, która okazała się lodowato zimna. Zaskoczony przekręcił złotawy metal i z rozmachem pociągnął za uchwyt. Po drugiej stronie przejścia szalała śnieżycą i, prawdę mówiąc, niewiele było widać. Żeromski zamarł, patrząc na przewalające się sterty śniegu i delikatny zarys wysokich gór na horyzoncie. Zamknął drzwi. Otworzył. Śnieg nadal padał. Zatrzymywał się na granicy framugi, jakby jakaś bariera powstrzymywała go przed wpadaniem do wnętrza sklepu.

Kierując się odruchem, doktor fizyki i chemii włożył dłoń przez metalową ramę i wyciągnął ją w tym samym momencie, czując, jak ciało przymarza mu do kości.

Zachowałem się bardzo nieprofesjonalnie, zganił się w myślach, trąc przemarzniętą w kilka sekund rękę.

A więc jednak sława i bogactwo! – miał ochotę krzyknąć, kiedy inna myśl przykuła jego uwagę. Zaraz, zaraz... Ten student mówił coś o pustyni, czyżby występowały aż takie różnice temperatur?

Podbiegł do następnych drzwi i otworzył je gwałtownie. Z wewnątrz wyglądała na niego gwiazdzista noc. Nawet nie zamykając poprzednich, zaczął otwierać na oścież kolejne i kolejne, po obu stronach długiego i wysokiego korytarza. A wewnątrz co którejsz z otworzonych przestrzeni zamiast sklepowych półek natykał się na co innego: zielone pola, bujną

dżunglę, słoneczną prerię, drzewa w deszczu, wielki wodospad, noc nad urwiskiem, słoneczną plażę, lodowiec, jaskinię i w końcu trzy zielone słońca i dwa niebieskie księżyce zawieszane wysoko nad pustynią.

Zatrzymał się przy końcu alei, z dłońmi opartymi na kolanach, niezdolny do złapania tchu. Dopiero po jakimś czasie odważył się odwrócić głowę i spojrzeć przed siebie w długi korytarz.

Chyba będzie potrzebował pomocy.

Drżącymi dłońmi wyciągnął telefon z kieszeni i zastanowił się głęboko. Do kogo mógłby... kogoś godnego zaufania, lekko szalonego i potrafiącego trzymać gębę na kłódkę...

W końcu zdecydował się na dwie osoby i wybrał pierwszy numer. Po kilku sygnałach rozległ się zaspany głos:

– Robert, kuźwa, czy ty wiesz, która jest godzina?!

– Godzina chwały... – wychrypiał Żeromski w słuchawkę.

*

– Zero, zero, zero, zero – powtarzał półgłosem Żeromski, wystukując o drugiej nad ranem kod do bocznych drzwi. Za nimi, paląc papierosa, stał Adam, jego najlepszy przyjaciel jeszcze z czasów studenckich.

– Doszedłem do wniosku, że nic mi tak nie poprawi nastroju jak obudzenie kogoś innego w środku nocy. Więc zdążyłem zirytować kilka osób i przyprowadziłem pomoc – powiedział, wskazując jeszcze troje kolegów, ziewających i pocierających ramiona z wyrazem niedowierzania na twarzy. Pewnie każde z nich zastanawiało się, jak dało się namówić na to szaleństwo i co tu właściwie robi.

– Ale czy... – zaniepokoił się Żeromski.

– Ręczę za nich – odpowiedział Adam. – Sama śmietanka, której jeszcze nie wyłapali goście z psychiatryka. Nie raz udowodnili, że można na nich polegać. A jeśli to, co mówisz, jest prawdą, przyda ci się każda para rąk. I jak najwięcej sprzętu. To jest Michał, tamten zmarznięty to Krzysztof, a to w kapturze to Anka. Każde z nich obudzone w środku nocy wyrecytuje ci tablicę Mendelejewa, choć pewnie Ance musiałyś za to zapłacić. Interesowna kobitka, ale spec w swoim fachu. Możemy wejść? Zimno...

– Jasne. – Żeromski odsunął się od drzwi, wpuszczając przybyłą czwórkę do sklepu. – Alejka czterdzieści dwa.

– Dobra, to jedziemy z tym koksem. – Kobieta przedstawiona jako Anka ściągnęła kaptur i ruszyła w głąb sklepu. – No już, panowie, ruchy, ruchy! Nie mamy całej nocy!

Posłusznie podążyli za nią.

*

Żeromski pokazał swoim współnikom, co odkrył.

– Mam tu wszystko rozpisane i ponumerowane. – Michał plikiem kartek. Wolną dłonią nacisnął klamkę. – O, proszę. Numer siedem. „Wodospad”.

Szarpnął. Po drugiej stronie była ściana wody – szumiąc i porykując, spływała za framugę i znikwała w innym świecie.

– O cholera – wyrwało się Krzysztofowi, który odruchowo wyciągnął rękę w stronę wodospadu.

– Nie dotykaj! – Robert szybko zamknął drzwi. – Kto wie czy to nie jest silnie żrące. – Nie wspomniał o tym, że sam prawie odmroził sobie rękę. – Nie miałem przecież ani czasu, ani sprzętu, żeby to zbadać. Sami rozumiecie, mamy ograni-

czone możliwości, w środku nocy, w Castoramie.

– Gdyby tak można było przebadać to w warunkach laboratoryjnych... – rozmarzył się Michał.

– A nie można? – zapytała Anka.

– No jak? – Adam uśmiechnął się sarkastycznie.

– Wy tak serio? – Kobieta popatrzyła zdumiona po towarzyszach. – A odkręcić tego i wynieść to, przepraszam, nie można? Podmienić na jakieś inne drzwi? Przecież to tylko głupia ruchoma wystawa.

Adamowi ugięły się kolana.

– Kobieto, wyjdź za mnie! – zawołał, uciszony szybko przez rozglądającego się trwożliwie Roberta.

– Później, Adam. – Machnęła ręką. – Teraz trzeba jakoś ściągnąć te drzwi. Ktoś wie, jak to jest zamocowane?

*

– No dobra, ale warto było spróbować.

Siedzieli zniechęceni na podłodze, po dobrej godzinie szarpania się z drzwiami, za którymi znajdował się świat oznaczony jako „Dżungla”. Kiedy w końcu udało im się zdjąć ze stelaża przejście do innego wymiaru, okazało się, że drzwi wróciły do swoich normalnych właściwości i po otwarciu pokazywały tylko wnętrze sklepu. Przechylali je, stawiali w innych miejscach, potrząsali nimi i kładli w poziomie. Nic nie działało. Po równie mozolnym i długotrwałym zawieszaniu drzwi na miejsce ciemnozielony las wrócił. Przez otwarte przejście widzieli, jak nad dżunglą przeleciało coś, co mogło być niebieską papugą z głową ryby.

– Przynajmniej go nie zepsuliśmy – westchnął Żeromski.

– Przynajmniej wiemy, że jest tam powietrze – dodał

Adam pocieszająco.

– No nie wiem – burknęła wciąż spocona Anka. – Chole-
ra wie, czym to coś oddychało.

Tej nocy odechciało im się dalszych eksperymentów.
Wciąż byli pozytywnie zszokowani, ale jednocześnie zmęczeni
i lekko zniechęceni.

– O której jutro? – zapytał Adam na odchodnym.

Żeromski zastanowił się.

– Koło dziesiątej, jedenastej? I pomyślcie, kogo ewentu-
alnie można by wciągnąć w projekt.

– I skąd wziąć przyrządy badawcze – dodał Michał. –
Może nie da się wynieść tych światów, ale przecież taki dro-
biazg nas nie powstrzyma!

Podniesieni na duchu naukowcy rozjechali się do do-
mów. Robert zamknął za nimi drzwi i wrócił na stanowisko
stróża. Rano z lekkiego snu obudziły go kroki zmiennika.

*

Od odkrycia drzwi minęły ponad dwa tygodnie. O tym,
że dzieje się coś niecodziennego, mogliby co nieco powiedzieć
studenci doktora Żeromskiego, traktowani ostatnio wyjątko-
wo ulgowo przez wykładowcę, który zamiast katować ich
formułkami, drzemał na zajęciach, oraz właściciele sklepów
zoologicznych w całym województwie, którzy do ostatniej
wyprzedali białe myszki. Także mieszkańcy bloków stojących
niedaleko Castoramy, wyprowadzając wieczorem psy, mogli
zaobserwować podejrzany ruch pod sklepem dawno po jego
zamknięciu.

Anka już drugiej nocy stwierdziła, że pozostawianie aut
na pustych miejscach postojowych pod marketem szybko

ściągnie im na kark policję albo zarządzających sklepem. Dlatego też między okolicznymi blokami około dwudziestej drugiej zaczynały pojedynczo parkować zupełnie nieznane mieszkańcom osiedla samochody. Wysypywali się z nich ludzie w okularach, ściskający w dłoniach metalowe teczki lub niosący pudła o dziwnych kształtach. Przebiegali przez parking i wpadali do wnętrza Castoramy, czujnie rozglądając się na boki. Wewnątrz sklepu szybko kierowali się do alei z drzwiami, gdzie rozbrzmiewały podekscytowane głosy.

– No wreszcie – westchnął Robert Żeromski, kiedy jedna z rozstawionych na korytarzu maszyn pisnęła trzykrotnie. – Czy ktoś może zapisać? Michał, tak? Czym się zajmujesz?

– Ja... ja jestem biologiem, ale tutaj to drzwiami numer trzy i siedem. Znaczy, dokładniej rzecz biorąc, glebę.

– A, nie, wyniki są z ósemki. Kto jest od ósemki? Halo?! Nie róbcie przestojów! Nie mamy całej nocy! – Żeromski powtórzył nieświadomie hasło przewodnie jedynej kobiety w grupie.

Obok niego stał dryblas w niebieskiej dzinsowej kurtce.

– Suszarnia jest zajęta – mówił do grubasa w białym fartuchu. – Tosty z serem się robią. Jak będą gotowe, możesz tam wsadzać swoje próbki, ale wcześniej zapomnij.

– Ale...

– Zapomnij, mówię!

Niedaleko, siedząc za przyniesionym z działu ogrodniczego stolikiem, całkowicie zavalonym notatkami, doktor fizyki jądrowej mamrotał do profesora chemii:

– ...ale warto zwrócić uwagę, że wraz ze wzrostem ciśnienia dawka promieniowania zmniejsza się, tak więc w dzień, który trwa według obliczeń czternaście godzin i cztery minuty, warstwa atmosfery ulega poszerzeniu.

– Hm... – mruknął tylko ten drugi.
– Czy ktoś ma wyniki neutronków z DAN-a? – rozległo się z końca korytarza.

– Ósemka od gleby! – rozdarł się znowu Żeromski.

– Jestem, jestem! – W końcu zjawił się jakiś chudzielec z wyraźnymi zakolami na czole, podciągał właśnie spodnie.

– Trzymaj. – Żeromski podał mu jeszcze ciepły wydruk.
– Nie znikaj tak albo wyznacz zastępcę. Kto następny do badań? Czwórka?

Chudzielec szybko zlustrował wzrokiem wynik badania.

– Woda, siarka, chlor... – mruczał pod nosem, odchodząc w głąb korytarza. Po drodze minął jednego ze starszych naukowców.

– Prędkość wiatru, kierunek wiatru – sprawdzał tamten, stawiając ptaszki na papierze. – Ciśnienie powietrza, wilgotność względna, temperatura powietrza, temperatura gruntu... a, jest. Temperatura gruntu. Intensywność promieniowania ultrafioletowego...

– Praca wre, no nie? – Przy Żeromskim przystanął jego przyjaciel, chrupiąc tost. – To będzie odkrycie, które przewróci dotychczasową naukę do góry nogami. Będziesz kolejnym Einsteinem. Albo Newtonem.

– A może w końcu Żeromski przestanie być kojarzony wyłącznie z nudną literaturą szkolną – odpowiedział przywódca akcji badawczej. – Spójrzmy prawdzie w oczy, bez ciebie nic by z tego nie wyszło. Razem zdobędziemy świat. Jak Żwirko i Wigura, dostaniemy pomniki, nazwą ulice na naszą cześć...

Adam Mochomorski uśmiechnął się pod nosem. A podobno Robert nie był marzycielem i idealistą.

– Żwirko kręci z Mochomorkiem? – spytała Anka, prze-

chodząc obok ze stertą pudeł i puszczając w ich stronę oko.

Żeromski uśmiechnął się, natomiast Adam lekko poczerwieniał.

– Pomogę ci! – Szybko przełknął ostatni kawałek tostu i pobiegnął za nią.

*

Badania dwunastu w sumie światów trwały co noc, od godziny dwudziestej trzeciej, kiedy to nocny cieć Robert zamieniał się w naukowca Żeromskiego i wpuszczał kolegów do środka Castoramy, do godziny piątej rano, gdy na dźwięk gwizdka wszyscy w panice pakowali się i uciekali, zanim któryś z pracowników porannej zmiany pojawił się w sklepie. Szłoby im o wiele szybciej, gdyby nie niedobory w sprzęcie, który i tak w większości „pożyczali” z jednostek naukowych, w których pracowali, i fakt, że co noc musieli rozstawiać wszystko od nowa. Cierpiała na tym również ich reputacja w dziennej pracy oraz stosunki towarzyskie i rodzinne. Naprawdę trudno było im logicznie wytłumaczyć, gdzie znikają na całe noce. Ale żaden z nocnych badaczy nie żałował swojego postępowania ani przez chwilę. Wiedzieli, że to, co teraz robią, jest niepowtarzalne. Porównywalne do udanego lądowania człowieka na Księżycu. I że ich nazwiska zapiszą się w historii świata. Staną się nieśmiertelni. A jak wszystko pójdzie dobrze, patrząc już z praktycznego punktu widzenia, również obrzydliwie bogaci.

Musieli tylko...

*

...przeżyć okres badań. Po kolejnych trzech tygodniach mozolnego studiowania dwunastu odkrytych światów, dwóch pozwach rozwodowych, trzech zwolnieniach z dziennej pracy, kilku zaśląbnięciach, jednym załamaniu nerwowym oraz jednym niegroźnym wybuchu i niezliczonej wręcz ilości awantur urządzanych przez mężów, żony, teściów, dzieci, pracowników i współpracowników nocni badacze doszli do pewnych wniosków.

– Przy obecnych środkach finansowych oraz sprzęcie, jaki posiadamy lub możemy zdobyć, musimy odrzucić dalsze badanie następujących drzwi – zaczął szef Ekspedycji Castoramiańskiej Robert Żeromski. – Pięć, kod badawczy „Preria”, z powodu zbyt wysokiej temperatury, przy której ścina się biało. Wykazały to badania temperatury powietrza wykonane za pomocą sprzętu z uniwersytetu kolegi Zbigniewa oraz jedna martwa mysz. To samo z numerem sześć. Niegroźnie wyglądające opady w obiekcie badawczym „Las” okazały się silnie żrące dla wszystkiego, co próbowaliśmy wstawić do środka, nie tylko dla obiektów biologicznych, ale również plastiku i metalu. Jak wiecie, wstępne badania były przeprowadzane przy „słonecznej” pogodzie, dlatego nasza czujność została uśpiona i podczas opadów straciliśmy jeden chromatograf gazowy. Numer konta, na które przyjmujemy wpłaty za sprzęt kolegi Romka, podam na koniec spotkania.

Przerwał na chwilę i podrapał się po głowie, przyglądając się uważnie słuchaczom. Jedenastu śmiałków, którzy zmieniają historię świata i postrzeganie rzeczywistości. Kto by pomyślał, że tyle prawdy kryje się w słowach, że wszystko jest względne...

Rozmyślenia przerwało mu kasznięcie jednego ze współpracowników.

– A tak. – Spojrzał na kartkę. – Nie wiemy, co jest za wodospadem w numerze siedem, niestety, wszystkie łąziki pozostają poza naszym zasięgiem, a samochodek na baterie synka Michała nigdy nie wrócił. Odpada dziewiątka, toksyczne opary nad „Plażą” są chwilowo nie do pokonania. Tak samo jedenastka, „Jaskinia”. Niby wszystkie badania w normie, ale dwie myszy, wstawione w różnym czasie, wybuchły w momencie przetransportowania przez framugę. Nawet nie było czego badać, wszystkie resztki biologiczne wyparowały. Możemy przypuszczać, że dwunastkę, „Zielone Słońca”, próbował zbadać ktoś przed nami, jednak wszelki słuch po nim zaginał. Świat jest w każdym razie otwarty na dalsze badania. Uczcijmy mi-nutą ciszy pamięć naszego młodego, choć zapalczywego kolegi Mariana.

Przez chwilę było słyhać tylko posapywanie i sporadyczny kaszel.

– Dobrze, a teraz konkrety. – Twarz Żeromskiego rozjaśniła się w uśmiechu. – Pozostają nam światy numer jeden, dwa, trzy, cztery, możliwe, że siedem, osiem, dziesięć i dwanaście, co daje nam... osiem dużych obiektów krajobrazowych do zbadania. Niech każdy z was przemyśli, czy czuje się na siłach, żeby podjąć osobiste badanie jednego ze światów. Wiemy mniej więcej, jakie są tam warunki atmosferyczne, grawitacja, różnice temperatur i przy odpowiednim sprzęcie, który jesteśmy w stanie zgromadzić własnymi siłami, te światy są możliwe do empirycznego i bezpośredniego badania. Nikogo oczywiście nie zmuszam do stawiania tak wielkiego kroku dla ludzkości. – Przerwał dla lepszego efektu. – Jednak ciąży na nas obowiązek wobec cywilizacji i historii, by przekazać światu dokładne i prawdziwe wyniki naszych działań. Dlatego jeśli ktoś z was się zdecyduje, niech pozamyka swoje sprawy.

Nie mogę dać gwarancji, że wszystko pójdzie gładko, ale już teraz jesteście bohaterami...

Wziął głęboki oddech. Układał to przemówienie od dwóch dni podczas dyżuru na uczelni. Chyba wyszło całkiem nieźle, o ile mógł to ocenić nieszczególnie humanistycznym umysłem.

Tym razem cisza była dłuższa. Kilku naukowców zaczęło się niespokojnie kręcić na zbudowanych naprędce ze sprzętów sklepowych siedziskach.

– A co mi tam, jak to mówią, ryzyk-fizyk – odezwał się nagle magister fizyki Marcin Wroński. – Żony nie mam, dzieci też, zarabiam tysiąc trzysta na rękę, i to jeszcze na umowę o dzieło. Jak mam do wyboru wyjazd do Niemiec albo to, zawsze wybiorę przygodę jak z Lema. Co poradzę, idealistą jestem...

I właśnie ten człowiek przełamał uprzedzenia i niepewność wszystkich.

– To ja wybieram drzwi numer jeden, góry to moja miłość! – zawołał ktoś z tyłu. – Albo ostatecznie dziesiątkę, z lodowcem! Zawsze chciałem iść na biegun.

– Zaklepuję sobie niebieskie księżycy nad pustynią! – powiedział zdecydowanym głosem przyjaciel Żeromskiego, ten sam, który nieco ponad miesiąc temu pytał niegrzecznie przez telefon o powód dzwonienia o tak późnej porze. Mochomorski poczuł się właśnie jak bohater literackiej epopei. Oczy zaszklily mu się wyraźnie, kiedy przypomniał sobie własne studia, spędzane na picciu bimbrow i czytaniu książek fantastycznych. To dopiero były czasy.

Wciąż będąc w podróży sentymentalnej, powiedział ledwo słyszalnie, oczami wyobraźni widząc własne wspaniałe przygody:

– Człowiek w czerni uciekał przez pustynię, a rewolwe-

rowiec podążał w ślad za nim...

Żeromski przyglądał się temu pospolitemu ruszeniu z mieszaniną ciekawości, radości i zdumienia. Sam chyba nie miałby odwagi przejść przez którekolwiek z tych drzwi. Był teoretykiem. Znał się na liczbach i wykresach, ale zatrudnienie się w Castoramie było prawdopodobnie szczytem jego możliwości, jeśli chodzi o niecodzienne działania.

– Jutro wszyscy mają wolne! – zawołał ponad rosnącym gwarem głosów. – Spotykamy się pojutrze o tej samej porze!

*

– Nie zapomnijcie o rzeczach niezbędnych do wyprawy: ubraniach i jedzeniu – powtarzał szef ekspedycji za każdym razem, gdy ochotnicy szykowali się do konkretnych wypraw. – To samo ze sprzętem. I pamiętajcie, że możecie się dowolnie zaopatrywać tutaj, na miejscu. Każdy musi czymś znaczyć drogę do drzwi, żeby wiedzieć, dokąd wrócić. Aha, niech wszyscy wezmą dwa zegarki, jeden elektryczny, drugi na baterie, a jak macie mechaniczny, to już w ogóle najlepiej. Nie wiadomo, który akurat zadziała. Jak czegoś nie będziecie mieli, dzwońcie, do kogo się da!

*

– Jesteś pewien, że chcesz tam iść? – martwił się Robert, siedząc wraz z Adamem na pudle z linami. Dzień, a właściwie noc wyruszenia nadeszła niespodziewanie szybko.

– Jak stwierdził nasz młody kolega, ryzyk-fizyk – odpowiedział Mochomorski, przeciągając się. Miał na sobie spodnie moro i podkoszulkę zespołu Survivor. – Czuję, że to właśnie

muszę zrobić. Całe życie czekałem na jakiś znak z niebios, że nie jestem tylko zwykłym przeciętniakiem i zostałem stworzony do wyższych celów. Bardziej wyraźnego sygnału już raczej nie dostanę.

Dalsze uzalanie się Roberta przerwała Anka, rzucając między nich wypakowany stary plecak.

– Cześć, tygrysie. Gotowy do drogi?

Brwi Żeromskiego i Mochomorskiego jednocześnie powędrowały do góry.

– Kto? – zapytał Robert.

– Ja? – zakończył zdumiony Adam.

– Survivor? Błagam, nie mów, że jesteś jednym z tych gości, którzy noszą T-shirt z nazwą zespołu, bo ma fajny obrazek – powiedziała, robiąc kilka przysiadów.

– Nie jestem – zapewnił ją Mochomorski.

– To dobrze, bo już chciałam odwołać kolację ze śniadaniem na pustyni. Widzimy się przy dwunastce. – Chwyciła plecak i ruszyła do alejki z drzwiami.

– Nie mówiłeś, że coś jest między wami! – zdenerwowała się Żeromski, kiedy tylko kobieta znikła za rogiem.

Adam siedział z otwartymi ustami. W końcu zamknął je za pomocą dłoni.

– Sam się dopiero dowiedziałem. Nie ma mowy, żebyś mnie powstrzymał przed pójściem do równoległego świata! Sam widzisz, znaki, same znaki!

Zerwał się ze skrzyni.

– Idę jeszcze wziąć z półek kilka rzeczy, które mogą nam się przydać. Nie masz nic przeciwko?

– Ja? Skąd – odpowiedział Żeromski. – Jestem tu na fałszywych papierach, teraz kartoteka już tylko rośnie. – Machnął ręką. – Idź, idź.

– Dzięki!

*

Ocenili ryzyko dokładnie. Rozpisali wszystkie wady i zalety. Mieli dokładny plan oparty na regułach stworzonych przez NASA. Przeprowadzili działania mające zminimalizować straty i byli przygotowani na wszystko, co mogło ich spotkać w innych światach. We wszystkich, tylko nie w tym, w którym sami żyli.

*

Miniwyprawy jedno-i dwuosobowe po kolei zniknęły za drzwiami, znacząc swoją drogę powrotu i przysięgając na życie własne, matek, ojców i członków rodzin na trzy pokolenia w każdą stronę, że znajdą się pod tymi samymi drzwiami za dwadzieścia cztery godziny.

W końcu okazało się, że większość postanowiła iść. Z jedenastki, która przeprowadzała badania, z Żeromskim postanowiła zostać tylko dwójka: jedno miało dziecko, a drugie całkiem atrakcyjnie rozwijającą się karierę pisarską.

– Wrócimy, zanim się obejrzysz – powtarzał po raz kolejny Adam, zerkając przez ramię na kobietę, z którą miał iść. Siedziała już z nogami zwisającymi przez framugę i wyraźnie się niecierpliwiła. – No nic, lecę. Przyniesiemy wam próbki, obce formy życia i tak dalej.

Zdażył już przejść przez drzwi i je zamknąć, gdy światła w Castoramie nagle rozbłysły jasno.

– Co, do cholery... – zaczął Robert, zerkając na zegarek. Była dopiero pierwsza w nocy.

– Od wielu dni coś tu się dzieje – usłyszeli głos niosący się po hali. – Meldowałam to już wcześniej, panie władzo. Ja tu co wieczór chodzę z pieszkiem i...

– Dobrze, zaraz to sprawdzimy – odpowiedział inny głos.

– Nic się tu nie dzieje, nie zgadzam się na interwencję policji w moim sklepie! – Trzeci głos był wyraźnie zdenerwowany.

Robert nie stracił głowy.

– Schowajcie się gdzieś – rzucił w stronę dwójki naukowców stojących obok niego – a ja do nich pójdę.

– Ale co zrobimy z tym? – Medyk-pisarz zatoczył ręką koło, pokazując na poustawiane po całej alejce sprzęty badawcze i narzędzia oraz nadmiar ekwipunku, wszystko zostawione przez badaczy.

– Robert! Robert, gdzie jesteś? – wołał pracownik Castoramy. Po sile głosu dało się stwierdzić, że zbliżał się do alei z drzwiami.

– Cholera, nie mogę być aresztowany, nie teraz! – syknął Żeromski. – Potrzebuję jeszcze dwudziestu czterech godzin!

– Szybko, do trójki! Schowamy się tam i przeczekamy! – Jeden z naukowców rzucił się do uchylonych drzwi.

– Ale jak wrócimy? – pisał pisarz. – Ta bariera...

– Wystarczy, że jeden z nas wystawi kawałek stopy albo palec, wtedy nadal będzie miał kontakt z tym światem i jak sobie pójdą, to wyjdziemy – nalegał jego kolega, stojąc już na zielonym polu i ponaglająco machając do nich ręką.

– Szybko nie znikną, jak to wszystko znajdą – mruknął Robert, podążając za współnikami przestępstwa. – Lepsze to niż noc w areszcie. Musimy tu zostać, żeby wyciągnąć innych. Do środka, już!

Zdążyli przymknąć drzwi do świata, w którym się schronili, gdy w aleję czterdzieści dwa wszedł policjant z rozbudzonym już pracownikiem sklepu.

– Co, do...

– Ależ tu macie burdel – zauważył mundurowy.

– Przecież nie było tego wieczorem! – Drugi mężczyzna zdenerwował się jeszcze bardziej. – Robert! Rooooo-beeeeert!

– A nie ma jakiejś krótkofalówki? Jak sprawdzacie, co robią wasi ludzie w czasie pracy? – mruknął policjant, oglądając stojące na podłodze pudła. – Same uczelniane sprzęty, zobacz pan, Politechnika Warszawska, Łódzka, Uniwersytet Wrocławski... Mają nawet plakietki z numerami sal. Podejrzanę to wszystko...

Rozejrzał się dookoła.

– Dobra, zadzwonię po kolegów. Jutro państwo nie otwierają. Trzeba zabezpieczyć teren i dowody – powiedział w końcu. – A za tym waszym Robertem, jak będzie trzeba, rozesłemy listy gończe. Macie gdzieś jego papiery i zdjęcie?

– Tak, wszystko jest w administracji... – Z kierownika zmiany uszło całe powietrze. – Jakieś przekleństwo z tymi pracownikami z nocnej zmiany, to już drugi w tym kwartale...

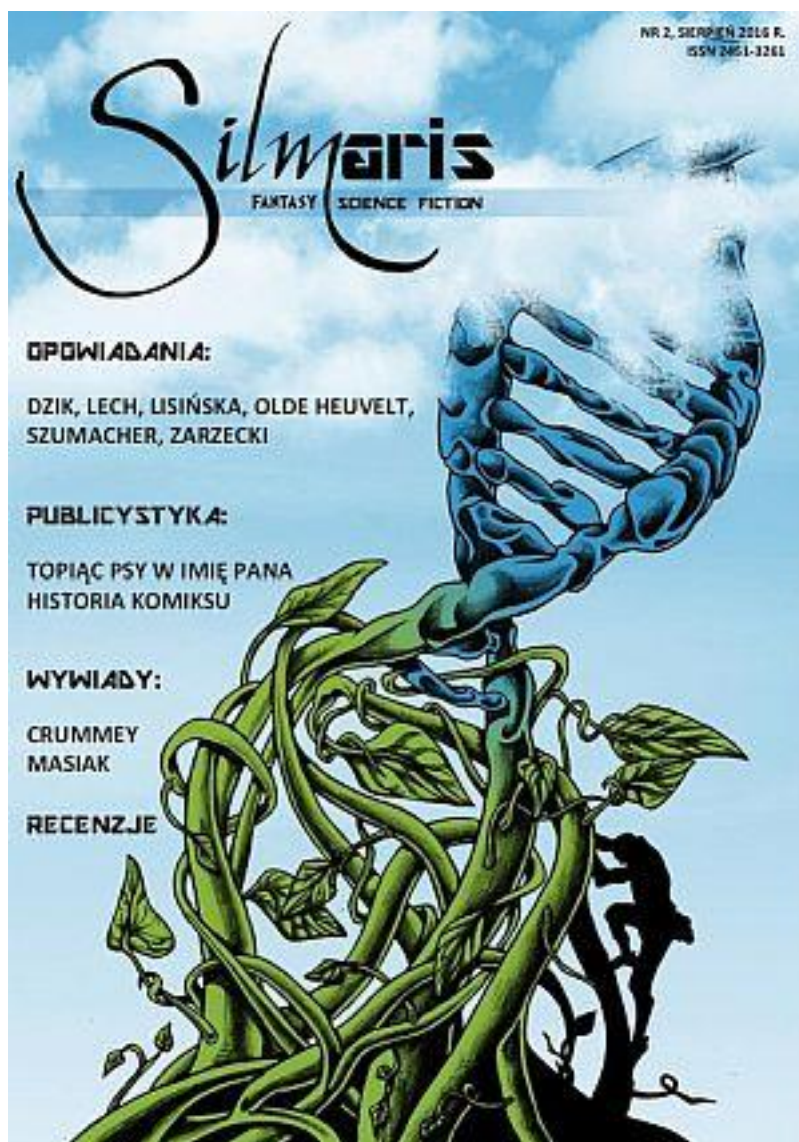
– Życie – skwitował policjant i ruszył wzdłuż alei. Odruchowo, z wrodzonej pedanterii, zamknął uchylone drzwi wiszące na wystawowym regale. Nieoliwione zawiasy jęknęły jak ranny człowiek.

Policjant schował dłonie w kieszenie i czym prędzej ruszył za pracownikiem Castoramy. Nigdy więcej nie weźmie nocnej zmiany. Co za upiorne miejsce, kiedy jest takie zupełnie puste. Człowiek aż się boi pomyśleć, co kryje się za najbliższymi drzwiami.

2017

Anna Szumacher

To byliśmy my



Opowiadanie ukazało się w magazynie *Silmaris* 2/2016

Trudny fach bohatera

Bohater szedł główną ulicą miasta. Prężył natarte oliwą, lśniące w słońcu muskuły, błyskał do co ładniejszych mieszkańek wybielonymi zębami i od czasu do czasu wymachiwał wypolerowanym mieczem. Kiedy doszedł do najbliższego skrzyżowania, przejechał go czterokonny wóz pocztowy.

Chwilę później został opadnięty przez tłum ludzi, którzy przestali wiwatować, natomiast wykazywali wyjątkowe zainteresowanie fantami, dającymi się zebrać po wypadku. Nikomu nie przyszło do głowy, by go ratować. Nikt nie przeżyłby czegoś takiego. Nawet prawdziwy bohater.

— To już drugi w tym miesiącu... — zauważyła lekko skonsternowana dziewczyna, zamykając okienko na piętrze, przez które do tej pory wyglądała. Odwróciła się, obrzucając wzrokiem niewielkie i zatęchłe wnętrze. Łóżko wyglądało na zamieszkane przez istoty z czułkami i niepoliczalną wręcz ilością nóg, więc tobolek znaczący miejsce jej noclegu leżał na podłodze, w rozsądnej odległości od zatłoczonego już wystarczająco materaca.

— Trzeci — poprawił ją, siedzący na jedynym w pokoiku krześle, szczupły mężczyzna. — Był ten, co go ktoś niechcący zadźgał w karczmie koło mostu, nie wiedząc, że to bohater. — Zaczął wyliczać, odginając palce. — Ten, na którego spadła krowa i...

— Ostatniego załatwił listonosz — przerwała. — Cholera, ominął mnie ten z krową — dodała z wyraźnym rozczarowaniem. — Łaciata była?

— Brązowa... chyba — powiedział z wahaniem mężczyzna. — Płaska taka. Nie wspominając o jegomościu, który znalazł się pod nią. Ale latająca krowa to w sumie żadna nowina, odkąd na Freuberg spadł wieloryb.

Jasnowłosa dziewczyna usiadła na drewnianym, lekko rozklekotanym stole. Dzięki temu jej głowa znalazła się na tym samym poziomie, co pociągła twarz mężczyzny. Popatrzyła na swojego towarzysza. Piekielny wielkolud i na dodatek zupełnie nieforemny. Długi i tak chudy, że za każdym razem gdy stawał, miała wrażenie, że złamie się w połowie.

— A najgorsze jest to, że postawiłem dwie srebrne monety, że wyjdzie cało poza bramy miasta. Już nie mówię o ratowaniu świata czy czymkolwiek, do czego się zobowiązał, ale do cholery, dwie srebrne! — Mężczyzna walnął w stół, wyrывая dziewczynę z rozmyślań. Jej wzrok powędrował ku pięści towarzysza. W miejscu uderzenia jasne drewno zrobiło się fioletowe.

— Kurna — rzucił, patrząc na swoje nieplanowane dzieło. Podniósł dłoń, rozprostował kościste palce. — Ktoś musi coś z tym zrobić. Życie w tych warunkach jest nie tylko niebezpieczne, ale przede wszystkim nieprzewidywalne.

Dziewczyna tylko pokiwała głową. Odkąd wielki, czarodziejski wybuch zamienił cały zamek Kapituły Magów, wraz z nieszczęsnymi magami wewnątrz, w wielką kostkę mydła konwaliowego, świat zmierzał w nieco niepokojącym kierunku. A luźna i dzika magia już nie wyciekała, ale wylewała się na całe krainy. Człowiek nie znał dnia ani godziny, kiedy wydarzy się coś... no, naprawdę dziwnego.

— Zaraz, zaraz. — Podniosła wzrok na swojego towarzysza. Ten odwzajemnił spojrzenie, wpatrując się w nią jednym okiem żółtym, a drugim niebieskim. — Czy to były nasze

pieniądze na żywność w tym tygodniu?

— No jakby to... — Długie rzęsy przykryły dwukolorowe spojrzenie.

— Tyyyy... — Zerwała się i rzuciła na niego z pięściami.

— Oj! — Pisnął, kuląc się odruchowo. Pierwszy cios rzucał go na łóżko. Drugi nie dosięgnął. Upadając, mężczyzna dosłownie przeniknął przez słomiany materac, z nieprzyjemnym, mokrym plaśnięciem. Chwilę później dało się słyszeć głucho uderzenie ciała o drewnianą podłogę piętro niżej.

— Kurrrr... — Dziewczyna klapnęła na łóżko. Zerwała się, kiedy dobiegł ją protestujący chrobot mieszkańców materaca.

— Żyjesz? — zawołała w kierunku podłogi, strząsając z siebie niewidzialne robactwo. Nie uzyskała odpowiedzi, więc chwyciła broń i z rozmachem otworzyła drzwi, wypadając na niski, karczemny korytarz.

Chudy mężczyzna powoli zbierał się z ziemi, unikając wzroku otaczających go ludzi. W pokoju poza nim siedziało czterech, może pięciu zbirów.

— To... to może ja już będę leciał — Zaczął wycofywać się w stronę drzwi. — To... pa?

Tamci wstali.

— Meeleeeeeee! — zawył.

W tym momencie drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadła szczupła dziewczyna z obnażonym mieczem.

— Hej, wy! — warknęła, wyciągając broń przed siebie i machając nią nieco chaotycznie. Do diaska, dużo ich...

Tamci niespecjalnie przejęli się niewysoką blondynką.

— Zostawcie mojego maga! — wrzasnęła, gdy rozległ się szczęk licznej broni wciąż nieco zaskoczonych mężczyzn.

— Kaspar, na ziemię — dodała ciszej Meele i postąpiła krok naprzód. Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Padł na klepki, zasłaniając głowę dłońmi w momencie, gdy zakręciła pierwszego młynka.

Tak. To byliśmy my.

Kto, komu, kiedy i czym przyłożył

Miejskie igrzyska niezmiennie przyciągały tłumy ludzi, szukających odrobiny rozrywki jako odskoczni od szarej, nudnej codzienności. Z jakiegoś powodu płacenie za miejsce siedzące sprawiało, że walka na arenie wydawała się mieszkańcom miasta o wiele ciekawsza niż podobna bójka wśród straganów, choć te ostatnie oferowały o wiele szerszą i oryginalniejszą gamę dostępnej broni.

Meele była na igrzyskach stałym gościem. Można wręcz powiedzieć, że już ją rozpoznawano.

Splunęła na udeptaną ziemię i otarła usta. Wreszcie przerzuciła miecz do drugiej ręki i zrobiła piruet, ciągnąc końcem ostrza po ziemi. W powietrze wzbił się tuman kurzu. Nie zdążył opaść, kiedy szczupła postać wystrzeliła ze wzbitej przez siebie chmury i z całej siły uderzyła barkiem w dwa razy większego od niej przeciwnika. Wylądowała na całych stopach, obróciła się szybko na pięcie i dla pewności podcięła mężczyźnie nogi. Grubas ubrany w obite metalowymi płytkami skórzane wdzianko jęknął, chwając się. Kiedy upadał, atakująca dziewczyna zamachnęła się i uderzyła go płazem w bok

głowy. Poprawiła włosy, pomachała publice, po czym uklękła oszołomionemu przeciwnikowi na otyłej, unoszącej się nierówno piersi i przyłożyła mu — tym razem już ostrze — do szyi.

— Przegrałeś — zaproponowała. — Zgadzasz się?

Minęło kilka sekund zanim zogniskował na niej wzrok. W świńskich oczkach czaił się błysk, zdradzający, że jeszcze się nie poddał i kombinuje, jak pozbyć się irytującego babsztyla, więc dla pewności przysunęła miecz nieco bliżej wystającej grdyki. Po szyi mężczyzny popłynął strumyczek krwi, która po chwili wsiąkła w jasny piasek.

— Przegrałeś! — powtórzyła ostrzej. — I raczej nie kiwaj głową na potwierdzenie. To jak, poddajesz się?

Zrobił zeza, próbując zobaczyć, co się właściwie dzieje. Zauważył miecz tuż pod swoją brodą.

— T... tak — szepnął po chwili, starając się za bardzo nie ruszać. Nacisk na szyi zelżał.

— Świetnie! — Meele zerwała się na równe nogi. — Następny!

Nie musiała się martwić, że przegrany postanowi podstępnie zmienić wynik walki; wśród widzów stało kilku łuczników, którzy pilnowali uczciwości rozgrywek. Przyznanie porażki kończyło walkę i niejeden, który się temu sprzeciwiał, miał szansę na własnej skórze sprawdzić celność strażników, gdy znosili go z areny z kompletem strzał wbitych głęboko w pośladki.

Jej przeciwnik podniósł się ciężko z ziemi i, bardziej zawstydzony niż wściekły, zwlókł się z areny. W tym czasie Meele w myślach podliczyła zarobione podczas dzisiejszych walk pieniądze. Nieźle, całkiem nieźle. Kupi sobie nowy komplet ubrań, skoczy do sauny i kowala. A potem może jakaś bardziej

wyszukana kolacy...

— Neeeeee... — zawyło coś za jej plecami, przerywając tworzenie planów na popołudnie. — Ja nieeeee chcęęęęę...

Gdy odwróciła głowę zobaczyła wysokiego, długowłosego mężczyznę, drapiącego rozpaczliwie w bramę, przez którą wchodzili zawodnicy. Albo — jak prawdopodobnie było w jego przypadku — zostawali wpychani.

Na pewno jest jakiś inny sposób na spłatę długów! Mam na myśli sensowny sposób!

— Hej, ty! — zawołała w końcu, wywijając mieczem. — Walczysz czy nie?

Ten jakby dopiero teraz zorientował się, że na okrągłym placu jest poza nim jeszcze ktoś. Popatrzył w stronę głosu. Rozglądał się przez chwilę. Opuścił wzrok i zerknął raz jeszcze. Parsknął.

— Aaaa, tutaj jesteś! Mam walczyć z dzieckiem? — rzucił w przestrzeń, odgarniając z twarzy ciemne włosy.

Meele poczuła, że trafia ją szlag. Zwykle puszczała swoich przeciwników co najwyżej poobijanych, ewentualnie niegroźnie pokaleczonych, ale tego idiotę chyba naprawdę skrzywdzi.

— Zaraz zobaczysz, co to dziecko potrafi — warknęła, ruszając szybkim krokiem w stronę oponenta. Uniosła broń do ataku.

Mężczyzna przez chwilę patrzył, jak się zbliża, po czym rzucił się do ucieczki. Przystanęła zdumiona, obserwując jego pokraczną, choć sprawną rejteradę. Pobieгла za nim.

*

Po jakimś czasie odkryła, że trafiła na przeciwnika może

nie godnego siebie, ale za to cholernie sprytnego. Nie było określonego czasu walki. Jedna ze stron poddawała się albo ginęła, a długowłosej najwyraźniej nie zamierzał skorzystać z żadnej z powyższych atrakcji. Był od niej szybszy i wyglądało na to, że się nie męczy, a nie mogła po prostu stać kilkanaście stóp od niego i rzucać w jego kierunku mieczami, aż w końcu trafi. Z prostej przyczyny: nie miała tylu mieczy.

— Nie wygłupiaj się! — wrzasnęła do stojącego w bezpiecznej odległości mężczyzny. — Nie chcesz walczyć, to się poddaj!

— Sama się poddaj! — odkrzyknął, rzucając spłoszonym spojrzeniem dookoła. Nie był uzbrojony i nerwowo przebierał długimi palcami. — Potrzebuję pieniędzy!

— Ja też! — zawołała Meele i ponownie ruszyła w jego stronę. W końcu go przecież złapie.

Długie włosy uniosły się w powietrzu, kiedy rzucił się przed siebie. Prosto na nią. Zaskoczona zwolniła, wietrząc podstęp, a wielkolud z szerokim uśmiechem padł na ziemię i złapał coś, co wyglądało jak niewielka, piaskowa jaszczurka.

— Ta walka jest moja! — krzyknął, miażdżąc biedne zwierzątko na oczach Meele. — Miło było, a teraz żegna...

Gwałtowny powiew wiatru zagłuszył słowa mężczyzny, wywiewając pomiędzy jego palców sproszkowane szczątki jaszczurki. Meele przymknęła powieki, kiedy zawiąło jej piaskiem w oczy. Odruchowo odskoczyła na bok i przetoczyła się po ziemi. Przecież nie da się nabrać na własną sztuczkę.

— Oszszszlaggg — usłyszała po swojej prawej stronie. Najwyraźniej plan przeciwnika spalił na panewce. Chwilę później dobiegł do niej nieco wyższy i jakby spanikowany głos:

— O szlag, szlag, szlag! Chyba trochę przesadziłem...

Piasek w końcu opadł, ukazując stojącego w zrezygno-

wanej pozie człowieka. Ostrożnie ruszyła w jego stronę.

— Rozejrzyj się lepiej dookoła, zanim zaczniesz mnie dźgać ostrym końcem — usłyszała ponury głos. Mężczyzna spoglądał prosto na nią. Miał dziwne, niepokojące spojrzenie i oczy, tak, oczy w dwóch różnych kolorach. — Szkoda twojej energii — dodał.

Szybko zerknęła na bok, nie zamierzając wpaść w zasadzkę przeciwnika. A potem jeszcze raz, tym razem dłużej. Miecz wypadł jej z rąk.

— Co... coś ty zrobił?! — wydukała ze zgrozą. — Gdzie? Jak?

Mężczyzna tylko wzruszył ramionami.

— Chciałem wysłać cię gdzieś daleko i w ten sposób wygrać walkę. Zamiast tego... — rozłożył szeroko ręce, pokazując świat dookoła.

— Wysłałeś nas oboje?! — wściekła się Meele. — Mag od siedmiu boleści! Czarodziej z Koziej Wólki! Wiesz, że jeśli opuściłam arenę, to oznacza, że... Raczej arena opuściła nas — mruknął, siadając tam, gdzie stał.

— Skąd mogłem wiedzieć, że taka mała magia będzie miała taki zasięg.

— Arena opuściła...

— Razem z całym miastem.

Zrobiło jej się ciemno przed oczami.

— Chyba... chyba sobie żartujesz...

Oparł dłoń na brodzie i zapatrzył się w pustkę dookoła.

— Ale się handlarze zdziwią, jak nie znajdą miasta na końcu drogi. Nie wspominając o mieszkańcach, jak wyjdą poza mury — westchnął. — Mam tylko nadzieję, że nie zaniósło ich poza granice królestwa, bo wtedy mogę mieć drobne kłopoty...

— Drobne. Kłopoty — wycodziła Meele przez zęby,

trzaskając stawami, gdy składała dłonie w pięści. — Na twoim miejscu martwiłabym się raczej tym, co tu i teraz. Popatrzył na nią zaskoczony.

— Nic ci nie przyjdzie z krzywdzenia mnie — powiedział tylko.

— Spraw mi to ogromną przyjemność. — Stanęła nad nim i jedną ręką chwyciła go za koszulę. — A potem wycisnę z ciebie całą kwotę, którą dziś straciłam. Do ostatniej chudej, pogietej, miedzianej monety.

Zrozumienie przyszło za późno. Przed pierwszym ciosem nie zdążył się nawet osłonić.

O uchodzeniu płazem

Każdy, kto cenił swoje życie i majątek, jak ognia unikał leśnej trasy, na której czaili się rozbójnicy Hobba. Oczywiście, byli też tacy, którzy zapuszczali się w niebezpieczne ostępy. Ludzie pewni swej siły jak Meele. Ewentualnie ci, którzy postradali rozum. Krótko mówiąc, idioci.

Książę był właśnie jednym z nich. I to ślepym. No, mocno niedowidzącym — pomyślał Kaspar, patrząc przez łyzy, jak upudrowany arystokrata obejmuje małą wojowniczkę za kolaną i szlochając, wyznaje jej wieczną miłość.

Meele zrobiła się lekko fioletowa, nie wiadomo, z gniewu czy z obrzydzenia.

— Przestań się śmiać i weź coś z nim zrób! — wołała, machając w stronę maga. Ten jednak był bezużyteczny; zwijał się ze śmiechu na środku traktu i z trudem łapał oddech.

A to miał być taki przyjemny i spokojny dzień. Podró-

zowali przez las Entai któryś już raz z kolei. Była to w końcu najkrótsza trasa łącząca cztery sąsiadujące królestwa. Owszem, niebezpieczna dla zwykłych i normalnych śmiertelników, ale, o ile Kaspar i Meele rzeczywiście byli śmiertelnikami, o tyle ich normalność i zwyczajność rozsądniej było podać w wątpliwość. Wiedzieli już o tym wspomniani zbójcy, którzy wcześniej trzy razy spotkali ich na swojej drodze.

Za pierwszym razem to Meele pogoniła kilku młodziców, wyjąc jak potępieniec i wywijając wielgachnym mieczem, aż pogubili drobiazgi skrzętnie poupychane po kieszeniach.

Drugi raz przypadł Kasparowi, bo jego towarzyszka cierpiała na intensywny i uporczywy ból głowy, z pewnością niezwiązany z wizytą w karczmie poprzedniego wieczora. Zgarnął wtedy trochę luźnej magii z popiołu po spalonym przez piorun drzewie i z miną dumnego ojca przyglądał się, jak wizja wielkiego, ognistego byka szarżuje na zmartwiałyach zbójników. Nie przypuszczał, że ktokolwiek może biegać tak szybko.

Za trzecim razem to Kaspar wraz z Meele urządzili zasadzkę na leśnych ludzi. Wojowniczką zeskoczyła z drzewa na niczego nie spodziewającego się herszta, nadgryzła mu ucho, wybiła dwa zęby i posłała długim rzutem przez ramię do zimnej rzeki, zyskując wieczny szacunek i przysięgę zostawienia w spokoju. I rzeczywiście, od tamtej pory Hobb i jego banda trzymali się od dwójki podróżnych z daleka. Aż do dzisiaj.

Tak naprawdę opryszkowie napadli na księcia, jadącego na obrzydliwie spasionym, choć bajkowo białym koniu. Meele i Kaspar akurat tamtędy przechodzili i zrobiło im się trochę szkoda tego biednego człowieka... w każdym razie na pewno będzie biedniejszy, kiedy Meele zainkasuje odpowiednią sumę za uratowanie jego arystokratycznych pośladvów. O ile tylko

uda jej się uwolnić z miłosnego uścisku.

— Kaspaaaar! — zajęczała, podskakując niezgrabnie, by strząsnąć z siebie niewygodny nadbagaż. Ten jednak kurczowo trzymał się nóg dziewczyny i składał na jej kolanach namiętne pocałunki.

Wciąż chichoczący mag podparł się chudymi rękoma i powoli wstał z ziemi.

— Hej, ta księżniczka jest już zajęta! — oświadczył w końcu, podchodząc do księcia. Chwycił go za wyszywany złotem kubrak. Pociągnął. Meele zachwiała się, ale uratowany arystokrata nie zamierzał puszczać. Kaspar pociągnął mocniej. Książę przykleił się na dobre, z całych sił oplótłszy dziewczynę rękoma, zupełnie jakby zamiast rąk miał macki.

— Kaspaaaaaar! — Meele wyła już bez przerwy. — Zabierz to ze mnie, zanim wbiję mu ostrze w sam środek tej żabiej mordy!

Książę rzeczywiście przypominał żabę. Mały, dosyć płaski, z wyłupiastymi oczami, z pewnością nie był podręcznikowym przykładem męskiej urody.

— Nikt nie dojdzie, że to ty go zadźgałaś — zaproponował od niechcienia mag.

Książę w żaden sposób nie zareagował na te, dosyć konkretne w końcu, groźby.

— Wyjdź za mnie! — zamamrotał nagle w okolicy ud dziewczyny, wpatrując się w nią maślanym wzrokiem.

— Neeeeeeeeeeee..... — zaryczała Meele. — Tylko nieeee toooooooo!

Coś zakumkało przy nogach Kaspara. Spojrzał zdziwiony na swoje buty, od rzeki dzielił ich dobry kawałek drogi. A jednak między jego stopami siedziała żaba. Wyrośnięta, spasiona i... przezroczyta?

— Ha! — zawołał i złapał ją, zanim zorientowała się w sytuacji. Kaspar bezapelacyjnie miał szczęśliwy dzień. Magiczna żaba nie.

— Zamknij oczy i nie oddychaj — zakomenderował, zacisnąwszy pięść. Bezwzględnie rozgniół stworzonko, przerywając kumknięcie w połowie. Rozłożył dłoń i wysypał zawartość prosto na głowę żabiego księcia.

Dosłownie.

Uścisk na nogach Meele zelżał nagle, kiedy ręce gwałtownie cofnęły się w kierunku kurczącego się i coraz bardziej zieleniejącego tułowia. W ciszy, choć z wyraźnym zaciekawieniem, patrzyli na to, czego udało się dokonać Kasparowi. Dzika magia działała zawsze, ale praktycznie nigdy nie można było określić, jaki będzie wynik rzuconego przez maga czar. Tym razem oboje musieli przyznać, że efekt końcowy był nad wyraz udany.

— Rraaab. Rraaaaab... — Żaba, a może raczej ropucha wielkości kota, siedziała na środku ścieżki i próbowała wyplątać się z kosztownego stroju pełnego falban i guzików.

— Czy to znaczy, że mogę wziąć jego skarby? — Zza pleców dwójki podróżnych, wciąż wpatrzonych z podziwem w żabsko, dobiegł niepewny głos. Meele odwróciła powoli głowę, ogniskując wzrok na wychodzącym spomiędzy drzew herszcie bandytów. Dwa metry dobrze zbudowanego mężczyzny z bujną, rudą brodą mogły zachwiać pewnością niejednego śmiałka. Jednak dla Meele był to przeciwnik, w którego co najwyżej łatwiej dało się trafić. Sięgnęła po miecz i z sugestywnym zgrzytem wyciągnęła go do połowy z pochwy.

— Hobb — wycodziła przez zęby, idąc ku niemu. — Zrób jeden krok w kierunku tego złota, a księżę bardzo szybko pozyska towarzysza w swojej płaziej niedoli.

Herszt zamarł w pół kroku, patrząc, jak dziewczyna sprawnym ruchem odcina przytroczony do siodła mieszek ze złotem. Klepnęła zwierzę po tłustym zadzie.

— Rumaka możesz sobie zabrać, jak go trochę odchudzicie, może się na coś nada.

Kiwnął głową. To nie był zły podział.

— A książkę? — zapytał, wskazując na siedzącego w atlasach płaza.

Meele wzruszyła ramionami.

— Nie gustuję w żabach. Może znajdzie się jakaś chętna odczynić urok. To do następnego — rzuciła w stronę herszta.

— Moje serce bije szybciej na samą myśl o tym! — zawołał Hobb, machając masywną dłońią na pożegnanie. Drugą gładził nadgryzione ucho. Na jego twarzy zakwitł szeroki uśmiech.

Meele skrzywiła się i szybko ruszyła przed siebie. Musimy zacząć omijać las Entai — powiedziała, kiedy Kaspar pojawił się obok niej. — Od nadmiaru tej całej miłości rozboleła mnie głowa...

Sól w oku

Kaspar siedział na wilgotnym piasku, szczelnie owinięty w długi płaszcz, drapiący, wełniany koc oraz — tak, w sumie we wszystko, co tylko udało mu się znaleźć w bagażu. Gapił się ponuro przed siebie, mniej więcej w miejsce, gdzie morskie fale poetycko całowały brzeg. Dla niego przypominało to raczej makabreskę i zastanawiał się, jak doszło do tego, że się tu w ogóle znalazł.

Nienawidził morza, słonej bryzy i drepczących po piasku spasionych mew. I umierał, z każdą kolejną minutą czuł, że ucieka z niego życie. Skulił się jeszcze bardziej, z trudem powstrzymując szloch.

— Oj, nie dramatyzuj — usłyszał senny głos opalającej się na piasku, mocno roznegliżowanej Meele.

W każdym innym momencie pewnie doceniłby ten widok; jego towarzyszka rzadko była rozbrojona i nie wymachiwała mu przed twarzą olbrzymim mieczem. Ale teraz uwaga maga skupiała się raczej na rozważaniu, czy nie mógłby jeszcze narzucić na siebie wspomnianego kostiumu kąpielowego, by osłonić się przed ostrym, słonym powietrzem. Nie, chyba jednak nie. Mogłaby protestować i na przykład wrzucić go do wody. Brr!

Na samą myśl o tym narzucił koc na twarz i podciągnął kolana pod samą brodę, upodabniając się do jednej z okolicznych skał.

— Nic nie rozumiesz — rozległ się jego przytłumiony głos. — Wiesz, gdzie zabiera się magów, na których chce się wykonać ostateczną egzekucję?

No? — Meeleprzewróciła się na brzuch i podniosła głowę, patrząc na zwały nieruchomego materiału. Kaspar rzadko mówił o świecie magów; podobno było to tak samo niebezpieczne dla niej, jak i dla niego, choć niespecjalnie potrafiła w to uwierzyć.

— Nad morze — burknęła sterta i pisnęła, kiedy od strony wody nadszedł mocniejszy podmuch. Wiatr w ogóle jakby się wzmagął.

— Aż tak was mierzi ten widok? Przyjemnie przecież jest. Świeże powietrze, uspokajający szum...

— Torturę spadających kropel wody też uważasz za

uspokajający dźwięk? — Sterta wydawała się zagniewana.

— No niby nie — przyznała Meele. Poczwała, jak któraś z większych fal delikatnie łaskocze ją w końce stóp i odruchowo podkuliła palce, gdy rozgrzana skóra zetknęła się z zimnym morzem.

Kaspar na chwilę zamilkł.

— Dziwne rzeczy dzieją się z pogodą — powiedział po chwili, wystawiając kawałek twarzy na słońce i podejrzliwie łypiąc spod materiału żółtym okiem. W końcu zogniskował spojrzenie na nieskończonej połaci wody. Coś było z nią nie tak.

Spuścił wzrok na ignorującą go i opalającą się towarzyszkę. Może to ją czegoś nauczy...

Schował twarz z powrotem pod kocem i zaczął coś szeptać.

— Co? — Meele nawet nie otworzyła oczu. Kaspar dalej mamrotał. Umilkł na chwilę, po czym powiedział głośniejszym głosem, myśląc przy tym intensywnie o trawiastym klifie wysoko nad nimi:

— Miłej kąpieli!

Rozległo się dosyć głośne trzaśnięcie i kupka ubrań, pod którą skrywał się mag, nagle oklapła i opadła na piasek.

Meele otworzyła oczy i podniosła się na łokciu.

— Co? — powtórzyła. — Nie zamierzam się kąpa...

Olbrzymia fala przykryła ją, zanim dokończyła zdanie. Kiedy woda się cofnęła, przemoczona

Meele najpierw wypluła wodę, zgarnęła wodorosty z twarzy i dopiero wtedy nabrała powietrza w płuca.

— Kaaassspaaaaaaar! Tym razem naprawdę cię zabi...

Kolejna fala okazała się jeszcze większa.

Trochę smutku, trochę radości

Niewysoki, kamienny murek wyglądał na idealne miejsce odpoczynku dla strudzonych wędrowców. Pierwszy — z racji wzrostu — wypatrzył go Kaspar i ostatkiem sił doczłapał do porośniętych mchem i nagrzanym od słońca kamieni.

Usiadł ostrożnie, jakby niepewny materialności wypatrzanej budowli, lecz zaraz potem z westchnięciem ulgi wyciągnął się na niej jak długi. Chude nogi powędrowały za resztą właściciela, więc kiedy

Meele doczołgała się na miejsce chwilowego postoju, Kaspar nie dość, że chrapał w najlepsze, to jeszcze świecił jej w twarz podeszwami znoszonych butów.

— Co za drań — warknęła pod nosem, patrząc na zajmującego najlepszy kawałek murku maga. Nie namyślając się długo, popchnęła go rękojeścią olbrzymiego miecza. Głuchy odgłos uderzającego o ziemię ciała zbiegł się z oburzonym:

— Za co?!

— Za królestwo! — zirytowała się Meele, siadając na zwolnionym miejscu. — Zostawiłeś mnie na środku drogi i pognąłeś przed siebie tylko po to, by uciąć sobie drzemkę! Mamrotanie zza murku nie zrobiło na niej specjalnego wrażenia.

— Nie marudź, mogłam użyć ostrza! — dodała.

Była zmęczona, bolały ją nogi, a na dodatek, a może przede wszystkim, doskwierał głód. Nie dość, że nigdzie w okolicy nie trafili na miejsce, w którym mogliby coś zjeść, to jeszcze nie mieli pieniędzy, by cokolwiek kupić. Wszystko

przez Kaspara, prawdziwego boga złych decyzji finansowych. Tym razem (a lista powodów, przez które tracili pieniądze wydłużała się każdego dnia) w ostatnim mieście postawił na wyścigach na niewłaściwego smoka. Na nic się zdały tłumaczenia maga, że to, co on uznał za bojowy wyraz pyska, było tak naprawdę zatwardzeniem. Koniec końców, znowu zostali na minusie. Dlatego przy każdej okazji Meele wyrażała swoje niezadowolenie.

Kaspar powoli wychynął zza murka. Wyglądało na to, że na razie mu się nie dostanie, więc przerzucił nogę przez ogrodzenie i usiadł na nim okrakiem, rozglądając się po okolicy.

— Niedaleko musi być jakaś miejscina — zauważył w końcu.

— Z czego wnioskujeś? — spytała ponuro dziewczyna, kręcąc się na kamieniach i odkrywając, że wcale nie były tak wygodne, jak wyglądały.

— Przed chwilą leżałem na jej mieszkańcu — powiedział Kaspar.

— Co? — Meele podniosła wzrok znad oglądanych w skupieniu skórzanych butów i wygięła się, by zajrzeć za murki.

— Choć dzieliło nas kilka stóp ziemi — dodał, tytułem wytłumaczenia.

Ogrodzony dawno temu teren skrywał zaniedbane, równo poustawiane kamienie z wyrytymi imionami. Tu i ówdzie rosły zdziczałe, od lat niepielęgowane kwiaty.

— Poza tym słyszę kroki i jakieś wycie — zakończył mag, obracając głowę. — Parę osób za tamtym wzgórzem. Zbliżają się.

Meele od jakiegoś czasu stała na murku, ale wzniesienie zasłaniało jej widok. Z podziwem pokiwała głową. Musiała przyznać, że co jak co, ale Kaspar miał niezwykle wyczulone zmysły. Fantastycznie sprawdzał się na zwiadach, namierzając zasadzki czy podsłuchując rozmowy. Z drugiej strony, przez zbyt wykształcony węch zaczynał się dusić, gdy tylko zbliżali się do publicznej garkuchni. W ogóle w miastach, gdzie nieczystości wszelkiego sortu wylewało się przez okna, nie czuł się najlepiej.

— Możesz powiedzieć coś więcej? — spytała.

Mag zamknął oczy i zmarszczył brwi.

— Idą wolno. Kilka osób — powtórzył. — Czwórka? Prawdopodobnie kierują się na cmentarz.

Otworzył oczy.

Jakby na potwierdzenie jego słów, kilka minut później zza wzgórza zaczął wyłaniać się niewielki kondukt żałobny. Zza wzniesienia wyszły dokładnie cztery osoby, z płaczką na przedzie. Dwóch mężczyzn niosło niewielką trumienkę z jasnego drewna. Pochód zamykała ubrana na biało kobieta.

Gdy zbliżyli się jeszcze trochę do terenu cmentarza, wędrowcy mogli lepiej przyjrzeć się grupie. Płaczka nie wyglądała na specjalnie zaangażowaną, zawyła od czasu do czasu, ale było widać, że wykonuje tylko swoją pracę i na dodatek niewiele na tym pogrzebie zarobiła. Grabarze sprawiali wrażenie znudzonych, jakby nie takie rzeczy już w życiu widzieli. Kobieta idąca za nimi, miała twarz bielszą niż suknia i puste, niewidzące oczy. Chyba nie do końca docierało do niej to, co działo się dookoła.

— Z tym obrazkiem coś jest strasznie nie tak — mruknięła Meele. Nikt nie zwracał na nich uwagi. — Nie uważasz?

Kaspar nie patrzył na kondukt, rozglądał się uważnie

dookoła, jakby czegoś szukał. W końcu fuknął zadowolony i złapał coś pełznącego po jednym z nagrobków. Kiedy podniósł wijące się stworzenie na wysokość twarzy, pokiwał z uznaniem głową.

— Zgłodniałeś? — spytała Meele, przewracając oczami, kiedy mag bawił się z dżdżownicą. — Jesteś aż tak zdesperowany?

Ten pokręcił głową.

— Trochę białka nigdy nie zaszkodzi, ale nie tym razem — powiedział i podsunął jej pod nos małe, wijące się niemrawo stworzenie. Było przezroczyście.

— Mała dzika magia — dodał, widząc obrzydzenie na twarzy towarzyszki.

— Mnie bardziej przypomina przerażoną galaretę. — Odsunęła się odruchowo. — Po co ci ona?

— Trzeba chwycić nadarżającą się okazję. — Kaspar złożył dłonie i bez specjalnych skrupułów zmiażdżył stworzonko. Spomiędzy palców posypał się srebrzysty proszek. — I mieć nadzieję, że rezultat spełni oczekiwania.

Rozłożył dłonie i dmuchnął w stronę cmentarza. Jasny proszek zawirował na wietrze, by chwilę później opaść na ziemię. Trawa migotała przez chwilę nienaturalnym światłem, aż wszystko zgasło.

W tym samym czasie pochód dotarł do wyłamanej, drewnianej bramki prowadzącej na cmentarz. Na siedzących na murze ludzi nadal nikt nie zwracał uwagi.

— No i? — Meele nie zauważyła efektów. — Może to jednak była jakaś biedna, zabłąkana glista?

Mag milczał, mrużąc oczy. W pewnym momencie otworzył lekko usta.

— Może jednak nie. — Usłyszała zadowolony głos. Ka-

spar oparł brodę na dłoni i intensywnie wpatrywał się w jakiś punkt.

Meele podążyła wzrokiem do miejsca, które przykuło jego uwagę. Powietrze tuż nad ziemią migotało, zmieniając kolory.

— Co do... — zaczęła, gdy na cmentarzu zaczęły rozkwitać pąki. Nienaturalnie wielkie, przypominające lilie kwiaty lśniły ciemnym fioletem, różem i bielą, przechodząc w błękit i intensywny granat. Wielobarwne poletko, rozpoczynające się w miejscu, gdzie opadła magia rozszerzało się, z sekundy na sekundę wystrzeliwując kolejne dziesiątki kwiatów w pełnym rozkwicie. Nie musieli długo czekać, by dotarły do pochodu, otoczyły go i — nie zwalniając — ruszyły dalej, ze słyszalnym szumem rosnących liści i rozwijających się płatków. Płaczka zamilkła na dobre, zszokowana.

— Na wszystkich czterech bogów świata... — westchnął grabarz i ostrożnie opuścił trumienkę na ziemię. Po chwili zniknęła pod gęstym dywanem roślin.

Stojąca kilka kroków za nim żałobnica zamrugła, jakby obudzona z głębokiego snu. Popatrzyła na wyrastające przy jej nogach kolorowe kwiecie i powoli, z wahaniem, opadła na kolana. Dół lnianej sukienki skryły płatki. Kobieta, z obawą malującą się na twarzy, dotknęła najbliższej lilii, podniosła wzrok na jasne drewno niknące w zieleni i zawyła rozpaczliwie. Z dłońmi wciąż przy ziemi, płakała długo i głośno, zanosząc się spazmatycznym szlochem, pełnym cierpienia i smutku.

*

— No i co żeś narobił? — spytała podenerwowana Meele, wyzwalając się spod uroku magicznej wizji. — Wszyscy w

rozsypce! Miała rację. Jeden z tragarzy chodził nieprzytomnie w kółko i powtarzał:

— Niesamowite. To po prostu niesamowite. No, niesamowite...

Drugi z mężczyzn modlił się żarliwie do niebios, a płaczka jakby nagle odkryła, w jakiej sytuacji się znalazła, kucała koło żalobnicy i obejmując ją, płakała szczerze jak nigdy.

— To dobrze. — Kaspar zeskoczył z kamieni. — Tak powinno być. Wołałaś to, co było poprzednio?

Meele podążyła za nim, kręcąc głową.

— Ale... dlaczego?

Kaspar wzruszył ramionami, kierując się w stronę ścieżki. Niedługo powinni dotrzeć do miasteczka. Może uda im się znaleźć coś do jedzenia. Nie pogardziłby nawet stypą.

— Ludzie czasami potrzebują przypomnienia, że gdzieś tam... — Machnął ręką dookoła. — Jest coś większego od nich. Coś, co nadaje sens.

Meele podbiegła do niego, klnąc w duchu na prędkość, z jaką przemieszczał się mag. Kaspar, mający prawie siedem stóp wzrostu, przez długie nogi nadawał zawsze zbyt szybkie tempo marszu, nie myśląc ani o wzroście towarzyszki, ani o tym, że dźwigała ze sobą kilka dodatkowych kilogramów dobrze wyważonej stali.

— A ty wierzysz, że gdzieś tam — powtórzyła jego machnięcie ręki, gdy się z nim zrównała — coś jest?

— Po co? — Usłyszała jego głos z góry. — Przecież mam ciebie. Wystarczy mi z nawiązką.

— Idiota!

— Punkt widzenia zależ... — Resztę zdania przerwał nieco przytłumiony dźwięk uderzenia, kiedy torba podróżna Meele trafiła mówiącego maga prosto w twarz.

Czarodziejka i wojownik

Hobb miał konkurencję. Z jednej strony można się było tego spodziewać, w końcu las Entai był na tyle duży, by pomieścić więcej niż jedną grupę rozbójników. Jednak z drugiej...

— Jesteś beznadziejny! Zupełnie bezużyteczny! — darła się Meele, ociekając dziwnie smakującą wodą i stojąc po pachy w wykopanym na środku drogi i do niedawna szczelnie przykrytym gałęziami dole.

— Ale... — zaczął Kaspar.

— Ani nie zarabiasz, ani nie zdobywasz pożywienia! Gorzej, pieniądze w twoim otoczeniu znikają w doprawdy magiczny sposób! — Machała pięścią w jego kierunku.

— No niby tak, ale... — dalej protestował Kaspar.

— Niby co robiły twoje nadwrażliwe zmysły, kiedy wchodziliśmy w sam środek pułapki?

— Tak, ale to idioci — szybko dokończył mag, wisząc głową w dół. Jego długie, ciemne włosy zamiatały ziemię za każdym razem, gdy osiągał najniższy punkt monotonnego ruchu wahadłowego, w który wpadł, kiedy przykryta pod liśćmi lina gwałtownie pociągnęła go w niebo. Niesione przez niego bagaże leżały porzucone dookoła.

— Sam jesteś idiotą! — wrzasnęła Meele, podskakując i próbując wydostać się z dziury. Splunęła, ale nieprzyjemny posmak pozostał.

Ich dyskusji przyglądało się kilkunastu chłopów. Połowa z nich miała zakazane gęby, reszta zasłoniła twarze jakimiś szmatami, miłosiernie oszczędzając wędrowcom swojego wi-

doku.

— Czarodziejka i wojownik — usłyszeli przytłumiony głos spod jednej z chust średniej czystości. — Od wczoraj was obserwujemy i przygotowaliśmy dla waszej dwójki specjalne przyjęcie. Magiczną kąpiel i stalową linę!

Meele w końcu wygrzebała się z dołu i stanęła na skraju, patrząc na swoje ubłocone ubranie. Teraz była naprawdę wściekła.

— Zaraz... — Przestała kląć i powoli odwróciła głowę w stronę nieznanego. Jej brwi powędrowały w górę, kiedy zdała sobie sprawę ze znaczenia słów.

— Czarodziejka i wojownik? — powtórzyła.

— Jesteście bezbronni! — zawołał ten sam opryszek, prawdopodobnie przywódca bandy. — Wyskakiwać ze złota albo was zabijemy!

— Zwłoki łatwiej się okrada — dobiegła od strony Kaspara wiekowa, powtarzana w jego rodzinie od pokoleń, prawda. — Poza tym u mnie debet. Szkoda zachodu z tym całym zabijaniem...

Na potwierdzenie wywinął kieszenie na lewą stronę. Wypadła z nich mocno wyschnięta piętka chleba.

— Milcz!

— Od wczoraj mam ich na oku — kontynuował niezrażony Kaspar, choć trochę kręciło mu się już w głowie. — Myślisz, że po jaką cholere noszę twój miecz? Z grzeczności? Mówiłaś, że potrzebujemy szybkiej gotówki, to masz. Sama przyszła.

— Czarodziejka i wojownik — powtórzyła jeszcze raz Meele i polizała dłoń, nagle rozumiejąc. Woda, którą została oblana, była słona.

— Są cali twoi! — dokończył Kaspar, bujając się tak ma-

jestatycznie, jak tylko potrafił.

— Zaraz... — Herszt zorientował się, że coś jest nie tak, gdy drobna dziewczyna schyliła się i bez wysiłku podniosła leżący wśród liści miecz. Oblizała usta. Klinga zaślniła na słońcu.

To nie będzie jedyna słona rzecz, której dzisiaj skosztuję — przemknęło jej przez myśl, kiedy ruszyła biegiem w stronę niefortunnych zbójników.

Części udało się uciec, a Meele niespecjalnie chciało się ganiać za rozpierzchniętym wśród drzew towarzystwem. Hobb ich znajdzie, ma od tego ludzi. Poza tym była zajęta wyłuskiwaniem kosztowności z ubrań tych osobników, którzy nie biegali wystarczająco szybko, byli bardziej tępi niż kompani albo po prostu stali najbliżej Meele, gdy ruszyła do ataku.

— Meele! Hej, Meele! — dobiegł do niej głos Kaspara, kiedy kończyła upychać swój łup w materiałowym worku. To był udany dzień. Zdobyła mnóstwo... znaczy, zmniejszyła przestępczość w okolicy. Należała jej się za to nagroda.

— Hej, Meele! Wreszcie przekręciła głowę w stronę wciąż wiszącego maga.

— Ściągniesz mnie? — Kaspar patrzył na nią prosząco. Udawała, że się zastanawia.

— Nie. — Pokazała obraźliwy gest. — Bujaj się.

Zebrała swoje rzeczy ze ściółki i ruszyła w dalszą drogę, ignorując wołanie towarzysza. Kiedy uznała, że jest na granicy jego nadwrażliwego słuchu, odwróciła się w stronę niedawnej rzezi i zawołała:

— Zemsta jest słodka! „Milej kąpieli”!

Nie musiała słyszeć jego odpowiedzi, by wiedzieć, co o niej sądzi.

Uczenie się na błędach

Silny, północny wiatr strącił z jabłoni ostatnie jasne kwiaty, zaścielając sad kremowymi i lekko już wyschniętymi płatkami.

— Mogłabyś mi już odpuścić — marudził Kaspar, kłuczając między rozgałęzionymi drzewami. — Czemu się za mną wleciesz? Przecież spłaciłem dług, który zaciągnąłem na arenie.

— Spłaciłeś? Nie przypominam sobie. — Meele lekko ugięła się pod workiem wypełnionym złotem i kosztownościami, ale nie zamierzała rozstawać się z łupem nawet na moment. Sypiała z nim pod głową, jakby był poduszką wypełnioną najwyższej jakości puchem. — Kiedy ja ciężko pracowałam, żeby zarobić tych kilka nędznych miedziaków, ty wisiłaś sobie spokojnie na drzewie. I czyja to niby wina, że mnie tam zostawiłaś? — obraził się Kaspar.

— Czyja to wina, że jesteś tak beznadziejnym magiem i nie potrafisz się wyswobodzić z tak dziecinnie prostej pułapki? — odgryzła się Meele, poprawiając worek. Coś ostrego uwierało ją pod łopatką. — Powinnam pobierać dodatkową opłatę za to, że w ogóle z tobą podróżuję i chronię twój czarodziejski tyłek!

Kaspar stanął.

— No wiesz? Jakoś sobie do tej pory bez ciebie radziłem! Jego towarzyszka nawet się nie odwróciła.

— Też jestem zdumiona, że przeżyłeś aż do dzisiaj. Widocznie wiele prawdy jest w słowach, że głupi mają szczęście...

Mogli się tak kłócić godzinami i czasami tylko to stanowiło jakąkolwiek rozrywkę podczas długich dni jednostajnego marszu, jednak dzisiaj ich sprzeczkę przerwało czyjeś chrząknięcie.

— Przepraszam... — Zza drzew wychynął mężczyzna z dużą, drewnianą skrzynią przytroczoną do pleców. — Przez przypadek usłyszałem fragment waszej rozmowy. Jesteś magiem? — zwrócił się do Kaspara, ignorując jego towarzyszkę. — Jeśli tak, mam coś, co może cię zainteresować.

— Tak? — Kaspar nie wyglądał na specjalnie przekonanego. — Co na przykład?

Młody, choć już łysiejący człowiek przykucnął i ostrożnie postawił pudło na ziemi. Podniósł się, obszedł je dookoła i otworzył ledwo widoczne do tej pory drzwiczki. Wewnątrz skrzyni, na półeczkach stały niezliczone, wstawione w wycięte dziury buteleczki. Większość była pełna.

— Proszę. — Pokazał ruchem ręki zawartość bagażu. — Do wyboru, do koloru, jeśli wiesz, o czym mówię. — Popatrzył na niego chytrze, stukając paznokciem jaśniejącą na fioletowo, wysoką flaszkę. — Po okazjnych cenach.

— Co to za śmieci? — Meele zajrzała do wnętrza. Kaspar stał w milczeniu.

— Jesteś ki'renem — powiedział w końcu, przyglądając się handlarzowi uważniej niż wnętrzu skrzyni. — Nigdy nie dotarłeś do Kapituły, zapamiętałbym. Czemu?

— Po co? — Tamten nie wyglądał na specjalnie zmieszanego. — Czytać nawet nie umiem, na co mi jakaś magiczna akademia? Potrafię zarobić niezłe pieniądze bez całej tej zbędnej wiedzy.

— Gromadzenie takiej ilości różnorodnej magii w jednym miejscu jest zakazane — powiedział Kaspar, ruchem

głowy wskazując na półki. — Nie dlatego, że tak się magom umyśliło. To szalenie niebezpieczne. Magia z gór stojąca obok magii wody, a zaraz obok magie pustynne?

— Widzę, że trafiłem na fachowca. Szkoda, że takiego marudę — przyznał handlarz. — Jesteś zainteresowany czy nie?

Kaspar zaczął kręcić głową. Otworzył usta. Zamknął. Otworzył raz jeszcze.

— Czemu nie, może rzeczywiście masz tam coś interesującego — powiedział w końcu.

Twarz mężczyzny, nazwanego ki'renem rozjaśniła się.

— Dobry wybór — pogratulował Kasparowi. — Na pewno mam coś w sam raz dla ciebie.

— Na pewno — Kaspar powtórzył i pochylił się nad pudełkiem, zasłaniając płaszczem i długimi włosami wewnątrz skrzyni. Za każdym razem, kiedy handlarz próbował mu zajrzeć przez ramię, mag przekręcał się w ten sposób, że wchodził tamtemu w pole widzenia.

— Długo jeszcze? — Meele niecierpliwie stukała stopą w ziemię. — Zaraz zacznie się ściemniać. Kaspar wyprostował się, zatrzasnął drzwiczki.

— Nie, jednak nie ma tu nic, co przykułoby moją uwagę.

— Jaja sobie robisz? — Meele zirytowała się nawet bardziej od handlarza. — To na co straciłeś tle czasu? Kaspar wzruszył ramionami.

Przepraszam za kłopot — zwrócił się w stronę ki'rena. — Życzę miłego dnia. Tak, tak. — Handlarz machnął ręką i zaczął zakładać skrzynię na plecy. — Nawzajem.

Kaspar i Meele w milczeniu ruszyli w dalszą wędrówkę. Byli już na skraju olbrzymiego sadu, kiedy za ich plecami rozległ się przytłumiony wybuch. Meele podskoczyła zaskoczona,

wyciągnęła miecz z pochwy i odwróciła się w stronę dźwięku. Kaspar tylko lekko podniósł głowę, patrząc na chmurę wielobarwnego i iskrzącego dymu, unoszącą się nad drzewami.

— To będą bardzo dziwne zbiory — stwierdził. — I następne pewnie też, jak cała ta magia wsiąknie w ziemię...

— Wy... wysadziłeś jego bagaż? — Meele opuściła miecz. — Dlaczego?!

— Mówiłem przecież, że to niebezpieczne. Wystarczy postawić jedną agresywną magię zbyt blisko innej, nie zakorkować czegoś szczelnie... — przerwał.

— Postanowiłeś nauczyć tego, jak mu tam, ki'rena, nieco o teorii i praktyce czarodziejstwa? Kaspar ruszył przed siebie.

Podobno dobrze jest się uczyć na błędach — powiedział podejrzanie spokojnym głosem. — Choć dla niektórych może być na to za późno.

Jego towarzyszka jeszcze przez chwilę patrzyła na kolorową chmurę, po czym schowała miecz i truchtem, przeklinając w duchu wagę worka z kosztownościami, ruszyła za magiem.

W miejscu, gdzie nastąpił wybuch, zaczęło wyrastać drzewo, łudzaco podobne do jabłoni. W kilka minut osiągnęło rozmiar swoich wieloletnich pobratymców, wypuszczając liście, a później świeże pąki. Jednak kiedy się rozwinęły, nie miały typowej dziewiczej bieli. Intensywnie ciemne, przypominały zaschniętą krew.

Trudny fach czarodzieja

Na pierwszym piętrze karczmy rozległ się krzyk:

— Hej, wy! — Niewysoka dziewczyna kopniakiem otworzyła drzwi i wpadła do pomieszczenia zajmowanego

przez kilku wyjątkowo nieatrakcyjnych z wyglądu osobników.
— Zostawcie mojego maga!

Tamci niespecjalnie przejęli się wizytą blondynki, przynajmniej dopóki nie wyciągnęła przed siebie wielgachnego miecza. Długowłosa mężczyzna, stojący w centralnym punkcie pomieszczenia, jęknął cicho.

— Kaspar, na ziemię — usłyszał głos dziewczyny. Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Padł na deski, zasłaniając głowę dłońmi, w momencie gdy zakręciła pierwszego młynka.

Właśnie wtedy zobaczył przemykającą po podłodze przezroczystą i świecącą mysz. Odkąd Kapituła Magów zmieniła swój wygląd nie do poznania, a magia zaczęła swobodnie wyciekać niezliczonymi dziurami rzeczywistości, dzięki magie nie były niczym niezwykłym. Ale w tej myszy było coś podejrzanego. Coś...

Kiedy Kaspar zdał sobie sprawę z tego, co widzi, było już za późno na jakąkolwiek reakcję. Ciało jednego z mężczyzn właśnie upadało na podłogę. Pech chciał, że runęło również na magię przyjmującą doczesny kształt myszy.

— Mee...! — zdążył zawołać Kaspar, wyciągając rękę w stronę swojej towarzyszki i uruchamiając jedyne zaklęcie, które każdy mag, zanim nawet zaczął naukę w Kapitułe, miał wbudowane we własne jestestwo. Czar ucieczki.

Ocknął się pod murami miasta i to na dodatek od ich zewnętrznej strony. Podniósł nieco nieprzytomnie głowę i rozejrzał się po okolicy. Z włosów posypał mu się tynk i drobne kawałki cegieł.

— Zejdz... ze mnie — usłyszał przytłumiony głos. Spojrzał na ziemię, na której leżał. Okazało się, że nie tylko na niej.

Przetoczył się na bok i kichnął potężnie, gdy tuman kurzu i sproszkowanych fragmentów karczmy wzbił się w powietrze.

Wciśnięta w zbocze wyschniętej i od lat nieużywanej fosy Meele ostrożnie macała, czy ma wszystkie kończyny na miejscu, i dopiero gdy się upewniła, że nic jej nie jest, usiadła wyprostowana.

— Co właśnie się stało? — zapytała.

— Wyciekająca magia. Ktoś naprawdę, ale to naprawdę musi coś z tym zrobić. — Kaspar podniósł się powoli, otrzepując włosy i lekko nadpalony płaszcz. — Kolizje z rzeczywistością będą tylko narastały. W liczbie i w wielkości.

— I niby kto ma to zrobić? — Meele dokładnie obejrzała nienaruszony wybuchem miecz i pomacała się po kieszeniach. Szlag trafił ich niewielki, ruchomy dobytek, ale przynajmniej całą broń miała przy sobie.

— Wy! — usłyszała niespodziewaną odpowiedź od strony miejskiej bramy.

— My? — zdumiała się i rozejrzała dookoła. — Co my?

— To wy wysadziliście karczmę! — Mocno przykurzony mężczyzna, najprawdopodobniej będący byłym już właścicielem wspomnianego przybytku, gestykulując zaczepiał miejskiego strażnika. — To oni wysadzili moją karczmę i naruszyli dwa sąsiednie budynki!

Kaspar nie czekał na dalszy rozwój sytuacji. Odwrócił się i pognął przed siebie. Meele, zrozumiałwszy, co się dzieje i co może się zaraz wydarzyć, ruszyła za nim. Krzyczeć na maga będzie później, teraz musi oszczędzać głos. Bo przecież nie nogi.

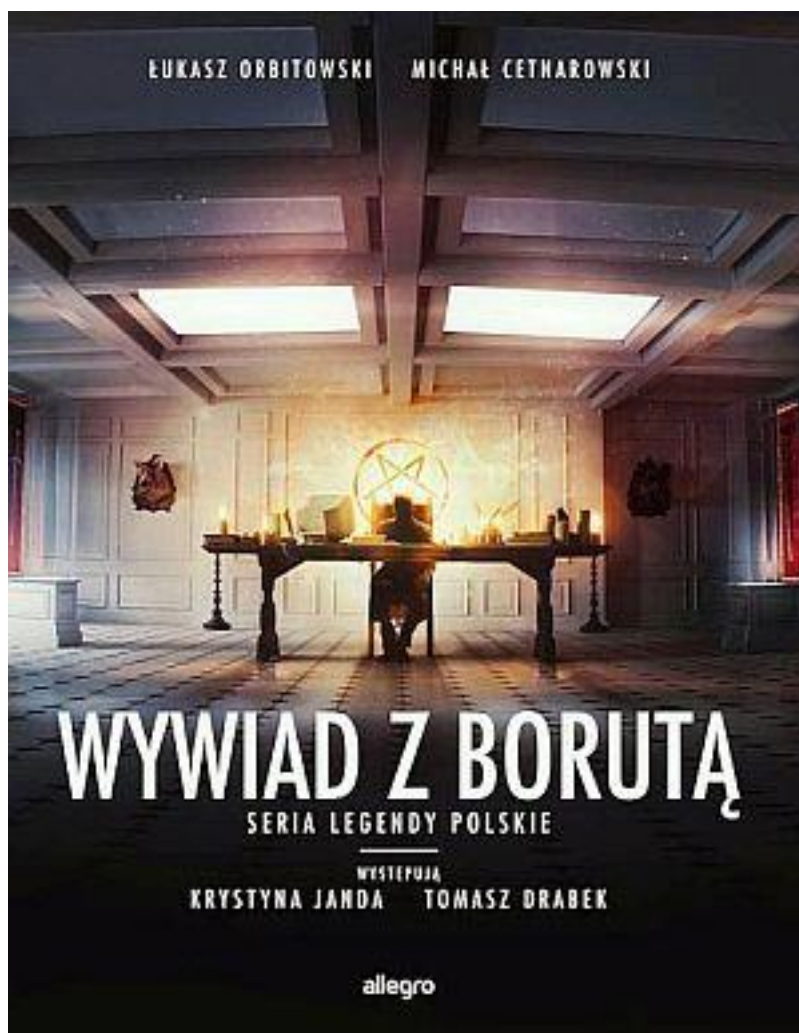
— To oni! To oni! — słyszała za plecami cichnące, ale wciąż wyraźne wrzaski.

Tak, to jesteśmy my.

2017

Łukasz Orbitowski, Michał Cetharowski

Wywiad z Borutą



Kliknięcie, szum przesterowanego nagrania, wreszcie właściwy, czysty dźwięk.

Miejsce akcji: biuro Boruty w Bloku-Piekle-PGR-ze.

Boruta: Napije się pani czegoś?

Wanda: Nie, dziękuję. Zaczynamy, już się nagrywa.

Boruta: A ja sobie golnę, owszem. Wie pani, mnie wpięprza ta cała moda na zdrowe życie, na biegactwo polactwo, na przysiady i składy; szklaneczka czegoś mocniejszego nikogo jeszcze nie zabiła. Pali pani?

Wanda: Tak.

Boruta: Przynajmniej tyle. Ognia?

Wanda: Może nie teraz. Proszę pana, nie chcę zabrzmieć obcesowo, ale nie po to mnie pan tu chyba ściągnął, co nie? Na przyjemność, jak to mówią, trzeba sobie zasłużyć. Popracujmy. Twardowski...

Boruta: (*łagodnie wchodząc jej w słowo*) Inaczej sobie panią wyobrażałem. Taka osobowość, takie pióro! Posyła pani gangsterów do pudła jednym artykułem. A jakże, czytałem ten cykl o Wołównie i zapuszkowaniu jego grupy. Cała Polska czytała! To było megacudowne, cud, miód, orzeszki, i w ogóle paluszki lizać! Gliniarze nie mogli, prokurator nie dał rady, a pani pisze i bach! bandzior do wora, wór do jeziora. A pani książka, *Papierowe smoki*... gdzieś tu mam egzemplarz, pani zobaczy, jaki zaczytany.

Wanda: *Papierowe smoki*, ktoś jeszcze to czyta...? Przecież ja te wywiady zrobiłam dobre dwadzieścia lat temu... Tylko niech pan mnie nigdzie nie cytuje – oficjalnie, to ja dalej obchodzę osiemnastkę (*kokieteryjny uśmiech, uprzejmy, ale sztuczny*; *Wanda: chciałyby już przejść do sedna*).

Boruta: Skromność się chwali, ale tylko wśród podwykonawców, kiedy przychodzą żebrać o kasę. Przecież prawdę mówię! Zawsze tylko prawdę. Dzieciaki na squatach i te hipisy, co to ratują wieloryby i inne nosorożce, jakby się wziąć za uczciwą robotę nie mogli, czytają ponoć *Papierowe smoki* jak Biblię.

Wanda: Proszę przestać. Wróćmy do tematu. Twardowski, pamięta pan. À propos, ładnie się pan tu urządził.

Boruta: A owszem, nie zamierzam się tego wstydzić! Wie pani, jacy są ludzie, ten w pałacu, tamten w budzie. Jeśli ktoś jest gorszy od tego, co obnosi się z hajsem, to ten, który podtyka innym pod nos własną biedę. Ja się nie chwale ani się nie wstydzę. Na to, co mam, pracowałem całe długie życie.

Wanda: A gdzie pan pracował?

Boruta: Prowadzę własny biznes. Niewielka, stabilna instytucja, dobra na nasze niespokojne czasy. Wie pani, co jest najlepszą inwestycją? Technologia? Medycyna? Komputery osobiste?

Wanda: Nie ma czegoś takiego jak komputer osobisty. Już nie.

Boruta: O właśnie tak, to, to, to! Były komputery osobiste, a teraz ich nie ma. Były sobie sterowce, gdzie są sterowce? A co zawsze jest, co zostaje? Człowiek, proszę pani, i ja inwestuję właśnie w ludzi. Na przykład pani niesłuchanie mi się podoba. Nie to, że coś insynuuję, proszę tak nie patrzeć! Ale jakby co, to człowiek by jeszcze, ho, ho pohulał, jak nie, jak tak! (*śmiech sybaryty*) Mówię, że mi się pani podoba, jakby to rzec, jako istota ludzka. Bo ta inteligencja, ten upór. Właśnie, jak pani mnie znalazła? Jestem skromną osobą i wolę pozostawać na uboczu. Kiedy przeczytałem pani artykuł, *Szara eminencja Twardowskiego*, no cóż, muszę przyznać, że nie byłem zado-

wolony. Nawet jeśli nie padają tam żadne nazwiska. A mnie nie tak łatwo zaskoczyć.

Wanda: Obawiam się, że to bardzo proste. Dał pan sobie zrobić zdjęcie z Twardowskim. Poszłam za tropem i tyle. Jak to jest, że człowiek, który lubi to swoje ubocze, baluje z takim miliarderm?

Boruta: (*skromnie*) Bywam wśród ludzi. Czy to źle?

Wanda: To zdumiewające. Wciąż nie znam pana imienia ani nazwiska, nie mam pojęcia, kim pan, u diabła, jest...

Boruta: U diabła. A to dobre!

Wanda: ... i widzę dwie rzeczy. Bardzo panu zależy na zacieraniu za sobą śladów, to raz. I dwa, że chyba nie rozumie pan nic z nowych technologii. Ani dudę. Pan wie, że mamy XXI wiek? Biorąc pod uwagę to, gdzie się znajdujemy, nie wydaje mi się to już takie pewne. Ten cały PGR... W czym pan robi, w chmielu? Mleku sprzedawanym do unii?

Boruta: Powiedzmy, że w zasobach ludzkich.

Wanda: Proszę spojrzeć, ma pan teraz tę samą marynarkę, co na fotografii z Twardowskim, czyż nie?

Boruta: No dobra, no może, tylko że co to ma do rzeczy? To całkiem porządna marynarka.

Wanda: Dziś można wyśledzić każdego. Każdego, i to bez większego trudu. Na przykład dysponując zdjęciem konkretnego ubrania. Więc teraz proszę nie utrudniać i grzecznie powiedzieć: co pana łączy z Janem Twardowskim? Jaką rolę odgrywa pan w jego imperium? I najważniejsze: gdzie się podział Twardowski? Czy on... żyje?

Boruta: Pani Wandziu, czemu pani mi to robi? Po cóż rozczarowanie, gdy można walnąć banię? Przecież wiem, że naszą rozmowę zawdzięczam pani doświadczeniu i czemuś takiemu, jak bystry umysł, co dzisiaj nie zdarza się często.

Wanda: Pan się przymila. Niepotrzebnie. Powtórzę...

Boruta: Ja się przymilałam? Proszę pani, w jakim celu? Że niby mnie pani oszczędzi w tym swoim kale-materialu? Proszę szanownej pani, moje intencje są zgoła odmienne. Otóż chciałbym, żeby mnie pani rozszarpała. Proszę mnie zmiążyć. Wiem, co o pani piszą: Wanda Tokarczyk, stara dziennikarska wyga, w zawodzie od zamierchłego PRL-u. Związana kolejno z prasą studencką, „Polityką” i Telewizją Polską, już po ’89. Obecnie głównie wolny strzelec. Znana reportażystka. A więc tak, bardzo proszę znaleźć wszystkie moje winy! Ciemne sprawy i złe zabawki...

Wanda: Widzę, że jednak odrobił pan lekcję z Wikipedii. Doprawdy, poziom przenikliwości przedszkolaka, który dostał pierwszy tablet.

Boruta: Och!

Wanda: Niech pan nie mataczy, w tym mamy lepszych od pana. Co się stało z Twardowskim?

Boruta: Lepszych. Droga pani... Zresztą, o czym tu gadać?

Wanda: Niech pan nie rżnie głupa. Doskonale pan wie, że Twardowski zaginął. Ikona polskiej przedsiębiorczości, biznesmen i celebryta, który stoi za polskim programem kosmicznym. I człowiek, z którym wiele pana łączy. À propos, niepotrzebnie mnie pan zaprosił. Przecież to jak jawne przyznanie się do winy. Jak się pan w ogóle nazywa, panie...?

Boruta: Ja mam bardzo szerokie kontakty. Wczoraj, na przykład, fotel, na którym pani siedzi, zajmował nasz wicepremier. A przedwczoraj jadłem kolację z Bono. Czy pani zdaje sobie sprawę, jak wielu ważnych ludzi bywa u mnie na przyjęciach? Chętnie wyliczę... I proszę nie myśleć, że się tym chępię, jestem bardzo skromnym człowiekiem, to znaczy skromną

osobą, a te wszystkie znajomości są potrzebne, bym mógł dobrze wykonywać moją pracę. Pani Wandziu kochana, gdyby to ode mnie zależało...

Wanda: Pana znajomości również mnie nie interesują. Oprócz tej jednej. Dobrze, ale w takim razie inaczej. Jak długo zna pan Twardowskiego?

Boruta: Kawał czasu, proszę pani.

Wanda: Pitu-pitu. No proszę już nie brać mnie pod sius. Albo mi pan wyjaśni, jaką odgrywa w tym rolę, albo napiszę swoją wersję wydarzeń, w której nie będzie miał pan nawet prawa głosu. Proszę wybierać. Kiedy się poznaliście?

Boruta: Oj, ostro, ostro, ale ja lubię na ostro! No dobrze, powiem szczerze, wszystko wyjawię, kawa na ławę. Niech no pomyśle... Och, to były piękne lata. Mieszkałem wtedy w Krakowie, a konkretnie w Kurzej Stopce na Wawelu, a on na rogu Rynku i Wiślniej. Uwierzy pani? Obaj kręciliśmy się przy ówczesnych władzach, byliśmy, że tak powiem, lobbystami na rzecz pewnej sprawy, tylko ja bardziej, a on mniej. Krakowianie walili do mnie drzwiami i oknami. Doradzałem, forsowałem projekty. Trochę jak teraz.

Wanda: A Twardowski?

Boruta: Twardowski? Robił w lustrach.

Wanda: Pan gada bzdury. Twardowski nigdy nie mieszkał w Krakowie. Owszem, posiada kilka spółek, które zajmują się wyposażeniem wnętrz, ale przecież...

Boruta: Nie, nie, nie! Wie pani, ja bardzo panią przepraszam. Za siebie. Źle się do tego zabraliśmy. Moja wina. Możemy zacząć od początku? Proszę się na mnie nie złościć. Mam ostatnio ciężkie lata. Zgoda?

Wanda: Powiedzmy.

Boruta: Napije się pani czegoś?

Wanda: Wodę poproszę.

Boruta nalewa wodę do szklanki. Potem sobie kielicha.

Boruta: A, co mi tam, golnę czystej, już prawie po lanczu. No, proszę sobie zapalić.

Szelest w torebce. Charakterystyczny dźwięk kamienia zapalniczki.

Boruta: Te jednorazówki nic tylko się psują. Szanowna pani Wando, ogniem służę!

Pauza, trzask, płomień. Wanda krzyczy, przerażona.

Wanda: Ręka się panu pali!

Boruta: *(najpierw swoim głosem)* Ręka mi się pali! *(potem głosem Wandy):* Ręka mi się pali! O jeju czarodzieju! *(zaczyna mówić różnymi głosami, męskim, żeńskim, głosem dziecka)* Mamusiu, pomocy! Ja oszalałem! O, wiem, co pani myśli: to nie dzieje się naprawdę! Co on mi wsypał do wody! *(głos się zniekształca, brzmi, jakby dochodził z dna studni)* Proszę mi wierzyć, jestem dużo ciekawszy od Twardowskiego!

Wanda: Zostaw mnie!

Boruta: *(swoim normalnym głosem)* Nie zamierzam zrobić pani najmniejszej krzywdy. W rzeczy samej, może pani wyjść w tej chwili. Proszę pamiętać o dyktafonie! Zgodziłem się z panią porozmawiać i dotrzymam słowa, bo ja zawsze dotrzymuję słowa, co nie jest częste w naszych smutnych czasach. Proszę wstać... Pomogę. Nie, to nie, ale tym razem chyba nie odmówi pani drinka. *(brzęk szkła)* Pani zdrowie! Więc, skoro panią to tak interesuje, Twardowskiego poznałem na dworze Zygmunta Augusta, jakieś pięćset lat temu. W szesnastym wieku. Nawiasem mówiąc, to ja nauczyłem go obsługi lustra.

Wanda: Czy pan się dobrze czuje? Jakie pięćset lat? Jakiego znów lustra?

Boruta: Co też się pani krzywi, przecież nie jest pani głupia. W owym lustrze zaklęta jest moc Świętowita, samej Czwórcy, wielkich bogów: Peruna, Mokoszy, Doli, no i tego tamtego, a ramę sklecono z dębu, co stał na świętej polanie i był stary jak świat. Spalił się, biedaczyna, to i rama nędzna taka; grunt, że z materiału szlachetnego! Tylko proszę mi nie mówić, że i o tym pani nie wie? Swarogu i twarogu, czego oni was w tej szkole uczą... Zero poszanowania dla historii, tradycji. Czy choćby, tyfus i cholera, legend. Ale samo lustro śmigało jak należy. Pokazałem Twardowskiemu co i jak. Miał niby wskrzesić tę całą Radziwiłłównę, no wie pani, dla króla.

Wanda: A on nie wywoływał ducha? W legendzie był duch.

Boruta: A co Zygmunt August, znany jako Gucio-Gucio albo Lepkie Rączki, by z tym duchem robił? W oczy patrzył? Nie, chłop baby z krwi i kości potrzebuje, nawet jeśli ma koronę.

Wanda: Proszę pana. Ja też baba jestem. I to stara. Dwóch mężów pochowałam i wiem, na czym świat polega. Wiem też, co teraz widziałam i słyszałam. Nic mi się nie wydawało. Nie oszalałam. Na to pan liczył, co? No to niedoczekanie pana. Pan nawet nie wie, ile razy w tym zawodzie widziałam już i słyszałam rzeczy, po których Lenin wskoczyłby w mnisi habit. A wie pan, dlaczego nadal daję radę? Bo przestałam się bawić w wiarę i niewiarę. Jest tylko materiał do druku, dobry albo zły. Ale to nie jest dobry materiał, panie Anonim. Pan naprawdę próbuje mi wmówić, że Twardowski, nasz miliardier biało-czerwony, ma pięćset lat i jest czarodziejem?

Boruta: O rety, i tak, i nie. Twardowski pięć wieków temu dorwał lustro za moją sprawą. Zawarliśmy układ. A Twardowski, choć fagas na kaczych łapach, ma smykałkę do

hokus-pokus. Co pani taka blada? Jeszcze kielicha? Może podejmiemy do okna? Przewietrzy się pani. Proszę się nie bać. Gdybym chciał panią skrzywdzić, dawno bym to zrobił...

Kroki. Skrzypi otwierane okno.

Boruta: Mmm, uwielbiam zapach macierzanki o poranku! Ech! a przecież pamiętam, jak pełno było tutaj turów i niedźwiedzi, normalnie pod każdym krzaczorem jak nie trykający się grzybiarze, to tur. A tur, swoją drogą, miła pani na bani, to straszliwa franca była. Tylko stary król Koszyszko potrafił takiego ubić jednym pchnięciem włóczni. Krzywy, ślepy, ledwo się w siodle trzymał, a dzidą bił. Tylko proszę nie zaczynać z tymi idiotycznymi pytaniami. Jaki król? Jaki tur? Co za bór? Mogę panią potrzymać za rękę?

Wanda: (*kwaśno*) Czy to są oświadczyzny...?

Boruta: No, śmiało. Przecież pani, jak to mówią, nie zjem. (*rozmarzony*) Nie pożrę. Nie schrupię. Khm, tego. Proszę mi powiedzieć, skąd pani jest.

Wanda: Wikipedia zawiodła? Proszę sobie guglnąć.

Boruta: Urodziła się pani w Lublinie, pod koniec wojny. Mmm, pamiętny czterdziesty czwarty...

Wanda: Chyba pięćdziesiąty... Zaraz, skąd pan wie, że na Wikipedii jestem o dziesięć lat młodsza? Jasny szlag, żarty się skończyły! Co to jest, czy pan mnie kazał śledzić?! Jeśli tylko komuś pan o tym powie...

Boruta: (*kontynuując*) ... ale niedługo później rodzice przyjechali do Warszawy. Ojciec był inżynierem, a władza potrzebowała inżynierów. No i pięknie. Cofnijmy się jednak dalej. Wiedziała pani, że pani dziadek miał przedwojenną maturę? Pracował w urzędzie patentowym.

Wanda: Skąd...?

Boruta: Ale zginął na wojnie. Papiery spłonęły.

Wanda: Do czego pan zmierza? Jeśli chce mnie pan szantażować, to co z tym wspólnego ma mój dziadek? Może jeszcze pan powie, że jakiś prapraprzodek pracował dla caratu?

Boruta: Akurat ten walczył po stronie powstańców styczniowych. Ciekawy człowiek. Ale do rzeczy. Ludzie nie wiedzą, skąd przyszli i dlatego są tacy zagubieni. A pani dłoń taka ciepła... W każdym razie, chętnie służę wiedzę. Otóż, Wandziu kochana od butli oderwana, pani rodzina żyje na tych ziemiach od trzech tysięcy lat. Czuję to w pani skórze. Czuję to w pani krwi.

Wanda: Pan już tak będzie, prawda? Rzuci pan słówko, potem huknie, a potem zacznie gadać bzdury. Proszę się też nie obawiać, nie obrazi mnie pan, nie zdoła zniechęcić. W gruncie rzeczy, wygląda pan na jednego z tych pajaców, o których teraz puszczają filmy. Jeden taki lata, drugi rozciągliwy jak, za przeproszeniem, kalosz z dyskontu, inny zmienia się we wściekłego, zielonego stwora. Szkoda tylko, że żaden PIT-u wypełnić poprawnie nie umie. Cudaki. Zrobili to panu w jakimś laboratorium? Ten głos i oczy? Sam pan tego chciał? Dobrze, powiedzmy, że udało się panu mnie przestraszyć. Ale mnie pan nie nabierze.

Boruta: W porządku. Czego pani oczekuje?

Wanda: Uczciwych odpowiedzi.

Boruta: Ależ proszę. Myślałem tylko, że panią to zainteresuje. Pani przodkowie mieszkali tu od trzech tysięcy lat. A ich kraj, Lechia, zwana też Sarmatią albo Wielką Scytią, liczyła sobie jeszcze więcej. Wspominał o niej Pliniusz, pisał Ptolemeusz, przebąkiwał Tacyt. Z żalem też stwierdzam, że nie udało mi się przechwycić wszystkich egzemplarzy kroniki Prokosza. Coś więc musiała pani słyszeć. Chłopaki pogonili

Aleksandra Macedońskiego, a król Lech III walczył z samym Cezarem. To były czasy... Szczerze powiedziawszy, nawet lubiłem Juliusza, zawsze miał rękę do efektownych zwrotów akcji. No, proszę sprawdzić stare mapy. Wie pani, że w Zagórzycach odkryto gród sprzed sześciu tysięcy lat? Albo czy słyszała pani o Żyglinie? A o Bronocicach? Jakie tam warzyli piwo, pani Wandziu... Może mieszkał tam jakiś pani przodek?

Wanda: A, te sprawy. To znam doskonale. Czytałam o nich, na takich różnych dziwnych stronach. Było tam też coś o UFO i jaszczuroludziach. Pożywienie też pan przyjmuje tylko w postaci promieni słonecznych? Jeśli tak, muszę przyznać, że nieźle pan wygląda, ten brzusek... Nie obrazi się pan.

Boruta: To w jaszczuroludzi również pani nie wierzy, pani wątpiąca-polewająca? Niech będzie i tak. A co pani powie na bogów? Na Peruna, Dole, Mokoszę i tego tam, czwartego, a także na strzygi, mamuny, na leszych i południce? Ooo, przecież widzę. Też pani nie odpowiadają? Doprawdy, co z wami zrobiła ta telewizja... W takim razie mogę spełnić pani drugie życzenie. Pytała pani o imię. Borowy jestem, księżę drzew. Ten, Przed Którym Kłaniają Się Cienie. Ten, Który Przechadza Się Po Puszczy. Bardzo mi miło.

Wanda: A jakie było moje pierwsze życzenie?

Boruta: Daję uczciwe odpowiedzi. Gwoli uczciwości, dawno straciłem stanowisko i znają mnie teraz pod innym imieniem-brzemieniem, szczęściem i nieszczęściem, psotą i zgryzotą. W każdym razie kiedyś żyli tutaj razem: ludzie i potwory. Jak pani sądzi, kto był na górze, kto na dole? Kto ginął, a kto przeżuwał ginącego? Powiem w zaufaniu, że pani przodkowie mieli zdrowo przegwizdane. Królowie, jak ów Koszyszko, Lech Oszust, Popiel Zbrodniarz, służyli starym bogom. Ta czwórka, Perun z kolegami, to nie byli mili goście, a jak zebrali

się do kupy... ech, lepiej nie gadać. Rozrywanie końmi? Prosta rozrywka! Rozpalona stal w gardziel? Jeszcze lepiej! Klatki płonące z ofiarami w środku? Proszę uprzejmie.

Wanda: Niech będzie. Założmy na chwilę, że to, co pan mówi, jest prawdą. Pan był jednym z nich, czyż nie? Jak znam życie, zaraz usłyszę, że przez cały ten czas zajmował się pan podlewaniem dębów i karmieniem sarenek...

Boruta: (*z mieszanym głosem*) Khem, tego. Byłem tylko niewiele znaczącym urzędnikiem na wyjątkowo niewdzięcznym odcinku! Ale tak, dzięki temu stanowisku zyskałem inny punkt widzenia. Kto chował się po moich lasach? Niedobitki z rzezi, uciekinierzy ze stosów i młodzieńcy przez mamuny przemienieni w starców. Tylko cierpienie. Straszne cierpienie.

Wanda: Tak, tak. Podpowiem panu: i właśnie wtedy, oburzony tą jawną niesprawiedliwością, postanowił pan coś zrobić.

Boruta: No właśnie! Piast? Kołodziej dobrodziej? Mówi to pani coś? Otóż nie żebym się chwalił, ale muszę powiedzieć, że cała afera z Popielem i Kruszwicą to byłem ja! I niech pani nie wierzy w te myszy... Cóż, Popiel Zbrodniarz rzeczywiście otrął swoich stryjów, doprawdy nie wiem kiedy, skoro ledwo potrafił zleźć z tej swojej Niemry. Powabna była, nie powiem, ale żeby aż tak się dać omotać...? W każdym razie, postanowiłem działać. To ja ściągnąłem pierwszych misjonarzy i natchnąłem Piasta do czynu. No, z Popielem dał sobie radę, ale Peruna i innych ogarnąłem sam. Cichutko, szybciotko i po krzyku. Ale się darli, ci bogowie, gdy znaleźli się w kajdanach. Uwolniłem pani lud, za co, jak sądzę, należy mi się odrobina wdzięczności.

Wanda: Oraz order i wyspa na Kanarach. Oczywiście. Słucham dalej.

Boruta: Widziałem, jak chrzczą Mieszka w spienionych wodach Warty! Widziałem, jak Chrobry przekuwa Szczerbiec, wlewając własną krew do stali! To przede mną Kijów rozłożył nogi, to znaczy – otworzył bramy!

Wanda: Proszę się uspokoić, bo żyłka panu pęknie.

Boruta: Wiem, o czym pani myśli! Jakiej gazecie sprzedać tak świetną historię?!

Wanda: Internety są pełne takich rewelacji. Ale nawet zakładając, że to wszystko prawda, jakim cudem ktoś taki jak pan, opiekun lasów, łagodny bożek z jałowcem w nosie, zdołał przekreślić czterech wielkich bogów?

Boruta: Czterech w jedności! Słyszała pani kiedyś o Światowidzie? Czwórcy? Dla pani to pewnie jeden bóg o czterech twarzach... Otóż nie! to było czterech różnych bogów. Złazili się ze sobą w każdą pierwszą noc pełni po wiosennym przesileniu i proszę nie pytać, jak cudacznie to wyglądało. Capnąłem ich właśnie wtedy. Wie pani doskonale, jak to zrobić najlepiej: nastawić jednego przeciw drugiemu... A potem patrzeć, jak się biorą za łby.

Wanda: Konkrety proszę. Póki co zarzuca mnie tu pan jakimiś datami, nazwiskami... Peruna to może jeszcze kojarzę, ale reszta? Pan ich sobie wymyślił? Cóż prostszego, przecież tak ładnie mi pan tu ściemnia. Swoją drogą, panie Borowy, nie sądziłam, że trafię na aż takiego wariata. Szkoda, że się pan nie nazwał – bo ja wiem – Krak, Łamignat, Kokosz, albo jakoś równie spektakularnie.

Boruta: To było tak dawno... Ledwo pamiętam.

Wanda: Jasne, jasne. Przed chwilą chwalił się pan pamięcią jak tur czy jakiś tam Koszałek i Opalek.

Boruta: Koszyszko. Trochę szacunku dla starego...

Wanda: Umówiliśmy się na uczciwe odpowiedzi.

Boruta: No. Więc tak. Napuściłem Peruna na innych. Zawróciłem mu w głowie. Wytłumaczyłem, że władza należy się jemu, tylko jemu, bo władza zawsze należy się najsilniejszemu. I on ich – teges. A ja go – teges!

Wanda: Więc gdzie są ciała? Ciała Czwórcy? Mówił pan trochę o archeologii. Jedna czaszka wyjaśniłaby sprawę.

Boruta: Taki bóg to spory trup. No ale ja ich nie zabiłem. Nie mogłem. Nie chciałem. Są, powiedzmy... przetrzymywani, bardzo zadbani, choć zmaltretowani. Podobnie jak inni, ci pomniejsi. Strzygi, mamuny, te psiekrwie wąpierce. Co pani powie na taką propozycję – ja pogrzebię w mojej smętnej głowie, a pani odstawi to swoje idiotyczne zdiwko na kołek. Żadnego Koszałka-Opałka i pękających żyłek. Proszę przynajmniej udawać, że mi pani wierzy. Powinniście przynajmniej tyle umieć, wy – dziennikarze.

Wanda: A wy, biznesmeni, powinniście wiedzieć, dlaczego nasza praca jest tak niewdzięczna. Ale niech będzie, słucham.

Boruta: Lechia trwała tysiące lat, czyli, na upartego, od zawsze. I Czwórca też była wieczna. No, może nie wieczna, ale tak stara, jak podatki i kurewstwo ludzkie. Z ich perspektywy, Peruna i innych, wszystko było takie samo. Lasy te same i ludzie jak zwierzęta. Aż tu nagle, niby skurcz kiszek, pojawiło się coś nowego, niepokojącego. Jak pani myśli, co to było, pani kochana, co wali lufę wieczorem, a seteczkę z rana?

Wanda: Proszę sobie darować takie żarty. Hmm... Na upartego, boga może zdenerwować inny, nowy bóg.

Boruta: No właśnie! Pojawił się nowy porządek. Nowa siła, która nie zamierzała oddawać pola. Wręcz przeciwnie. I nasze cztery ancymony zaczęły się biedzić, cóż zrobić z tym całym chrześcijaństwem. Po kraju kręcili się misjonarze, a

króle na Zachodzie chrzcili się, jakby jeden mnich z drugim obiecał, że zęby im poodrastają, a kuśki znów zaczną śmigać. Dola, Mokosza i ten tamten...

Wanda: Ten tamten, czyli kto?

Boruta: Hm, jakby to pani... Nie lubimy wymawiać jego imienia. Czy raczej przydomku, imienia nikt nie zna. Niewiadomy. Ni pies, ni wydra, czyli ten tamten. Mogę dalej? (*pauza*) Więc wszyscy, poza Perunem, uznali chrześcijaństwo za przejściową modę. Za coś, co szybko przeminie, przyjdzie i przejdzie jak wiosenna burza. Tylko Perun widział w tym kłopot. A ja, proszę pani, już z nimi rozmawiałem!

Wanda: Konkretnie, z kim?

Boruta: Z Piastem i jego ludźmi. Po skrytości, bez radości. Co, miałem sobie żałować? Ale co począć. W moim fachu, droga pani, trzeba umieć patrzeć dalej. Reagować na zagrożenia.

Wanda: Sięgać, gdzie wzrok nie sięga...?

Boruta: A żeby pani wiedziała! Jak nie ty innych, to inni ciebie przekręcą! Twarde prawo boru. Borana, Jaga i reszta mojej rodzinki nigdy nie umieli tego zrozumieć. A Piast to był lepszy cwaniak z wąsem, łasy na tron i kobitki! No, od razu widzę, że zaczyna pani kojarzyć! Pani Wandziu, to się nazywa błysk zrozumienia w trzeźwym oku! Aż cała pani pojaśniała. Przy Kołodziejcu, *alias* Silnorekim, kręcił się też młody biskup Jordan, taki spryciula, co niby tylko ludziom chciał głowy kropic. I kropił, a jakże! Już młodym kotem będąc, potrafił pół dnia stać w górskim potoku i klepać te swoje pacierze. Palcami wbijał żelazne hufnale, łbem belki łamał dębowe, mocne, w kącinach na środku stawiane, po czubkach sosen skakał, jakby to były kamienie na rzeczonym brodzie. A jakie cuda wyczyniał z nogami... Wszystkie te wysoki, półobroty. Jak dopadł ta-

kiego leszego czy wodnika, rusałkę, wiłę czy...

Wanda: Mamunę?

Boruta: ... czy mamunę... *(pauza; wyraźnie zbity z tropu)*
Ten tego, o czym to ja? W każdym razie, pogadałem ja sobie z nimi, założyliśmy takie, no, konsorcjum w sprawie nowego ładu. Oczywiście to ja musiałem wykonać brudną robotę. Ale, ale, kochana koleżanko szklanko. Proszę mi powiedzieć, dlaczego ludzie piją?

Wanda: Piją? To akurat proste. Bo lubią być nawaleni. Dlatego. Inne powody to ściema. Tylko że nie wiem...

Boruta: A pani ojciec, pił?

Wanda: Wiadrami. Nie no, panie Borowik, czy tam Borowiec, to już chyba przesada? Co panu do tego?

Boruta: Spokojnie. Jak to mawia jeż, schodząc z ryżowej szczotki: to nie to, o czym pani myśli. Przynajmniej na razie. Wróćmy to tej palącej kwestii. A pradziadek? A sąsiedzi, koleżanki z pracy? Zastanawiała się pani kiedyś, czemu Polacy najbardziej na świecie kochają wódeczkę? Gołda, gorzałeczka, nafta, pyszności! Teraz się pani dowie, czemu wszyscy w tym kraju od zawsze chleją na umór. Jakby nie patrzeć, to trochę moja zasługa. Nie chwaląc się, jam to sprawił! Więc, wpadłem do Jagi. Jakby to ująć... Córa moja, przybrana, ale nie można powiedzieć, żebym nie przygarnął jak swojej! Różnie się między nami plotło. W każdym razie, mała dobra Jaga zawsze była trochę roztrzepana. Posiedziałem, pogadałem i buchnąłem jej bieluń. Ale nie taki, jaki może pani sobie nazrywać. Prawdziwy bieluń czarownicy. A, bo pani nie wie. Córeczka moja to zawsze miała rękę do ziółek. Magii. Zaklęć. Wiedzy. Strasznie charakterna. A potem przyszło święto Czwórcy. Popiel wiele by pani o tym opowiedział, gdyby mu Jordan brody stopą nie przeczesał, ale jak dla mnie, chodziło wtedy o wielką ucztę dla

Czwórcy i reszty tałatajstwa. Nie powiem, swego czasu nawet to lubiłem. Ale skończyły się dobre czasy, trzeba było patrzeć swego. Musi to pani zrozumieć: mogłem albo poprzeć resztę Czwórcy i patrzeć, jak powoli ogarnia nas nowa siła. A na to nie zamierzałem pozwolić! Zawsze mówię, że lepiej być władcą u siebie niż sługą za pańskim stołem. Albo stanąć z Perunem do przegranej bitwy. Można o mnie wiele powiedzieć, ufam, że dobrego, ale taki głupi nie jestem. Potrzebna była trzecia droga... Dodałem więc tego mojego bielunia do boskiego miodu i, jakby to powiedzieć...

Wanda: Otruł ich pan.

Boruta: Za kogo pani mnie ma? Posnęli, a nie kipnęli. Niewiadomy, niby taki niepozorny, a wlewał w siebie kufel za kuflem, aż padł. Dola z nosem w garze. A Mocosza na takiej jednej dziwożonie z bimbałami. Tylko Perun coś wolno pił. Jakby się czegoś domyślił, jakby na coś czekał. Przeraziłem się nie na żarty, przejrzał mnie, czy co? I wtedy zrozumiałem, gdy w świetle dogasających ognisk patrzył po poboju – uch, co to był za melanz! – i kiwał tym swoim paskudnym łbem. Skurczysyn, wpadł dokładnie na ten sam pomysł co ja! Chciał wszystkich ich spić i samemu przejąć władzę. Zgromadzić w swoim ręku całą moc Świętowita, schować w rękawie asa przed rozgrywką z nową siłą. Uderzyć, jak to mówią, z wyprzedzeniem. Wiem, bo mamrotał jedno: „jeden bóg, jeden bóg”...

Wanda: I co pan zrobił...?

Boruta: Jak to co? Postanowiłem działać! I to od razu heroicznie! Wyzwałem go na pojedynek.

Wanda: (*sceptycznie*) Pan przeciwko Perunowi...?

Boruta: Ale! Nie na pięści i pioruny przecież. Na miód i piwo, Wandeczko kochana, na miód i piwo!

Wanda: I co, ten cały Perun tak po prostu się zgodził? Wiedząc, że to może pokrzyżować mu plany? Przecież to idiotyczne.

Boruta: *(z politowaniem)* Pani Wandziu. Proszę nie pozwolić, żeby się pani pyta z nosem pomerdała. Widać, że nigdy nie była pani bogiem wojny. A prestiż, duma, buta? Przecież ja mu rzuciłem w twarz, że nie jest, kurna, mężczyzną. I gorzej nawet. Że się napić nie potrafi! To tak, jakby pani zapytała szwagra, czy potrafi stanąć na rękach z grillem między stopami. Jak to, on nie da rady? *(napuszczony)* Zresztą, w grę wchodziła także kwestia pewnej damy. Ale o tych sprawach, jak pani wie, dżentelmeni nie rozmawiają. *(normalnie)* Tak czy siak, gdyby Perun mi wtedy odpuścił, historia boskiego przewrotu wyglądałaby dziś inaczej... Ludzie sami by go na butach ponieśli.

Wanda: No tak. Mówią o tym na pierwszych zajęciach z psychologii neandertalczyka. Albo szkoleniach, jak bez wysiłku wytresować mężczyznę w trzech krótkich krokach. Z tego, że teraz rozmawiamy, wnioskuję, że ma pan mocną głowę.

Boruta: A owszem! przepiłem Perunisko, choć było ciężko. Cóż to była za pijatyka! Perun chlał jak ruski generał, jak najstarsza dziwka w taborze. Jakby zapomniał, co sam zaplanował. Aż nagle zrobiło się zupełnie ciemno, Perun padł, a i ja, no cóż, deczko się nawaliłem, ledwo co pamiętam. Ale ustalem! A wszystko już było przygotowane. Ugadane-przyklepane. Przylazł ten Jordan, Piast też się kręcił w pobliżu i chyba nawet rwał do boju. Próbowali pozabijać bogów, ale nie bardzo im szło. Bóg, nawet urznięty w sztok, niezbyt nadaje się do zabijania. Więc w końcu spętali ich tylko, a także resztę tego całego mazgajstwa-tałatajstwa.

Wanda: Mamuny...?

Boruta: (*rozeźlony*) No kurwa, chyba że mamuny. (*pauza*) Większość borowych, oczywiście, siedziała po lasach i mieliśmy, to znaczy oni mieli z tym masę kłopotu. Nie wszystko zresztą poszło tak rach-ciach. Ale ludzie, jak zobaczyli Czwórcę w kajdanach, normalnie zwariowali z radości.

Wanda: (*sceptycznie*) Bo uwierzę. Przecież to byli ich bogowie.

Boruta: Powtarzam, zwariowali. Zapragnęli być jak bogowie. Wyciągnęli piwa i miody, zaczęli wielkie świętowanie, popijanie, megachlanie, i tak właśnie robią do dziś, na wieczną rzeczy pamiątkę. A ja? Miałem kaca i poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Tylko Borany jakoś nie udało mi się do tego... Zresztą, nieważne! Stare dzieje. Zrobiłem swoje, właśnie dla pani, że tak uderzę w tony patetyczne. Ale czy wyobraża sobie pani, jak idzie do Biedry, Biedroneczki, czy tam innego markeciku, a tu nagle zza drzewa wyskakuje lokis?

Wanda: Lokis? Chyba lokals. W każdym razie nie bardzo. Trapi mnie coś innego. Jeśli dobrze zrozumiałam, pan załatwił czterech głównych bogów. Piast, Mieszko i inni, ci władcy, których znamy ze szkoły, zrobili całą resztę. Wyłapali, czy tam zabili, na przykład skrzaty i utopce. Dobrze mówię?

Boruta: Skrzaty to paskudne stworzenia. Nie ma ich co żałować.

Wanda: Ale pan był jednym z nich, panie Borowy.

Boruta: Mówiłem już, że to stare imię.

Wanda: Pytam, jakim cudem pan przeżył? Pan również jest słowiańskim demonem. Jordan z Piastem też powinni pana zapuszkować.

Boruta: Źle zadane pytanie, kierowniczo-alkoholiczko. Powinna pani raczej zapytać, co robię teraz?

Wanda: Jasne, w porządku, po prostu świetnie. Co pan

obecnie robi, drogi panie Borowy, o Ty, Który Przechadzasz Się Po Puszczy, pogromco bogów, przyjacielu królów? Co u pana, drogi panie?

Boruta: Proszę za mną.

Sekwencja dźwięków. Kroki, dźwięk jadącej windy, otwieranych drzwi. Wanda i Boruta wsiadają do windy, winda – nienaoliwiona, trzeszczy. Jazda trwa długo, bardzo długo. Boruta zaczyna pogwizdywać.

Boruta: (*śpiewa*) Idzie Grześ przez wieś/ wódę kum-
plom niesie...

Wanda: Długo jeszcze? Taka winda w rozpadającym się popegeerowskim bloku...? No, no, wykosztował się pan na efekty specjalne. Albo się coś zacięło i stoimy.

Boruta: ... nyska trach/ Grzesio w piach/ Diabeł tańczy z Grzesiem!

Winda staje, otwierają się drzwi. Szum jak w biurze. Bardzo wielkim biurze. Ale coś musi być mocno nie tak, Wanda jest wgięta.

Wanda: (*kasze*) Khhh, khh... Jasny piorun... Co to za smród? Cóż to za miejsce?

Boruta: Szanowna pani pozwoli, że się przedstawię. (*swoim prawdziwym, mrocznym głosem*) Jestem Boruta. Witam w polskim piekle.

Wanda: (*próbując zachować fason*): No, no, no... Jeśli już, spodziewałabym się raczej kotłów. Wielkiej ciemności. Czemu to miejsce przypomina biuro?

Boruta: Tutaj lokuje się dział zarządzania. Niżej mamy marketing, a haery to ten diabeł tam, widzi go pani? Ten z dużymi zębami i siekierą. Potępieni, czy raczej pacjenci, jak zwykłym mówić, rezydują niżej. Gdzie, oczywiście, też pójdziemy. Ale na pewno chce pani o coś spytać. Wrócimy do wywiadu?

Wanda: Widzę, że potrafi się pan ustawić w każdej sytuacji. Niech mi pan powie, ale tak szczerze: za tym też stoi Twardowski, co? Miliarder piekło se strzelił, coś na kształt piekła, taki lunapark jak Disneyland, kto bogatemu zabroni. Prawda...?

Boruta: *(śmieje się, szczerze ubawiony)* Twardowski, Disneyland, a to dobre, no jasne... Proszę pani. Władcą piekieł zostałem z przypadku i dobrego serca, jakkolwiek dziwnie by to brzmiało. Tego poranka w ogóle był straszny bałagan. Pani to sobie wyobrazi: bogowie się budzą w kajdanach i drą się, aż skrzaty z gałęzi spadają. Drużyna Kołodzieja Silnorękiego gania za strzygoniami, a nikt nie wie, co jest grane. Zagadał mnie ten cały Jordan i zaraz zaczął się głowić, co ma ze mną począć. Bądź co bądź to ja ich tam ściągnąłem, a umowa jest umowa, nawet z misjonarzem. Czy może zwłaszcza z nim, strasznie zasadniczy to był człowiek. No i rzekł, że naradził się w mojej sprawie ze zwierzchnictwem...

Wanda: Watykanem?

Boruta: Proszę pani, mówimy o samej górze. Ale co się będę przechwalał! zdążyła się już pani pewnie zorientować, że nad skromność cenię wyżej tylko prawdomówność. W każdym razie stanęło na tym, że zaproponowano mi nowe stanowisko. Między nami mówiąc, właśnie na to liczyłem... Przecież nie urabiałbym sobie rąk po łokcie, żeby jakiś Piast Kołodziej czy reszta tej hałastry spiła całą śmietankę! I tak, od słowa do słowa, zgadaliśmy się, że będę zarządzał lokalną filią piekła. Ktoś musiał to robić, ludziom nie wolno, ci od nich niezbyt się do tego nadają. Zaś piekielniki zachodnie... *(ścisza głos)* Proszę mnie nie sypnąć ani nic, najwyżej wszystkiego się wyprę, ale musi pani wiedzieć, że już wtedy w piekle europejskim panowała straszna biurokracja... Jak się tam wzięli za łby, kariero-

wicze, to okazało się, że na wschód nikt dupy ruszyć nie chce. (*zacięra ręce*) I stanęło na moim.

Wanda: Niech zgadnę. Pan to wszystko tak z dobroci serca?

Boruta: A jakże! Gdyby nie ja, robotę wzięłby może ktoś inny, gorszy, i pacjenci mieliby naprawdę przegwizdane. Moją pierwszą decyzją było zmniejszenie temperatury w kotle o siedemdziesiąt stopni. Bo musi pani wiedzieć, że pod Kruszwicą, tam nasz zakład miał pierwszą siedzibę, pracowaliśmy jeszcze na archaicznym sprzęcie. Ale to nasze, polskie piekło! W innych oddziałach jest dużo gorzej. Diabły są zasadniczo sfrustrowane i zawistne, zwłaszcza jak im papierkowej roboty przybywa. Ale, wiadomo, kara musi być, potępienie to nie bułka z masłem. Więc robię, co mogę, by dało się tu żyć. To jak? Zobaczmy, co u naszych milusińskich? Może ktoś pamięta jeszcze Twardowskiego...?

Wchodzą do windy, winda jedzie w dół.

Wanda: Jeszcze do dołu...?

Boruta: (*śpiewa*) A wszystko to, bo siebie Kocham/ i nie wiem, jak bez siebie mógłbym żyć/ chodź, pokażę ci, czym miłość własna jest/ i spałaszuję cię!

Wanda: Bardzo śmieszne. Ja to wszystko rozumiem, wiem, gdzie się znajduję, ale mógłby pan być nieco mniej obsesywny?

Winda staje.

Boruta: Naprawdę? Niechże pani łaskawa powie to samo temu tutaj.

Słychać jakiś kaszel, chrząknięcia, burknięcia.

Wanda: Gdzie my znowu jesteśmy?

Boruta: Polskie piekło, poziom minus dwa i pół, czyli segment celebrycki. Trzymam tutaj tych z podręczników, choć

o tym miglancu raczej niewiele piszą. Miła pani od rannej bani, otóż i Bolesław Okrutny, zwany Zapomnianym. Jak pani sądzi, he, he, czemu „zapomniany”?

Wanda: Trochę pan przesadza. Co nieco o historii to ja może wiem, ale nie powtórzę panu biografii wszystkich polskich książąt. Zwłaszcza tych, o których nikt nie wie.

Boruta: No już, już, nikt nie będzie tu pani egzaminował z dat. Wystarczy, że powiem, że to syn Mieszka Drugiego, jedenasty wiek. Jedenasty. Za tym chyba pani nadaża? Swoją drogą, nasz Mieszko musiał się uwijać z robieniem potomka. Bo mu tam ciachnęli, no... Urzęnęli Mieszku mieszka.

Wanda: (*do Bolesława*) Panie... Bolesławie? Kim pan jest? Co pan tu robi?

Boruta: On nas nie widzi ani nie słyszy, jak każdy tutaj. Zanurzony w swoim... potępieniu.

Wanda: Co on robi?

Boruta: Zadaje pani coraz głębsze pytania. Co ma robić, do cholery? Cierpi przez całą wieczność!

Wanda: Ale za co...?

Boruta: Za niewinność!

Wanda: No więc właśnie... Co to w ogóle za idea, żeby króla w kotle smażyć. Czy tam jakoś inaczej męczyć. Polityka, to bym jeszcze zrozumiała.

Boruta: Postawił na złęgo konia, droga Wandziu. Jak ci to powiedzieć, żebyś znowu mi nie zarzuciła, że cię chcę skołować. Że maturą straszę. Pamiętasz co nieco z podręczników historii? Bo jak myśmy już capnęli borowych, a Perun z ekipą wylądowali tu na kwadracie, okazało się, że nie wszyscy w nowym kraju cieszą się z przemiany. Buntować się zaczęli, mąciwody nudne marudne! Powstania pogańskie wzbudzać! Starych bogów poszukiwać! Piekło szturmować! I nasz Bolo

milusiński, Okrutny jak się patrzy, co nie przepuścił żadnemu kapłanowi nowej wiary, stanął na ich czele. Tak się chciał dochrapać, karierowicz, a! To myśmy mu pokazali, co to znaczy Borucie na odcisk nadepnąć... No i potem go kazano z kart historii wymazać, wykreślić. Dość skutecznie, nie powiem, jak sama pani widzi.

Wanda: Może lepiej by mi pan wytłumaczył łaskawie, na czym konkretnie polega to jego cierpienie? Owszem, wygląda na zabiedzonego i jest w kajdanach. Ale wielkie mi halo, połowa menedżmentu średniego szczebla w co większych korporacjach wygląda gorzej od niego. Tyle że ten wali dłutem w granitową skałę. Nic mu się od tego nie stanie, zasapie się najwyżej... Powtarzam, wielkie mi halo.

Boruta: Proszę pani, ja naprawdę jestem łagodny, jak tylko mogę. Nie przypiekam żelazem i nie trzymam w smole. On musi po prostu wykuć w granicie swoje imię. Gdy to zrobi, będzie wolny.

Wanda: Granit twardy. Ale ile on tu siedzi? Dobrze liczę, prawie tysiąc lat? Przez ten czas powinien wykuć te... osiem liter.

Boruta: Heca w tym, pani kochana, że on jest niepiśmienny.

Wanda: *(tłumiąc śmiech)* No tak, teraz rozumiem.

Boruta: Ten tutaj, choć analfabeta, to nieźle narozrabiał. Myśli pani, że po pokonaniu Czwórcy nastał spokój? Otóż nie. Piast i następni królowie toczyli krwawą wojnę. To były chłopcy na schwał. Już Mieszko pozamiatał, Chrobry też był dobry, a ten tutaj to jego wnuk. Sprzymierzył się z borowymi: ze strzygoniami, utopcami, całą tą hałastrą.

Wanda: Przypominam panu, pan mówi o swoich dawnych towarzyszach...

Boruta: A pani zapomina, że wyrzekłem się swoich dla Polski. Dla kraju! Nie ma pani pojęcia, jak straszliwy to ciężar. Bolo Zapomniany wgramolił się na tron i zaraz zaczął doka-zywać. Jak płonął kościół, to i z tym kościołem wioska. Zdo-bywali gród za grodem, miasto za miastem. Myśli pani, że pie-ścili tylko ojca Mateusza i resztę ekipy wyłapanej na plebanii? Pod nóż buntowników szły wszystkie kmiotki w okolicy, na-wet tacy, co to chcieli tylko świętego spokoju, kufelka miodu, kaszy ze skwarkami i strzechy nad głową! A wojny między bogami interesowały ich tylko wtedy, kiedy wędrowni graj-kowie śpiewali o nich w knajpie. Miałem na to obojętnie pa-trzeć? Byłem zajęty budowaniem prowizorycznej piekielnej infrastruktury, ogarniałem z wolna, jak to właściwie jest z ty-mi karami za grzechy. Co miałem zrobić? Rzuciłem wszystko i poleciałem do Rajchu, do faceta, którego pani zna jako Kazi-mierza Odnowiciela. Był opatem, czy tam bratem, co stanowiło trudność. Takich jak ja niechętnie przyjmowano w klaszto-rach.

Wanda: Czemu mnie to nie dziwi?

Boruta: Właśnie! Kazek to ważne imię w pani życiu. Tak się nazywał pani pierwszy mąż...

Wanda: (*oschle*) O tym rozmawiać nie będziemy.

Boruta: No pewnie. O zmarłych albo dobrze, albo wcale. W każdym razie nasz historyczny Kazio wcale nie palił się do gry o tron. Doskonale go rozumiem. Musiałem użyć całej swej hmm... perswazji?

Wanda: Czym pan go skusił?

Boruta: Ludzie chcą trzech rzeczy. Władzy, pieniędzy i seksu. Ten zgrabny zestaw ma w swojej ofercie każdy po-rządny diabeł, a ja stałem się bardzo porządnym diabłem, szanowna pani. Istnieje jednak czwarty typ człowieka, i Kazio

był jego wybitnym przedstawicielem. Taki gość łącznie świętego spokoju. Więc obiecałem mu, że będzie wielkim królem... bez żadnego wysiłku.

Wanda: Powiedział mu pan, że odbijanie Polski z rąk pogan to weekend w Sopocie?

Boruta: Mniej więcej. Widzi pani, miałem asa w ręku. Cztery asy. Poker właściwie... Mam na myśli Szczerbiec, a także Róg, Włócznię i Pierścień. Z czym to się pani kojarzy?

Wanda: Z seksem na dziko? BDSM, krępowanie, chłosta, te sprawy...?

Boruta: Noo, Wandziu... Chciałbym powiedzieć, że nie znałem pani od tej strony, ale musiałbym skłamać.

Wanda: Proszę sobie za wiele nie obiecywać.

Boruta: Więc właśnie. Żeby Piast z drużyną skuli bogów, nawet urzniętych w pestkę, trzeba ich było nieco wykrwawić. No, osłabić, i tak moc każdego przeszła w jakiś bajer, padło na to, co akurat było pod ręką. Szczerbiec był przecież zwykłym mieczem. Tego pierścienia nie wzięliby od pani w lombardzie, włócznia to tylko patyk, dopiero potem nasadzono na to ostrze, żeby nie wyglądało tak przaśnie, a róg, znaczy taki ichni kielich, walał się nieopodal, po popijawie. Improwizacja pełna! Ale to w tych przedmiotach zakłęta się część boskiej mocy, ta najważniejsza. To z ich pomocą dało się spuścić łomot potworom Bolesława.

Wanda: Miał pan je wszystkie? Co się z nimi stało? Jeśli to niby takie skuteczne ustrojstwo, wie pan, ile by można w ten sposób osiągnąć...? Twardowski na ten przykład...

Boruta: (*ucina*) Nie miałem ich wszystkich, a i ich obecna sytuacja niewiele panią obchodzi. Zresztą, co pani by z nimi zrobiła? Wystawiła na Allegro?

Wanda: Bardziej interesuje mnie, co zrobił z nimi pan.

Boruta: Z tych czterech gadżetów niewątpliwie najbliższy jest pani róg. Jego akurat dorwał nasz Bolo. W każdym razie Kazek dał się skusić, zebrał drużynę i wrócił do Polski. Borowi bronili się twardo i pewno szarpaliby się za łby aż do dzisiaj, gdyby nie prawdziwy bohater, cichociemny kraju Polan. (*milczenie*)

Wanda: No, kto to taki? To jakiś kolejny test z historii? Mieliśmy się już w to nie bawić.

Boruta: Jak to kto? No przecież że ja! Ryzykowałem. Za moją głowę była wysoka nagroda. Ale poszedłem, przedarłem się do obozu Bola i...

Wanda: (*ironicznie*) Wyzwał go pan na pojedynek! Och, chyba nie...

Boruta: Nie jestem barbarzyńcą. Najdroższy Bolo mamrotał do siebie w kącinie, a ja porozmawiałem z jego doradcami. Każdemu powiedziałem to samo: że jest wielki, jest wspaniały i to on powinien być królem. Doradcy, jak to się dzisiaj mówi, dział consultingu, od zawsze odznaczali się przerostem ambicji nad kompetencją. No i Bolo dostał przez łeb, teraz mamy go tutaj, a doradcy pożarli się o władzę jeszcze nad ciepłym trupem. Każdy ciągnął w swoją stronę, obóz borowych poszedł w rozsypkę i Kazio Odnowiciel dostał ich na talerzyku, po prostu – załatwił jednego po drugim. Polska odzyskała swoją potęgę, Kazio przypisał sobie wszystkie zasługi, zgodnie zresztą z umową, a ja zająłem się tym, co zwykle, brudną robotą i drobną psotą. Jakie jest pani zdanie o polityce historycznej?

Wanda: (*zgryźliwie*) W gruncie rzeczy żadne. Maturę zdawałam przecież z wuefu... Co, tego pan nie sprawdził?

Boruta: Wandziu kochana jak klin z rana! Za kogo mnie pani ma, normalnie serce mi krwawi. Mówię tylko o tym, że

kto zarządza przeszłością, ten trzyma w garści przyszłość. Przetopiliśmy denary, które bił Bolo, spaliliśmy jego portrety i księgi, które zawierały jego imię. Osobiście szeptałem w ucho Wincentego Kadłubka, gdy ten pisał swą kronikę. To nie moja wina, że biedaczyna był przygłuchy. Z pisarzami nie sposób dojść do ładu. Są dumniejsi niż króle i pieścżą się czule. Ba, powiem więcej! Kiedy przyszło co do czego, zakasałem rękawy i sam spisałem historię Polski! Owszem, nie podałem w niej swojego imienia. Ale robota jest moja, łatwo to pani rozpozna. Nie chwając się, Gall Anonim – to ja!

Wanda: (*uszczypliwie*) Istotnie, jeśli chodzi o przechwałki, to z panem nie pogadasz. Krynica czystej cnoty!

Boruta: (*skromnie, nie zauważając przytyku*) Ktoś musiał się tego podjąć. Oficjalna historia Polski została spisana, zaś rzeczy, o których pani mówię, okryła tajemnica. Od tego czasu obowiązuje inna, nasza, że tak powiem, wykładnia dziejów. Legendy się jakieś ostały, owszem... Ale kto szuka dziś prawdy w bajkach? Tak musiało się stać, na pewno pani to zrozumie, zwłaszcza pani, czyż nie? Pamięta pani choćby tę straszną zimę w 1980 i to, co się naprawdę stało z...

Wanda: (*przestraszona, słaba*) Proszę przestać. Mówiłam, że o... o Kaziku nie będę rozmawiać. Dlaczego mi pan to robi? Chodzi o ten artykuł o pana powiązaniach...? Naprawdę tak pana dotknął? To wszystko jeszcze da się odkręcić, tylko niech pan...

Boruta: (*przerywając jej*) Bo mogę. Cóż mi pani zrobi? Pójdzie pani do swojej gazety albo innej telewizji i powie pani: „Słuchajcie, państwo redaktorzy! Pogańscy bogowie żyli naprawdę. Walczyli z nimi pierwsi Piastowie. A, właśnie, jeszcze jedno. W ten weekend wpadłam sobie do piekła. Jest w dawnym pegeerze i całkiem tam fajowo”.

Wanda: *(próbując się otrząsnąć, przekuć wszystko w żart)*
Teraz widzę, jaki pan jest stary. Nikt już nie mówi „fajowo”.

Boruta: Oj tam, oj tam. No, proszę nie zwieszać tego czerwonego nosa na kwintę. Przejdziemy się?

Kroki.

Boruta: Pani pozwoli. Proszę się przyjrzeć temu tu biedaczynie...

Wanda: To człowiek w ogóle? Taki kosmaty? Co on tutaj robi?

Boruta: Przed panią Leszek Czarny, wielki wojownik i księżę piastowski. Oraz wielki skurwysyn. Jak się może pani domyśla, jego matka była dziwożoną. Dziwożoną z bimbałami. Dlatego taki urodziwy. A ludzie myśleli, że po prostu jak był mały, zapatrzył się na figlujące borsuki.

Wanda: E, co pan mówi, aż taki brzydki nie jest... Czemu się tak miota?

Boruta: To jego kara. Leszek nigdy nie przegrał żadnej bitwy. Miał łeb jak sklep i charakter jak adapter. A w pysk bił szybciej, niż powiesz „Lelum polelum”. Nerwowy trochę, znaczy. Również tam wszystko w nim grało na wojnę. Poza tym byście go dziś sakramencko polubili.

Wanda: No, wygląda uroczo z tym buzdyganem.

Boruta: Bo to chesio. Z chesiosłowacji. No, gejj, co pani taka niekumata? Prawdę mówię, nic nie zmyślam. Ale to już zdążyła pani zauważyć. Pierwszy w waszej, to jest naszej historii taki spartiata. Pokonał Rusinów i Litwinów, utarł nosa biskupowi krakowskiemu, zmuszając go do wyskoczenia z kasy, i jeszcze natłukł Tatarzyna. Teraz wciąż walczy, a jego los, w pewnym sensie, to marzenie prawdziwego wojownika. Mierzy się z największymi. Z Achillesem i Hunem Atyllą, z Williamem Wallace’em i Ragnarem Lothbrokiem...

Wanda: Panie kochany, ten ostatni to postać z serialu.

Boruta: O, naprawdę? Diabeł Boruta pewnie też...?

Wanda: Tak czy inaczej, nie wygląda mi to na karę.

Boruta: Pani miła by się napiła? Poczekajmy chwilę... Och! Ach! Ale wykopyrtnął! Jejku, ale się wścieka! Bo widzi pani, pani sympatyczna, z ochotą na łyeczka. Zawsze mu daję jakieś przeszkadzajki na arenę. Zalewam ją kisielom, rozrzucam gwoździe, a teraz nasmarowałem posadzkę mydłem. Lesio-Czesio się wywraca i przez to przegrywa w dwójnasób. Może to trochę czerstwe, ale przyznaję, serdecznie mnie bawi. Proszę pamiętać... prawdziwy wojownik nie boi się kłęski, lecz upokorzenia.

Wanda: Jak rozumiem, Leszek Czarny również odegrał jakąś sekretną rolę w tej pana historii...

Boruta: Sekretną jak sekretną. Trupy, które za sobą zostawiał, świadczą o czymś innym. W każdym razie, jeśli nasz Bolo sterował pierwszym rokoszem borowych, to Lesio-Czesio odpowiadał za drugi. My tu jesteśmy skuteczni, ale nie okrutni. Nie wytłukłem przecież wszystkich zwolenników Zapomnianego. I jak mi się odpłacili... (*pociąga nosem, jakby chlipał*) Siły Czarne były szczupłe, a nawet wychudzone. Zebrał resztę stworów skrywających się po lasach, plus takich jak on mieszańców, i postawił wszystko na jedną kartę. Ale, przyznaję z niechęcią, długo nikt mu nie podskoczył. Jak tylko próbował, to bęc, w czapę i w obornik, to znaczy do piachu. Miał gościu krzepę, a i łeb do dowodzenia. A i ludzie go lubili, czego już zupełnie nie pojmuję. Poradził z nim sobie dopiero ten niewdzięcznik.

Wanda: Niewdzięcznik?

Boruta: Łokietek.

Wanda: Władysław Łokietek?

Boruta: Kurdupel, no. Karypel. Konus bonus. Sama pani wie. Mały, zawzięty. Taki, kurna, glonojad. Twardzieli to jednak najlepiej szukać między karzełkami. Był młodszym bratem Czarnego, oczywiście z innej matuli, i od początku miał pod górkę. Matka trzymała go pod spódnicą. Nie dostał nawet swojego księstwa. Z miejsca mi się spodobał. Jeden z tych, co chcą przebić mur własną głową...

Wanda: Napuścił pan braci na siebie, mam rację?

Boruta: Nazwijmy to wyrównaniem szans. Lesio-Czesio miał swoją armię, więc wystarałem się Łokietkowi o Szczerbiec. Lesio poszedł w piach, a cwany Władek zabrał się za podnoszenie Polski z rozbicia dzielnicowego.

Wanda: Dlaczego mi się zdaje, że go pan nie lubi? Czemuż to? Przed chwilą sam pan mówił, że pan by wszystko, dla kraju...

Boruta: No cóż. Ujmijmy to tak: koniec końców, odrobinę mnie rozczarował. Ale to nic, jestem diabłem. Rozczarowanie moją kawą, żal cierpkim winem, gorycz zaś mym...

Wanda: A gdzie on jest?

Boruta: Niby kto?

Wanda: Łokietek! Proszę się przyznać. Pan go tutaj nie ma!

Boruta: Skąd ta pewność? Nie no, w porządku, Łokietek może nie do końca jest w piekle. Ociupinkę mi się wymknął. Przyrodzona dobroć czyni mnie ślepym, za to Łokietek miał dobry wzrok. Na przykład umiał czytać. I dopisał coś tam w cyrografie. Nie miałem czasu, leciałem ogarniać cyrk z Henrykiem Probusem i rycerzami zmienionymi w gołębie, podpisałem bez patrzenia.

Wanda: Co pan dostał zamiast duszy? Kota w worku? Szufłę łajna?

Boruta: Proszę pani, za kogo mnie pani ma? Coś tam jednak wytargowaliśmy. Łokietek był księciem na Łęczycy, wyrwałem od niego tamtą ziemię i mogłem w końcu zbudować piekło z prawdziwego zdarzenia! Pod Kruszwicą, pani kochana, to jednak prowizorka była. A pacjentów mi przybywało... Łokietek, zamiast duszy do piekła, dał mi piekło samo w sobie i wcale nie mam na myśli tylko tego, jak mnie ta sytuacja wpieprza.

Wanda: Boruta się rozkleił? Normalnie zaraz sama się wzruszę. Proszę nie udawać, przecież widzę, że tak naprawdę musi go pan lubić... W końcu pan znalazł godnego przeciwnika. Kogoś, kto nawet piekło wyrolował. Nie uwierzę, że to panu nie imponuje.

Boruta: Heh, po prawdzie, sam bym to właśnie tak rozegrał. Ta ziemia zrodziła zresztą więcej takich ananasów, jeśli już mam być ckliwy. Jak ich przewrócisz dwa razy, to wstaną ze cztery. Jak zaczniesz ich skubać, to na końcu się okazuje, że sam masz przesrane. Nie to, że mnie kiwali, o nie! Ja tam sobie nie dam w piórko dmuchać. Ale tych z Piekła europejskiego...? Daj pani spokój, jakie tam są oferty! Tymczasem Lesio padł, reszta borowych poszła w rozsypkę bądź związała na Litwę. Ale, ale, mam dla pani coś specjalnego, z zupełnie innej beczki. Pamiętaj pani, po co do mnie przyszła?

Wanda: Teraz to już nie jestem taka pewna... Po Twardowskiego?

Boruta: A widzi pani tego brodacza w otoczeniu pięknych kobiet? Otóż i Gucio-Gucio, Lepkie Rączki. Czyli Zygmunt August, ziom naszego Twardowskiego, w zakątku piekła dedykowanym właśnie sobie.

Wanda: Istotnie, nie wygląda na uszczęśliwionego. Co to za babeczki? Czemu tak na niego krzyczą?

Boruta: Damy i flamy, królowe i salowe, matrony i harpagony. Bo Guccio-Guccio, jak to mówią, nie miał selekcji na bramce i robił wszystkie jak leci. Zwał je sokołami, w czym widzę jego tęsknotę do wzlotów. Proszę się przypatrzeć. Są tu wszystkie! Zuzka Orłowska, boska. Diana di Cordona, kobieta doświadczona. Baśka Giżanka, kochanka szklanka. Zwana także wicecysem, a to ze względu na to, że przypadła jej rola pocieszycielki po zgasłej Radziwiłłównie. Widzi pani tę taką, fioletową z wściekłości? Ryczy na króla jak bawół. Oto i Radziwiłłówna, jego wielka miłość i nie tylko jego. Dziewczyna jak wagon metra, każdy się wciśnie.

Wanda: No dobrze. Tylko czemu tak na niego wrzeszczą?

Boruta: Niech pani nie udaje. Opieprzają niewiernego kochanka. Drą kopary...

Wanda: ... przez całą wieczność. To rzeczywiście piekło.

Boruta: Myli się pani głęboko. Teraz akurat Guccio-Guccio ma fajrant. Chwilę oddechu. Normalnie te wszystkie dziewczęta tulą się do niego, obiecują miłość i oddanie, zgadzają się na wszystko i pragną tylko odrobiny czułości. To, nic innego, jest piekłem Gucia-Gucia. Nie uszło mojej uwagi, że przygląda się pani temu z widoczną satysfakcją!

Wanda: Nie jestem mściwa. Niemniej, widok przyjemny.

Boruta: Przecież pani osobisty przypadek jest zgoła odwrotny. To pani kruszyła męskie serducha. Pani pierwszy mąż...

Wanda: (zmęczona) Już o tym mówiliśmy. Znowu pan zaczyna? Co to pana obchodzi?

Boruta: Niby nic, ale może i wiele. Zainteresowanie rozwodami leży w zakresie moich obowiązków zawodowych. Prywatnie powiem pani, że takie rzeczy po prostu się dzieją.

Przyszła lepsza oferta, puściła pani frajera w trąbę, i tyle. Jakby to powiedzieć... sam bym tak zrobił na pani miejscu.

Wanda: Miało być o Twardowskim, czyż nie?

Boruta: Ależ proszę! Więc, poznaliśmy się z nim właśnie u Gucia-Gucia i proszę nie robić takich wielkich oczu. Kwestia długowieczności naszego misia jest nieco zagmatwana, ale i do niej dojdziemy. W każdym razie, gdy się poznaliśmy, nasz Casanova z Ursynowa nie był żadnym milionerem, lecz cwany frajerem, co kręcił się przy królu. Bez przerwy opowiadał o swojej przyjaźni z Faustem i pokazywał tanie sztuczki. Niby przepowiadał przyszłość, próbował przemienić ołów w złoto i twierdził, że biblijni prorocy wpadają do niego co wieczór na kwas chlebowy. Ale po prawdzie to on rajfur był, no, taki fajfur, przynajmniej w teorii. Jak kogoś jakaś dwórka puściła w trąbę, to organizował seanse przed „magicznym” lustrem, że niby można jeszcze raz pogadać, popatrzeć... A tam, w półmroku, jego haremik szopkę odstawiał jak się patrzy! Lubiłem go, uwierzy pani? Był rzutki, dowcipny i potrafił zmyślać. Król uwierzył, że Twardowski naprawdę jest czarodziejem...

Wanda: Gwoli ścisłości. A nie był?

Boruta: Przecież mówię. Przy dworach kręciło się pełno takich, a do mojej roli należała ocena, kto kłamie, a kto nie. No i okazało się, przyznaję z niechęcią, że ta gumowa grucha miała jednak talent... A początkowo nawet mnie oszukał. Byłem przekonany, że kłamie jak wszyscy.

Wanda: A przynajmniej jak pan. Nie wierzę, że przyjaźnił się pan z ludźmi.

Boruta: Właśnie zabiegam o pani przyjaźń.

Wanda: Kiepsko panu idzie.

Boruta: Lepiej, niż pani sądzi. Ot, błędy młodości mojej chmurnej a durnej, jak mawia poeta. Twardowski omotał kró-

la, czemu przyglądałem się z rozbawieniem. Raz zrobił pokaz. Zasłonił kotary w komnacie, rozpałił ogień, napuścił dymu, słowem było jak u Nergala na imieninach. Król rozwalił się na krześle, żarł kapłona i czekał, co będzie. W cieniach mignęła potężna sylwetka, długowłosa chłop jak dąb, w koronie... Twardowski twierdził, że sprowadził z zaświatów ducha biblijnego Samsona. Po prawdzie, ściągnął cyrkowego osiłka w peruce. Gucio-Gucio cieszył się jak mała z kompasu. Problem polegał na tym, że niebawem Baśka Radziwiłówna odwaliła kitę. Król zaraz poleciał do Twardowskiego i powiedział: sprawdzam!

Wanda: Rozumiem. Skoro Twardowski przywołał Samsona, powinien dać sobie radę i z Barbarą.

Boruta: Gorzej. Twardowski dostał ultimatum. Albo Baśka powraca, zdrowa i jędrna, albo koniec pieśni. *Kaputt!* Do widzenia ślepa Gienia! Dyndu-dyndu! Nie żadne zwidy i hokus-pokus z duchami. Gucio-Gucio chciał więcej. Wtedy powinna mi się zapalić czerwona lampka. Bo wie pani, Twardowski, jak tylko o tym usłyszał, zaraz znalazł do mnie dojście, odprawił stare rytuały, no, przywołał diabła. Po prawdzie, spieprzył je na całej linii, to straszna hochsztaplerka jest, ale, jak pani mówiłem, już wtedy mu się przyglądałem i byłem ciekaw, co będzie dalej. Szykował się interesik aż miło! A Twardowski, jak tylko mnie zobaczył, zaraz zaczął nadawać: że to, że tamto, że sprawa gardłowa i król nie poznał się na żartach. Powiedział, jaka jest sytuacja. Męczył bułę, że przeszarżował, że przecież nie potrafi wywoływać duchów, a wskreszenie jurnej baby w ciele i krwi też nieco go przerasta. Król dał Twardowskiemu wybór. Stryczek albo skrzynia złota. Barbara – albo toporem prosto w łeb. Biorąc pod uwagę, jak prowadziła się ta cała Basia, to pół Polski chciało robić ściepę

na jej powrót. Proszę mi wierzyć, Twardowski nie był ubawiony. Wypłakał mi się na ramieniu. A ja powiedziałem: Jasiu, spokojna głowa, jakoś to ogarniemy. I dałem mu lustro.

Wanda: To lustro, o którym pan już mówił?

Boruta: Żadne inne. Duże, z ramą zrobioną z dębu, który stał na świętej polanie i lekko się przywędził w noc pojmania Świętowita.

Wanda: Tej pana całej Czwórcy.

Boruta: (*ubawiony*) Mojej, a to dobre... W każdym razie, lustro zadziało. Twardowski poradził sobie, jak umiał, król był zadowolony. Przynajmniej początkowo. Proszę sobie wystawić, że Barbara rzeczywiście pojawiła się na dworze, nigdy nie oferuję wadliwego towaru. Król zatarł lepkie rączki, Twardowski się po prawdzie zdziwił, ale forsę za usługę nie oddał. Był jednak na tyle mądry, że nie czekał, żeby zobaczyć, jak się rozwinie sytuacja. Bo Barbara, owszem, ucieszyła Augusta – ale tylko na chwilę. Okazało się, że ta nowa babka wcale nie jest taka jak wcześniej. Chłodna, wyrachowana, pani powiedziałaby dziś: do bólu logiczna. Gucio-Gucio do niej z rączkami, a ta mu na to, że może by lepiej zadbał o higienę, z takimi łapami to się może co najwyżej wytarzać w smole. Gucio się przymiła, a ta mu na to, że najpierw państwem trzeba się zająć. Uwierzy pani, takie rzeczy do chłopą, któremu zakipiła pod czaszką? Serca trzeba nie mieć, co zresztą usłużni dworacy zaraz Barbarze imputowali. W alkwie zresztą, jak przyszło co do czego, też okazało się, że jest zupełnie inaczej, niż Auguścik to spamiętał. Barbara zaczęła mu wyliczać czas spędzony na figlach-miglach, że za krótko, że za mało się stara, że jak już coś robi, to niech się przyłoży porządnie... Ale Twardowskiego już tam wtedy nie było. Mówiłem pani, że to lepszy cwaniak? Wiedział, kiedy trzeba dokonać strategiczne-

go odwrotu – i zniknąć z pola rażenia.

Wanda: A haczyk... gdzie?

Boruta: Jaki znów haczyk?

Wanda: Pan nie jest człowiekiem, który daje cokolwiek za darmo. Właściwie, nie jest pan w ogóle człowiekiem...

Boruta: Nie ma nic za darmo. Chciałem zwyczajnej, ludzkiej wdzięczności. Spisaliśmy z Twardowskim niezbędne dokumenty...

Wanda: Dał panu duszę za lustro! A więc bajki nie kłamia. Trochę słono, nie sądzi pan? Panie Boruta, ma pan jeszcze ten ogień? Myślę, że jednak zapalę.

Boruta: Ależ proszę! (*płonie płomień z palca, Wanda zaciąga się*) Pani Wandziu, przecież ja Twardowskiego ocalałem od śmierci. To jest coś! Rzeczywiście, nasze stosunki po tym wydarzeniu nieco się ochłodziły. Czy pani uwierzy, że mnie oszukał? Mnie! Jedynego przyjaciela! Ocalałem go od stryczka, a on dał mi w nochal prztyczka. I zaraz zaczął kombinować, jakby tu wywinąć się z umowy!

Wanda: (*zaciąga się*) Mhm, faktycznie, drań skończony. A mógł dać się tak przyjemnie panu zaciukać. À propos, co pan przygotował dla niego w piekle, oczywiście w ramach najszerszej przyjaźni?

Boruta: Doprawdy, pani insynuacje są nietrafione. Musi pani być taka ironiczna? Mój słowiku na kacyku, Twardowski okazał się chamem bez zasad. Zamiast grzecznie poczekać, aż kontrakt się sfinalizuje, naprawdę się przejął. A umowy się, duszę miał już cokolwiek przechodzoną. O co tyle krzyku, mój ty żołnierzyku? Zaczął gromadzić księgi magiczne. Szukał wiedzy i jeździł do innych czarodziei, przeważnie głupszych i bardziej zakłamanych od niego. Ktoś tam jednak coś umiał... Twardowski też się w końcu zorientował, że potrafi to i owo,

odkrył swoje talenta. A ja, cóż, nie miałem głowy, by go wtedy śledzić, a kiedy połąpałem się, było już za późno. Znalazł metodę i jedzie na niej do dziś.

Wanda: Jak sądzę, opowieści o karczmie „Rzym” i Księżycu możemy między bajki włożyć.

Boruta: On się reinkarnuje, księżniczko-alkoholiczko. Ten Twardowski, którego pani szuka, jest kolejnym takim ciułem, co chadza po świecie. A moje prawa gdzie? Biznes jest biznes, no nie?! Nie chodzi nawet o dotrzymanie kontraktu czy przyjaźń ludzko-diabelską. Co to w ogóle ma być, ta cała reinkarnacja? Człowiek umiera i trafia do mnie albo na górę. Tak wygląda właściwy porządek rzeczy. A Twardowski gwizdże na prawa obowiązujące wszystkich, wprowadza zamieszanie...

Wanda: Dał się pan wykołować, i to pana boli.

Boruta: Jeszcze pani zobaczy, czyje będzie na wierzchu! Żeby to zresztą było takie proste. Proszę uważać, teraz robi się trochę krwawo. Moje lustro daje mu wiedzę i wspomnienia – ale, jak pokazał przykład z Radziwiłłówną, do tego potrzebne są jeszcze emocje, uczucia. Ciało. I ten wał Twardowski odkrył sposób, jak to sobie zapewnić. Dawno już bym mu urwał co nieco, ale do tej pory zawsze mu ktoś w tym pomagał. Do czasu. (*krótki śmiech*) Dopadłem gada.

Wanda: Ma go pan tu? Gdzie? Proszę mnie do niego zaprowadzić! Pan traktuje ludzi jak jakieś eksponaty...

Boruta: (*zmieszany*) Ma, ma... A co pani taka ciekawska? (*już normalnie*) Mam tutaj największych Polaków, co – przyznaję – stanowi powód do dumy. Choć czasem trafi się mierznota. Proszę tylko zerknąć na tego tam frajera. Jak się frasuje! To król Staś Poniatowski. Cóż pani może powiedzieć o tym egzemplarzu?

Wanda: Na razie to mogę powiedzieć tyle, że gdzieś

bym przysiadła. Nogi normalnie włożą mi w...

Boruta: (*wchodzi w słowo*) Dobrze. Zaraz coś się znajdzie. (*dźwięk pukania w szybkę*) Taś, taś, król Staś... Nie mogę, jaki głupi! Normalnie nie wie, co się wokół dzieje!

Wanda: Markotny jakiś ten Poniatowski. Czemu tutaj trafił? Ma raczej dobrą opinię, a w Łazienkach przyjemnie...

Boruta: Czemu trafił? Wando z butelek bandą, ten tutaj jest najprzedniejszym skurczybykiem. Proszę mi powiedzieć, co on tam liczy?

Wanda: Złote monety?

Boruta: Ruble od carycy! Brał za zdradę, Targowicę!

Wanda: I jak znam życie, gdy skończy, będzie wolny.

Boruta: Owszem!

Wanda: Tylko z jakiegoś powodu nigdy nie skończy.

Boruta: Właśnie tak! Proszę mi nie mówić, że pani nie docenia finezji tego pomysłu. No, proszę mi nie psuć zabawy!

Wanda: Ta... No racja. Przednia zabawa. Pewno ma dużo tych monet?

Boruta: A skąd. W gruncie rzeczy, król Staś robił za drobniaki i numerek gratis. Do przeliczenia w jeden wieczór. Swoją drogą, wie pani, ile trwa minuta w piekle? Proszę wyobrazić sobie najgorszą chwilę swojego życia, no na przykład... a, niech będzie, telefon, który otrzymała pani zimą 1980...

Wanda: Cholera jasna! Pan nie odpuszcza...

Boruta: Ale po co te nerwy? Proszę sobie po prostu wyobrazić, że ten telefon dzwoni nie raz, tylko tysiąc razy, tysiąc razy pani go odbiera i tysiąckrotnie słyszy pani to, co słyszy. Wówczas dopiero mija jedna minuta w piekle. A minut jest nieskończenie wiele, gdyż potępienie, jak pani zapewne się domyśla, trwa do końca świata i jeden dzień dłużej. O! Już są! Proszę patrzeć!

Wanda: No, widzę. Ale nie słyszę. Co oni do niego mówią?

Boruta: Otóż i czołowi oświeceniowi intelektualiści, goście obiadów czwartkowych, śmietanka towarzyska, chlup setkę do pyska! Przychodzą prosić go o stypendia, granty bądź choćby dofinansowanie jakiegoś projektu literackiego. Pisarzy są najbezcenniejsze! Nic, tylko by gadali o forsie. Kto ile wyrwał grosza, kto komu nie zapłacił i że w następnym pamphlecie to obrobiją mu tył, aż przykro będzie patrzeć! Ale pani się nie dziwi. Artyści zawsze byli tacy sami, wczoraj i dziś. Do tego czytają temu Stasiu swoje najnowsze dzieła. Zawsze w całości, nie znają litości. To go rozprasza, gubi się i musi liczyć od nowa. Nawet tę drobnicę. Poza tym nie ma nic nudniejszego nad literaturę oświeceniową. Proszę to sobie wyobrazić... Literatura oświeceniowa przez całą wieczność! No, z wyjątkiem markiza de Sade. Tego trzymam na nocnym stoliku.

Wanda: Jest pan twardy jak Roman Bratny.

Boruta: Tu istotnie byłem bezlitosny jak kac trzydniowy! Właśnie, myślała już pani nad swoim piekłem? Nie no, spokojnie jak na wojnie. Teoretycznie, jasne, że teoretycznie. Tak tylko mi się wyrwało. Nieważne. Taki Bolo Zapomniany przynajmniej był wojownikiem na schwał. Lesio-Czesio tak samo. Z Gucia-Gucia przy każdej okazji wychodziła pocieszna pierdoła, lecz przynajmniej miał rękę do kobiet. A Staś? Nigdy niczym nie zaryzykował, brał szmal od kochanki-Moskwianki i jeszcze sprzedał swoich...

Wanda: I kto to mówi?

Boruta: *(nagle poważnie)* O, chwileczkę... Tak się bawić nie będziemy. Ja, proszę pani, zawsze ratowałem Polskę. Ja wiem, mnie można nie lubić. Rozumiem, choć nie pochwalam. Ale pani myśli, że te wszystkie rozpady dzielnicowe, kryzysy,

wojny, cudze spiski, te wszystkie podchody, żeby nas wysiudać z siodła historii – żeby mnie wysiudać! – to się rozwiązywały same? Że jakiś leszcz, obdarty ze skór wielu, prezenty mi robił? Zadbął o ten kawałek podłogi? Ooo nie, droga pani. Ja to wszystko sam, o, tymi rencami! Taka unia z Litwą, ja wiem, że pani tego nie pamięta, bo zamiast do szkoły woląla brykać na browar i amory. Ale to przecież ja, ja sam! Tylko po to, żeby się nie dać zadławić europejskiej centrali! Czy pani wie, że oni uznali, że za mało lokatorów wykazują im na dorocznych zestawieniach i z Polski chcieli zrobić podrzędną prowincję podpiętą pod pion, nie uwierzy pani, germański? Do dziś mnie jeszcze telepie na to wspomnienie. Ale kto kreatywną księgowością wojuje, od kreatywnej księgowości ginie! A ten tu, Poniatowski, pożał się... no, pożał. Król od siedmiu boleści. On Polskę zgubił! Naprawdę nie widzi pani różnicy?

Wanda: Dobrze już, dobrze. Zastanawiam się po prostu. Kto wie, może jest gdzieś piekło dla pana?

Boruta: Myśli pani, że chcę wykonywać tę robotę, że mnie to cieszy? Nie wiem, w co ręce wsadzić, a cokolwiek bym zrobił, lokatorzy i tak niezadowoleni. A przecież ja ich tylko tyle popieszczę, żeby się nazywało, ot, dla własnej uciechy. Pani nie widziała, co się dzieje gdzie indziej... A u nich tyle wdzięczności i entuzjazmu co u sprzedawcy w supermarkecie, na dziale z kurczakami. No to gdzie tu sprawiedliwość? Ja się męcę, morduję, flaki sobie wypruwam, próbując wymyślić dla każdego oryginalne potępienie, i nie mam za to absolutnie nic. Może poza odrobiną skromnej satysfakcji.

Wanda: (*ironicznie*) Szczerze panu współczuję. Jeśli dobrze rozumiem, miał pan realny wpływ na życie polityczne w Rzeczypospolitej Szlacheckiej, z załatwieniem komuś korony włącznie.

Boruta: No pewnie, że tak. A cóż w tym dziwnego? U nas takie rzeczy załatwia się w ten sposób od zawsze.

Wanda: Więc czemu dopuścił pan do władzy króla Stasia?

Boruta: (*pauza*) Punkt dla pani, co otwiera stare rany. No dobrze. Król Staś nie był moim wyborem, choć pośrednio doprowadziłem do jego elekcji. Błąd, niedopatrzenie popełniłem wcześniej, do czego przyznaję się szczerze, gdyż tylko w szczerłość wierzę. Od zawsze chciałem, by w Polsce rządziła dynastia solidna jak frank szwajcarski.

Wanda: Mhm, i jak pomoc bratnia...

Boruta: Wiem, co mówię. Potrzebowałem dynastii wystarczająco mocnej, by kolejni królowie utrzymali się na tronie, i dość słabej, żeby nie wyszedł z tego jakiś terror-horror. Z Piastami poszło świetnie, z Jagiellonami jeszcze lepiej, a później wymyślili sobie demokrację i musiałem przejść na sterowanie ręczne. Na szczęście wykombinowałem *liberum veto*. No, co pani tak patrzy? (*uszczypliwie*) Proszę sobie gugnąć, co to takiego. I tak wszystko dobrze żarło, a ja mogłem się oddać zasłużonemu urlopowi – mówię pani, XVII wiek to było dopiero piekło, czysta sielanka! – dopóki nie zorientowałem się, że kraj podupadł za bardzo. Ale na mnie trzeba czegoś więcej! Zastanowiłem się, co robić... Potrzebowałem władców z prawdziwego zdarzenia.

Wanda: I tak trafił pan na Poniatowskiego? I pan mówił, że zna się na zarządzaniu kadrami?

Boruta: Proszę się nie dziwić. August Mocny jawił się jako, hm, poważny władca i prawdziwy Europejczyk, do tego chłop jak dąb, podkowy łamał i żonie wciąż kłamał, seryjny sercołamacz... Pacjent w sam raz do obróbki skrawaniem. Tylko przeszarżował. Wciągnął Polskę w kolejną wojnę, tym

razem na północy, przetrzął sromotnie i został, jak ciul, z podkowami i dziewczuchami.

Wanda: On też tu jest?

Boruta: Chyba nie chce pani do niego iść. Narobił trzy setki brzdąców i prowadzi wieczne przedszkole.

Wanda: Wyjątkowo ma pan rację. Zostańmy tutaj.

Boruta: Jego synalek mądralek okazał się jeszcze gorszy. Tylko żarł, spał i zbierał dzieła sztuki. Szkoda jeszcze, że nie wziął się za wyszywanie na tamburyнку. Przysięgam, nawet nie wiedział, kiedy umarł. Ze dwa tygodnie po trafieniu tutaj próbował rozkazywać diabłom, sądząc, że wciąż jest królem. Kombinowałem więc potem, jak mogłem, tylko nikt mi nie wierzył po katastrofie z oboma Augustami. Do głosu doszło, nazwijmy to tak, wrogie stronnictwo i wybrali króla Stasia. Wiedziałem, co się zadzieje. Szast-prast, ojczyznę nam rozdrapali.

Wanda: A wrogie stronnictwo? Co to takiego?

Boruta: (*zamyślony*) W tym fachu nie ma się za wielu przyjaciół... Borowi, leśni, niedobitki wyznawców starych bogów... (*otrząsa się, podejrzliwie*) A co pani taka ciekawska...? Może pani też od nich? Co? Proszę mi się tu zaraz...

Wanda: (*ironicznie*) Przeżegnać?

Boruta: (*śmiech*) To się pani udało. No tak. Caryca Katarzyna trzymała z leśnymi, po nocach śnił jej się Perun z Mokoszą na spólkę, i wyznawała Czwórcę, lub kto wie, jeszcze gorsze, jeszcze straszniejsze rzeczy, bo świat, ten i tamten, wprost roją się od okropności, które chcą nas zezłościć i złoścą się na nas, bo między nami sztama. Nadaża pani?

Wanda: (*ironicznie*) Tak, nadażam-okrażam.

Boruta: Borowi szeptali w jej rozpustne uszko, ona powiedziała Stasiowi, co ma robić, i było już po kraju. Popiera-

łem Kościuszkę, lecz ten baran urznął się, zapomniał mapy i mieliśmy klęskę pod Maciejowicami. Leśni wzięli straszliwą pomstę. Wyrznęli Pragę, chłęptali krew warszawiaków. Nie mogłem na to patrzeć, po prostu nie mogłem...

Wanda: Wie pan, co myślę?

Boruta: Wiem, co pani robi. Ale co myśli – już nie.

Wanda: Tak sobie słucham, tak patrzę na pana przedstawienie. I widzę jedno: że pan jest po prostu potwornie nieudolny. Wykiwali pana Twardowski i Łokietek, pomylił się pan z Augustami, a potem strugnęła pana caryca z przekupnym Poniatowskim. Czy mógłby pan powiedzieć, dla odmiany, co do tej pory się panu udało?

Boruta: Proszę nie nadużywać mojej cierpliwości.

Wanda: Myślę, że pan jest tylko pionkiem obarczonym niewdzięcznym zadaniem. Lawiruje pan, żeby ocalić swoją pracę.

Boruta: Bzdura! Ta rozmowa jest skończona.

Wanda: Dobrze. Proszę mi więc pokazać drogę do wyjścia.

Boruta: *(po chwili)* A kto powiedział, że pani nie umarła? Już nie żyje? I właśnie dlatego się tutaj znalazła. Kto wie, może pani miejsce jest już tutaj?

Wanda: *(zbita z tropu)* Jakbym nie żyła, tobym chyba wiedziała... Zresztą, pan mi miesza w głowie! Lepiej wróćmy do pana! I do tych tanich sztuczek. Niby co, niby mam sprzedać ludziom historię, że taki, za przeproszeniem, Janusz biznesu jak pan to jakieś wielkie pradawne bóstwo? Strażnik piekła? Diabeł nad diabłami? Wolne, kurwa, żarty. Jeszcze potrafię rozpoznać, kiedy ktoś robi sobie ze mnie jaja.

Boruta: *(początkowo chłodno, potem już normalnie)* Droga pani. W każdej epoce przyjmuję taką postać, jaka jest

aktualnie najbardziej pojemna. Cóż w tym dziwnego? Że tak powiem górnolotnie: w tych kształtach zewnętrznych kumuluje się zbiorowy duch polskości. Czy to źle? Ta cała przedsiębiorczość, energia, umiejętność wynajdywania trzeciej drogi, kiedy wydaje się, że z sytuacji nie ma ani jednego wyjścia i niejeden już dawno zwiesiłby nos na kwintę. Muszę powiedzieć, że nawet mi to imponuje. Ale proszę mnie nie mylić z jakimś cyrkowym fagasem-ananasem. Nie te latka, kochana Wandziu, nie te latka...

Wanda: Dobra, dobra. Znudził mnie pan, zrozumiano? (*nerwowo*) Chcę wyjść, gdzie jest wyjście? Jeśli mnie pan zaraz nie wypuści, to obiecuję, że...

Boruta: (*prawdziwym, to znaczy demonicznym, basowo przesterowanym głosem*) Dość! Przed eonami, w ciemności i pustce: byłem ja! Zrodzony z cienia, w splątanych korzeniach: ja! Syn wrzasku i rozpacz! Przez gwiazdzistą bramę, nad plującą płomieniem taflą ognistych jezior! W najciemniejszą noc roku, w czas nowiu, w Świątyni Krzyku: ja! Przed którym upadają królestwa, a każdy ludzki robak gnie się w pokłonie! Z wieczności w wieczność, aż po kres czasu! Ten, który nie zna spoczynku ni wątpliwości. Kroczący Wśród Nocy! Ja!

Wanda: O Boże...

Boruta: (*jakby do siebie, pod nosem*) Teraz to o Boże... Z nimi zawsze tak samo. (*do Wandy, uprzejmiutko-słodziutko*) Tak? No, widzę, że w końcu zrozumiałaś. Przynajmniej to sobie wyjaśniliśmy. (*kroki*)

Wanda: (*niepewnie*) H-hej, dokąd pan idzie?

Boruta: (*śpiewa*) Wyjechali na cmentarzyk wszyscy nasi podopieczni/ Teraz cierpią męki wieczne, bo byli niegrzeczni...

Wanda: Nie leć pan tak!

Boruta: Proszę nie podnosić głosu. Jestem u siebie.

Wanda: Trzej zaborcy podzielili Polskę. Co działo się dalej? (*pauza*) Jaką rolę pan odegrał?

Boruta: O to właśnie chodzi. Czy ja zawsze muszę odgrywać jakąś rolę? Może jestem zmęczony? Może chcę odpocząć, co? Nic, tylko weź i za kogoś zrób! Od tysiąca lat nie mam prywatnego życia. Zajmują mnie sprawy wyłącznie najwyższej wagi. Momentami pani zazdrozczę tych miłych chwil dla siebie.

Wanda: Skoro pan wie o mnie aż tyle, to może wie i to, że w sumie nie ma czego zazdrościć.

Boruta: Ludzie lekceważą to, co mają. Weźmy drobną przyjemność. Kawę na tarasie. Popołudniowy spacer. Pogawędkę z sąsiadką. Albo wódeczkę na śniadanie. Jakie jest pani zdanie na ten temat? Czy pani się wydaje, że ktokolwiek dwa stulecia temu miał jakieś drobne przyjemności? Chłop małorolny, któremu wypadły zęby? Łysiejąca mieszczałka? Najemnik? Nie zdajecie sobie sprawy, jakie macie szczęście, wy, ludzie. W tym pani, wiecznie na bani.

Wanda: Jest pan monotematyczny. Szczęście? Pan nie wie, o czym mówi. Każdy z tych małorolnych obszarpańców dałby sobie małego ciachnąć, żeby się zamienić z panem, czy przynajmniej z tym, co pan o sobie opowiada. Długowieczność? Potęga? Brak problemów z zatrudnieniem? Możliwość odwrócenia wyroków losu? I pan śmie nazywać siebie nie-szczęśliwym? Proszę nie żartować.

Boruta: (*filozoficznie*) Cóż, dlatego biznes się kręci, droga Wandziu. Dziś rano wlała pani sobie pięćdziesiątkę do porannej kawy, czego nawet pani nie wie, bo ludzie nie wiedzą takich rzeczy, tak jak nie pamiętają, czy ziewnęli po przebudzeniu. Odruch, potrzeba ciała, niepamięć zabrała. Zna pani

każdy sklep na trasie redakcja-dom i każdą bramę bez domofonu, gdzie można sobie chlapnąć na szybko, a jednak butelczki znajduwane po kieszeniach wprawiają panią w niepomierne zdziwienie. Zionie pani wódą na współpracowników i rozmówców, tylko nikt nie odezwie się słowem, bo kto śmiałby zwrócić uwagę wielkiej Wandzie Tokarczyk? Legenda dziennikarstwa, jej wszystko wolno... Proszę teraz oskarżyć mnie o kłamstwo, skoro taka pani w tym dobra.

Wanda: (*zmieszana*) Każdy pije. Sam pan powiedział. A pan nie patrzy na kontekst. Co pan taki święty?!

Boruta: Co noc budzi się pani o trzeciej i wali gołdę duszkiem, przynajmniej ćwiartkę, żeby znowu zasnąć. O jaki kontekst pani chce zapytać? Wiem, co zaraz usłyszę – (*głos Wandy w ustach Boruty*) „Pan nie wie, jakie mam życie! Pan nie wie, z czym się zmagam!”. Otóż, ma pani dobre życie i zмага się głównie z nadciśnieniem. Niedługo dojdzie do tego *delirium tremens* i białe myszki na ścianach.

Wanda: To moje życie. Nie mam dzieci. Nikogo nie krzywdzę...

Boruta: Nikogo już pani nie krzywdzi. „Już” robi wielką różnicę, bo już zrobiła pani karierę, a żadnej kariery nie robi się za darmo. Nadłożymy drogi? Niech będzie, że stracę. Mam dla pani doskonały przykład.

Wanda: Picie do lustra i tak lepsze niż pańska pycha.

Boruta: Pycha przynajmniej nie niszczy wątroby. Niemniej trafiła pani w punkt, bo ten oto pacjent wie wszystko o napędzaniu pychy karierą, a jak pani widzi, z kielonem też jest za pan brat.

Wanda: Kto to? Wygląda jak przedsiębiorca pogrzebowy. Z tym wąsikiem...

Boruta: Przed panią prezydent Polski, znany kobieciarz

i bydlę nietuzinkowe, Bolesław Bierut.

Wanda: Aleś pan strzelił. Jak pędzłem o kamień.

Boruta: (*teatralnie*) I weźże tu, diable, dogodź takiej! Łażę po piekle, wychodzę ze skóry, inwestuję w efekty specjalne, a ona wciąż niezadowolona. A kogo się pani spodziewała? Jakieś nazwisko z pierwszych stron gazet, na ten przykład...

Wanda: No już dobrze, dobrze. Co mu zrobiliście? Siedzi i pije gorzałę? Wielkie mi halo. Jakby to pan powiedział, niestający piątunio? Niejeden stwierdziłby, że są gorsze kary.

Boruta: Proszę się nie krygować, zawsze można zatan-kować.

Wanda: Dziękuję, postoję.

Boruta: Nooo, pani Wandziu... Proszę nie zgrywać takiej twardej.

Wanda: (*w końcu rozzłoszczona*) Zgoda, piję. Piję, więcej niż powinnam. Ale na własnych zasadach. Ludzie mają wybór. Zawsze mają wybór. Ale pan tego nie rozumie.

Boruta: Do pani wyborów niedługo dojdziemy. Każdy zresztą uszanuję, tak jak i ten. (*uradowany*) O, proszę spojrzeć na zbolałą twarz naszego Krwawego Bolesława. Jeden z moich ulubionych lokatorów! Siedzi sobie przy stole i pije wódeczkę na kieliszki. Nie zapyta pani, gdzie jest haczyk?

Wanda: No cóż, to akurat wiem. Zapewne w kacu.

Boruta: Och! on marzy o kacu. Proszę mi wierzyć, Bierutek-Podrzutek wciąż marzy o tym, jak to budzi się z ciężkim łbem, a przed oczyma tańczą mrocзки, serce wali, a ręce się trzęsą. Ile by oddał za zwykłego pawia! Bo widzi pani, on nie pije zwyczajnej wódki, tylko ruską, ciepłą harę. Jakby pół dnia stała na nasłonecznionym parapecie. Więcej. On musi wypić całą wódkę, jaką mają w Rosji. Ni mniej, ni więcej. Widzi pani

ten licznik, o tam dalej? Ilość ruskiej pryty, tej przybywającej i tej ubywającej, jest tu cały czas monitorowana. Bez przepitki czy zagrychy. A gdy dopełni zadania...

Wanda: ... będzie wolny.

Boruta: Uwierzy pani, że niektórzy mu zazdroszczą? Gdy go poznałem, już był niezły w te klocki... Spotkaliśmy się w Lublinie, w czterdziestym czwartym. Jeszcze wojna trwała, no, wie pani, ta wasza. Dobrze pamiętam, że właśnie wtedy przyszła pani na świat...? Ile to już lat?

Wanda: Wspomniał pan, że caryca Katarzyna modliła się do Czwórcy, że borowi czmychnęli na wschód.

Boruta: No. I co z tego?

Wanda: Bo zaraz usłyszę, że popierał pan Sowietów, a wszystko to, co po wojnie, to znów pana sprawka. Tylko chciałabym wiedzieć, czemu aż tak bardzo nienawidzi pan Bieruta, skoro to pana dawny sojusznik.

Boruta: Nienawidzę? A kto to pani powiedział? Nie mieszajmy interesów z przyjemnością. Przecież bolszewicy obalili carat i zaprowadzili swoje porządki, więc idealnie nadawali się na sojusznika. Z początku mnie nawet bawili. Więc dodałem dwa do dwóch, szepnąłem słówko temu i owemu, i dalej to już poleciało. Tylko że wtedy świat przyspieszył, sojusze się zmieniły, znalazłem się w nowej sytuacji...

Wanda: Jak zwykle niewiniątko. Ładnie pan o tę Polskę zadbał...

Boruta: *(z początku rzeczywiście rozeźlony, przejęty)* A, proszę mi nawet nie przypominać! Tu Niemcy, tam komuniści, każdy by się na tym wyłożył! Jak to się dziś mówi? Przeszarżowałem? Ale nie byłbym sobą, gdybym i tego nie naprawił! Szybko zrozumiałem, że jeśli czegoś nie zrobię, Polska stanie się kolejną republiką czerwonych. Już na miejscu podyktowa-

łem zatem Bierutowi manifest PKWN, przygotowałem doły, to znaczy popracowałem na prowincji, i jakoś to poszło. Proszę się nie dziwić, przecież pod czerwonymi, z ich oficjalną linią antykościelną, mój skromny przybytek mógł funkcjonować na pełnych obrotach! Ależ to były czasy! (*markotnieje*) Tyle że na krótko. Jednego bowiem nie przewidziałem. Że także polscy komuniści wezmą się za tę całą, tfu! ateizację na serio, a nie tylko dla jaj.

Wanda: (*zdziwiona*) A co diabeł może mieć przeciwko ateizacji?

Boruta: Jak to co? Przecież mi, nam, w tym ciężkim fachu, nie chodzi o to, żeby ludzie przestali wierzyć. Jak przestaną wierzyć, to sam stracę pracę! A może i co gorszego... A niech wierzą, wierzą, jak najbardziej! Tylko żeby zaraz potem grzeszyli jak najwięcej, radośnie i w poczuciu braku kary! Ale lokatorzy lokatorami, bilans dusz bilansem, a Polska – Polską. Nie wszystko, droga pani, da się przeliczyć na kotły z siarką. Myśli pani, że mi się tamten terror podobał? Że chciałem obcych wojsk nad Wisłą? Jakichkolwiek, z prawej czy lewej strony? Tu, na mojej ziemi. Wolne żarty. Myślałem, że już na tyle mnie pani zna.

Wanda: No to Bieruta pan nie upilnował.

Boruta: Pani uwierzy, że chodziłem za tą łajzą krok w krok? Polewiałem kieliszeczki, podsuwiałem babeczki, nuciłem kołysaneczki, więc się uspokajał. Patrzyłem, jak szaleje, jak wsadza ludzi do pudła, a Polska się robi marudna. Ale w końcu się doczekałem. Pani pamięta, że załatwili go w Moskwie? Pojechał w salonce, wrócił w jesionce! A ja już szykowałem odwilż...

Wanda: Mam nadzieję, że się pan tylko nie zaziębił, biedaczek...

Boruta: Drwi pani. A proszę tylko pomyśleć, co byłoby z tym pięknym krajem, gdyby nie ja! Powiem pani coś lepszego. Za komuny moja znajomość z Twardowskim weszła na nowy poziom. Ha, tu panią mam!

Wanda: Uściślijmy. Mowa o kolejnej... reinkarnacji Twardowskiego? Nie mógł sobie wybrać jakiejś ładniejszej facjaty? Umówmy się, ciacho to to nie jest...

Boruta: Ale łeb, łeb jak sklep! I to spojrzenie... Niech pani nie udaje, że on pani nie rusza. Nieważne, jak wygląda. Przecież w łóżku to jest normalnie zwierzę. Ale, ale. Co tam reinkarnacja! Cwaniak wodził mnie za nos przez pięćset lat. Ale złapał Kozak Tatarzyna... a Tatarzyn za wór trzyma! Ten łach w końcu się doigrał. Czekałem spokojnie, kombinowałem, zbierałem informacje, pozyskiwałem pracowników w terenie. I wreszcie wywiedziałem się dokładnie, jak on to robi! Jest pani gotowa? Uprzedzam, to dość makabryczne...

Wanda: Spokojna głowa. Mówiłam panu, że jestem w tym fachu nie od dziś.

Boruta: No więc, proszę sobie wystawić, gdy ten cwany łach umiera, ustawia sobie zawsze wszystko tak, że jego ciało zostaje poćwiartowane, zakopane w ziemi, z której – ta-daaam! zostaje wyciągnięte w jednym kawałku. Niezłe, nie? Były takie rytuały w starych, dobrych czasach, że też musiał do nich dotrzeć! Zresztą, co będę pani tłumaczył, mam nadzieję, że to go choć trochę boli. Dopiero wtedy następuje przelanie wspomnień, no niech będzie, że duszy, z lustra w nowe ciało. Mówię pani, jaki tam wtedy jest bajzel... Prawie jak u was z tymi wszystkimi komputerami-duperelami. Ale co się dziwić, taki farfocel, to musi się i zaktualizować po resecie, he, he.

Wanda: Więc co, buchnął mu pan lustro?

Boruta: A tam, od razu buchnął. Zająłem się takim jednym, jego pomocnikiem – przecież chyba pani nie myśli, że Twardowski przechodził przez ten proces sam. Miał taką rodzinkę, z dziada pradziada w trudnym fachu ucznia czarno-księżnika. Straszne moczymordy, ale i trudno im się dziwić. W każdym razie, pani na gazie, ostatni rytuał dopełnił się połowicznie. Tyle dobrego. Twardowski odrodził się, ale ze wspomnieniami już nie zdążył! No co, mówiłem, że to patafian, a teraz ten patafian nie wie, jakim konkretnie patafianem jest. Nie pamięta swoich poprzednich wcieleń. I nie wie, jak powtórzyć swój rytuał! Nie muszę pani dodawać, że teraz jego wyświechtana duszyczka trafi wreszcie na swoje miejsce. Tania, bo tania, ale porządek w papierach musi być! To było nawet zabawne, bo gdy spotkaliśmy się teraz po raz pierwszy, jak już trochę podrośł... nie poznał mnie. Swojego starego przyjaciela.

Wanda: Dziękuję pięknie za taką przyjaźń.

Boruta: Znalazłem go w sierocińcu, w latach siedemdziesiątych. Miał podbite oko, strupy na kostkach rąk i oczy jak młody wilk. Ale to był on, taki niewinniutki, mięciutki, smaczniutki... Dziwne, po tylu latach. Ale darowanemu brojlerowi nie zagląda się do dzioba. Szybko zaakceptowałem ten stan rzeczy, jak pani miłość do cieczy. Zacząłem mu się przyglądać. Po prawdzie, dyskretnie wychowywałem Twardowskiego.

Wanda: Przecież mógł go pan zabić. Wziąć z marszu jego duszę, skoro tyle się pan nabiedził...

Boruta: Zabić dziecko? Może jeszcze po to, żeby na koniec od razu do nieba trafił? Ja nie jestem taki. Zresztą, byłem ciekaw, co z niego wyrośnie. No pani to przecież rozumie, proszę nie udawać: nie byłbym sobą, gdybym od razu wbił

cztery asy w stół. Dla Piekła nadeszły ciężkie czasy... Czekałem pięćset lat, to co, pół setki jeszcze nie chlapnąć? No i mam za swoje.

Wanda: Biznesowa kariera Twardowskiego to też pana zasługa?

Boruta: Jeszcze się pani pyta. Cóż, to, co pani opisała w *Szarej eminencji Twardowskiego*, jest, z grubsza biorąc, prawdą. Mówiąc językiem piekielnej biurokracji, młody Jasiu bez wspomnień miał pół swojej duszy. Żeby w papierach był porządek – audyt z Piekła Europejskiego to jest dopiero piekło – dopisałem z nim mały aneksik do hipoteki na duszę. W zamian za pakiet kontrolny, że się tak wyrażę, postawiłem mu Twardowski Industries.

Wanda: Ten cały holding? To pan za nim stoi?

Boruta: No nie od razu cały, wiadomo. Ale tak, i to jest moją sprawką. Nieźle, nie? Chciał chłop w aneksie do cyrografu technologię jak z Holyłudu? To niech zna moją łaskę. Dzięki temu już za Jaruzela Twardowski mógł konkurować z japońskimi tygrysami w wyścigu po forszę, a ja spokojniutko zająłem się stanem wojennym.

Wanda: Aha, no jasne. Znaczy, pan też spał na styropianie...

Boruta: Czy pani ma mnie za wariata? W żadnym razie. Zająłem się pracą nad generałem. Jak na ulice wyjechały czołgi, to pani myśli że co, ludzie przestali nagle wierzyć? A gdzie tam! Dopiero się u nas podziało. Ile dobrego towaru spłynęło wtedy do kotła, chyba tylko za potopu i Szweda było lepiej... Żniwa, pani Wandziu, żniwa!

Wanda: No dobrze, to skoro taki jest pan cwany, gdzie jest Twardowski teraz, co? Wygląda na to, że pana w końcu przekręcił...

Boruta: Twarowski, zrywny drab z biduła, zawsze wiedział, na której półce leżą konfitury. Pod koniec lat osiemdziesiątych użyczyłem mu swoich znajomości, no i trochę dewiz... Sam już zanurzyłem się po uszy w przygotowywanie przemian '89 roku, pani nie uwierzy, co z ludzi robi kapitalizm...

Wanda: Widziałam, co robi komuna.

Boruta: Przyznam, że rozmach, z jakim ten dzwon w przykrótkich majteczkach rozkręcił swoje przedsiębiorstwo, odrobinę mnie zaskoczył. Loty w kosmos, cała nowa gałąź przemysłu, no, tego się nie spodziewałem... A przecież to nasze, piekielne rozwiązania! Pani widziała tu tego łysawego? Kręcił się po biurze... Taki niegroźny safandula. To Rokita, poznałbym was, ale wierzę, że będziecie na to mieli jeszcze mnóstwo czasu. Konkretnie to on stoi za Twardowski Industries, ja nie mam głowy do tych trybików-pieprzników. Między nami mówiąc, nie wierzę, żeby ta technologia zbyt długo się utrzymała. Ludzie tacy nie są. Świat się nie zmienia, jest kręgiem cierpienia. Ludziki w berecikach pobawią się tabletem czy innym bzdetem, i zaraz o nim zapomną. Jedyne, czym się warto zajmować, to inżynieria duszy. A to, pani pozwoli, jest już moja działka.

Wanda: Niech zgadnę. Twardowski w końcu przypomniał sobie, kim jest. I dlatego zniknął?

Boruta: Ech, nic sobie nie przypomniał! Za kogo mnie pani bierze? Lustro jest dobrze ukryte, pod latarnią najciemniej... Proszę wspomnieć moje słowa, jak będzie pani przejeżdżać w rejonie Węgrowa. Jeśli kiedykolwiek jeszcze będzie. (pauza) Ale istotnie. Mogłem się pospieszyć. Facet bryknął i zaszył się w takim jednym miejscu... Nie uwierzyłaby pani. Ale już się tym zajęliśmy. W każdym razie, brakuje mi naszych rozmów. Chciałbym, żebyśmy znowu byli przyjaciółmi.

Wanda: Jeszcze się pan nie zorientował? Tacy jak pan nie mają przyjaciół.

Boruta: Wolne żarty. Całe Piekło jest pełne moich druhów od serca. (*kpiąco*) Może i pani chciałaby do nich dołączyć?

Wanda: Przyjaciółka wesołego diabła? Jak piekło zamarnie – to może. Pan się nadaje na psiapsiółkę jak łyżka do golenia borsuczej dupy.

Boruta: Proszę pani, jedno moje słowo, a wszyscy tutaj zaczną śmigać na łyżwach!

Wanda: Szczerłość godna prowadzącego telezakupy.

Boruta: À propos zakupów. W gruncie rzeczy mam dla pani atrakcyjną propozycję.

Wanda: Zaczyna się...

Boruta: Spokojnie. Otóż, jak wspomniałem, jestem osobnikiem starej daty. Rozumie pani, w gruncie rzeczy wolę działać, hm, analogowo, u podstaw. A te wszystkie sieci? Szościelmidia? Snapczaty? No owszem, mogę puścić zdjęcie pytonga raz czy dwa w eter, żeby nie było, że się diabeł bawić nie umie. Ale na dłuższą metę to nie dla mnie.

Wanda: No tak. Trochę czas się u was zatrzymał.

Boruta: Więc właśnie! Rozumiemy się bez słów, Wandziu ulubiona jak wódeczka schłodzona! To zapowiada nam długą, wspólną przyszłość... Krótko mówiąc, potrzebuję mocnego wsparcia przy wejściu w nowoczesność. (*pauza*) Chcę, żeby moje Piekło miało swoje biura jak agencja ratingowa! Jak posłowie o uczciwych sercach i czystych rękach! Jak zakłady bukmacherskie! Żeby każdy, kto będzie chciał duszę sprzedać, od razu wiedział, gdzie nas szukać. (*pauza*) Nie oszukujmy się, czasy nastały ciężkie. Wie pani, ludzka masa grzeszy dziś może na potęgę, osobliwie egzemplarze w gimnazjach, i to cieszy moje czarne serce. Ale co to za grzechy, kiedy nikt w nic już nie

wierzy? Ateizacja, laicyzacja, demokracja – no cóż, to okazały się projekty dobre, ale krótkoterminowe. Na szczęście jest jeszcze czas, żeby odwrócić trendy! Złapać, jak to mówią koledzy z giełdy, upadające noże!

Wanda: Tylko na co panu ja jestem w tym całym bajzlu? Zakładając, że w ogóle przemyślę, hm, (*cedzi z obrzydzeniem*) tę propozycję.

Boruta: Aaa, co do pani, moja oferta jest prosta. Nadchodzą, jak mówię, nowe czasy. A nowe czasy wymagają nowego rodzaju manipulowania informacjami. Na czym, jak już zdążyliśmy ustalić, co nieco się pani zna. Nooo, nie bądźmy tacy skromni! Zna się pani na tym jak na mieszaniu drinków! Pamięta przecież pani '68 i ten artykuł... no, proszę mi podpowiedzieć...

Wanda: (*grobowym głosem*) Odpokutowałam to.

Boruta: (*figlarnie*) A to się jeszcze okaże. Zatem jak, zostanie pani moją agentką w mediach? Zadbaj pani o odpowiednie naświetlenie każdej sprawy dotyczącej Piekła bądź mnie osobiście? Kiedy trzeba będzie, jeden temat wyciszy, drugi nagłośni, skieruje uwagę zapatrzonych w ekrany dzieciaków w inną, aktualnie korzystniejszą stronę? No, proszę się nie dać prosić! Przecież pani to doskonale potrafi. Wy, w mediach, od lat nie robicie niczego innego. Kto wie, może założę mi nawet pani prywatny profil na twitterze i facebooku? Co pani powie?

Wanda: (*po chwili milczenia, wolno*) A taki chuj jak słonia nos. Mowy nie ma... Nigdy w życiu.

Boruta: (*pobłaźliwie*) Pani Wandziu. Doceniam gest, ale proszę nie przesadzać. Przecież pani wie, gdzie jesteśmy. To się przecież wszystko da załatwić... Proszę przynajmniej wysłuchać, co oferuję w zamian. Przypominam, znajduje się pani w grupie ginących zawodów.

Wanda: Nie umieram z głodu. Powiem więcej, starcza nawet na kieliszek chleba i szlugi do pracy.

Boruta: Wspaniale. Dziwię się tylko, że wierzy pani w mit niezależnego dziennikarstwa. Przecież zawsze komuś służyte, nawet jak o tym nie myślicie. Czerwonym, Czarnym, różowym...

Wanda: To jeszcze nie znaczy, że mam służyć diabłu.

Boruta: Przecież pani dziennikarstwo tylko na tym zyska. Otworzę przed panią każde archiwum... Będzie pani mogła rozmawiać z umarłymi. Proszę tylko pomyśleć o wywiadzie z Hitlerem!

Wanda: (*niepewnie*) Robię swoje od pół wieku. Zostanę przy starych metodach.

Boruta: Skoro już przy starości jesteśmy, pozwolę sobie stwierdzić, że ten problem również pani dotyczy. Ile zostało pani lat? Pięć, dziesięć, piętnaście? I *adios amigo. Muchachos i muchachas*. A ja – ja sprawię, że pani skóra odzyska młodość, a piersi staną się jędrne. Okularki pójdą w ką, no, przecież wiem, że musi je już pani zakładać do pracy. I nawet wątroba przestanie boleć... Wystarczy jedno drobne „tak”, a faceci znów będą się do pani przysiądać w kawiarniach i, proszę mi wierzyć, żaden nie przejdzie obok pani obojętnie. Wrócą czasy szampana w pięciogwiazdkowych hotelach i bitej śmietany zlizywanej z brzucha. Proszę pomyśleć... Proszę to sobie wyobrazić.

Wanda: (*waha się*) A idź w diabły...

Boruta: Wieczna młodość? Cóż piękniejszego?

Wanda: (*bez przekonania*) Starzenie się z godnością?

Boruta: (*śmieje się głośno, szczerze*) Proszę nawet nie żartować. Umówiliśmy się już, że mam panią za inteligentną.

Wanda: (*z wysiłkiem*) Kusząca oferta. Tylko wiem, że

jeśli ją przyjmę, prędzej czy później skończę tutaj. Jako kolejny lokator w polskim piekle. Pod pana okiem. Na wieczność. Wołałabym już...

Boruta: Tak, tak, pamiętam. Borsuka łyżką macać. Ale, pani Wando, trafi pani tu tak czy siak. Innego wyjścia nie ma.

Wanda: Zobaczymy. Nie słyszał pan, póki życia, póty nadziei...? Proszę pogodzić się z myślą, że nie wszystkich można kupić.

Boruta: A to pani zna: wszystkie rybki mają (*dusi głos*), khm, tego, a karasie po kutasie? (*chłodniej*) Ja też znam kilka powiedzonek, tylko co z tego? Nie chce pani po dobroci? Dobrze. Zrobimy to po waszemu. (*pstryka palcami*)

Wanda: (*przerażona*) O mój Boże...

Boruta: W tym domu się nie przeklina.

Wanda: Nie wierzę. Nie wierzę... Jak pan mógł...?

Boruta: (*chłodno, nieludzko, z głosu słychać jego prawdziwe oblicze – istoty, która ludzi ma w dupie*) Mogłem co? Oto pani pierwszy mąż, Kazimierz. Studencka miłość, zabójcze zakochanie, kochanie na sianie, w oczy spoglądanie. Przez pięć lat byliście nierozłączni. Pamięta pani te wieczory na Powiślu, spacer do Lasku Kabackiego, narty w Szczyrku, ogień trzaskający w kominku? Jak mówiliście sobie, że razem pokonacie świat, że nic was nie złamie...

Wanda: (*złamana*) Proszę... Proszę przestać.

Boruta: A potem poznała pani tego krogulca z „Ruchu”, towarzysza wysoko postawionego w pionie wydawniczym. Jak mu było... No, proszę mi podpowiedzieć. (*kiedy Wanda milczy, ostro, bezwzględnie*) Pytam, kurwa, jak mu było.

Wanda: Zenek Karasiewicz...

Boruta: Ano właśnie, towarzysz Zenon Karasiewicz. I jakoś przeszło pani przez myśl, że tego rodzaju znajomość

pomoże w karierze. Zresztą, nie był taki zły. I też szczerze panią kochał. Trudno w to uwierzyć, ale w tamtych czasach była pani stworzona do kochania.

Wanda: Stul pysk, skurwysynu. Nie masz prawa mnie...

Boruta: A więc niewiele się namyślając, rozwiodła się pani z Kaziem i poślubiła krogulca. Zamieszkaliście na Marszałkowskiej, tymczasem Kazio w butelczynie. Widywała go pani czasem... menela sępiącego na wino. Co pani czuła, uciekając przed byłym mężem na drugą stronę ulicy? A co – gdy dzwonił nawalony, za wyżebrane moniaki, nocą, z budki na rogu ulicy? Czy ulżyło pani, gdy zabrała go zima? Widziała pani zwłoki, w kostnicy, na rozpoznaniu. Pięknie nie wyglądał, mróz potrafi zrobić z człowiekiem straszne rzeczy.

Wanda: To był dobry człowiek. Czemu... Czemu tu wyładował?

Boruta: Pani się jeszcze pyta? Przecież samobójcy trafiają do mnie z automatu. A on chciał zamarznąć, pani miła, co nigdy w życiu flaszki nie rozbiła. Kupił sobie butelkę i zamiast na melinie przycupnął w zaspie, pił i patrzył w obojętne gwiazdy. Ludzie go opuścili, więc to ja siedziałem przy nim. Proszę zgadnąć, jakie słowo wymówił przed śmiercią? Czyje imię?

Wanda: Dość. Po prostu dość. Nie musi się pan nade mną pastwić.

Boruta: Przecież mówiłem, że wolę po dobroci. Jeśli ma pani ochotę na jeszcze jakąś psotę, mogę sprawić, że on panią zobaczy. Porozmawiacie sobie. Po prawdzie, proponuję to z dobroci serca. Wiem, ile rzeczy chciała mu pani powiedzieć. A on pani, fiu, fiu!

Wanda: (w końcu) C-co mu jest? Jak wygląda jego... piekło?

Boruta: W tej chwili? Nieustannie przeżywa moment swojej śmierci. Potworny chłód i jeszcze bardziej nieznośną samotność. Ale jego dalszy los zależy od pani. Może tak zostać przez całą wieczność. Mogę go przez tę wieczność ćwiartować jak biedaczynę Twardowskiego. Albo... puszczę mu *Modę na sukces*, i tyle. Raz na jakiś czas wypuszczę go nawet do Bieruta, żeby sobie gołnął setkę i pomyślał o pani, słowem, będzie najmniej cierpiącym lokatorem na tym całym cholernym pojowisku. Czy tak będzie? W kotle czy na grzędzie? Pani wybór. To zawsze był pani wybór. Jego śmierć... też. Zresztą, niech stracę! Ze mną jak z politykiem. Jak pani chce, to go pani wypuszczę, do domku, na ziemię... (*śmiech*) He, he, no spokojnie, spokojnie, po co te wielkie oczy. Proszę się nie bać, tylko żartowałem.

Wanda: (*ciężko*) Już dobrze. Dobrze. W porządku. Wygrał pan. Zadowolony z kolejnego (*cedzi*) wiekopomnego sukcesu? Będę pracować dla pana.

Boruta: (*nie zwracając uwagi na przytyk*) Uczciwie i bez wykrętów?

Wanda: Uczciwie i bez wykrętów. A teraz chcę stąd wyjść.

Boruta: Wedle życzenia. Proszę wracać do siebie i wieść dawne życie. Ktoś od nas skontaktuje się z panią. Nie od rzeczy byłoby też coś chlapanąć o wysokim woltażu. Ale tego nie muszę już pani podpowiadać. Aha, w pakiecie dodałem pani żelazną wątrobę. *Bon appetit* i *bon voyage!* No, zapraszam do windy...

Jadą windą. Znajome odgłosy.

Boruta: (*nuci*) Za zdrowie pań, za zdrowie/ duszę pijmy do dna, panowie!/ za zdrowie pań, za zdrowie/ jedyny toast, który wiecznie trwa!

Wanda: Cicho.

Boruta milknie. Jadą. Winda zgrzyta.

Boruta: Mój kierowca odwiezie panią pod wskazany adres.

Wanda: A cyrograf? A podpis krwią?

Boruta: Żartuje pani. W dwudziestym pierwszym wieku? Wystarczy selfi z diabłem, na które zapraszam jeszcze do mojego gabinetu. Jesteśmy przecież po słowie.

Kroki, pstryknięcie aparatu.

Boruta: Tu się żegnamy, choć jeszcze się spotkamy. *Adios amigo, au revoir, good night and good luck !* Przemięło się rozmawiało. Pyszny wywiad, smakowity. Teraz, niemniej, żegnaj. Tam są drzwi. A dyktafonu proszę nie zapomnieć!

Kroki. Wanda odchodzi. I wraca.

Wanda: Panie Boruta. A ta młodość, o której pan mówił, ciągle jest w ofercie?

Boruta: (*śmiech*) Zobaczymy, jak się pani spisze przy pierwszym zadaniu!

Kroki w pustym korytarzu zatrzymują się.

Wanda: (*szeptem, wprost w mikrofon dyktafonu*) No dobra, dobra, cwaniaku... Zobaczymy jeszcze, kto kogo. Tymczasem pamiętaj tyle, że – chciałeś czy nie – wszystko się nagrało. Jeśli zobaczę choć jedną nową zmarszczkę... zawsze może się okazać, że te materiały wyciekną w internety. Diabli złego nie biorą. Koniec wywiadu.

Kliknięcie wyłączające sprzęt.

Powieści nominowane do Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla za rok 2016:

Inwit – Michał Cholewa (Warbook/Ender)

Siła niższa – Marta Kisiel (Uroboros)

Idź i czekaj mrozów – Marta Krajewska (Genius Creations)

Czterdzieści i cztery – Krzysztof Piskorski (Wydawnictwo Literackie)

Puste niebo – Radek Rak (Powergraph)